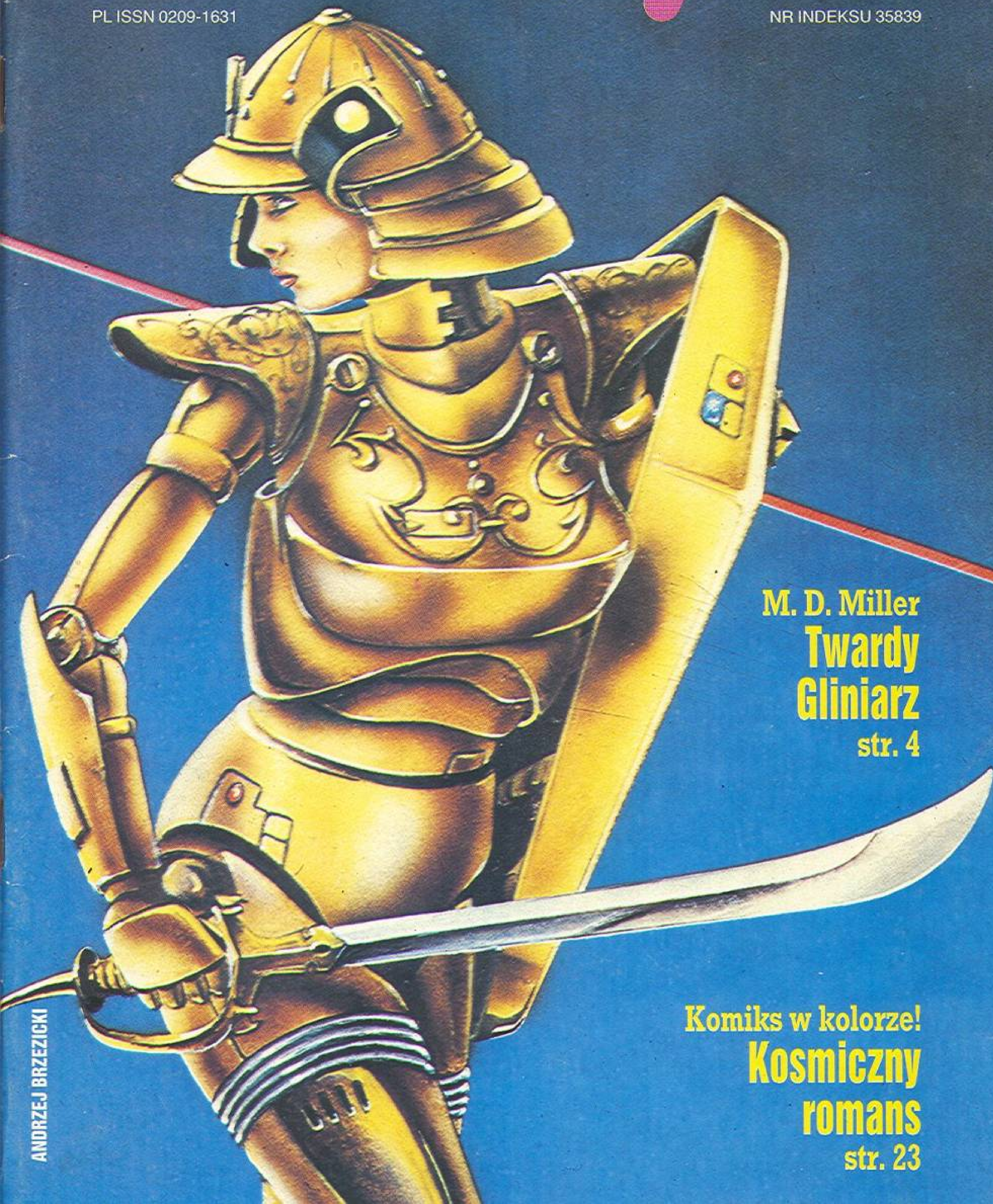
MIESIĘCZNIK
7 (70) LIPIEC 1988 CENA 200 ZŁ

Fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



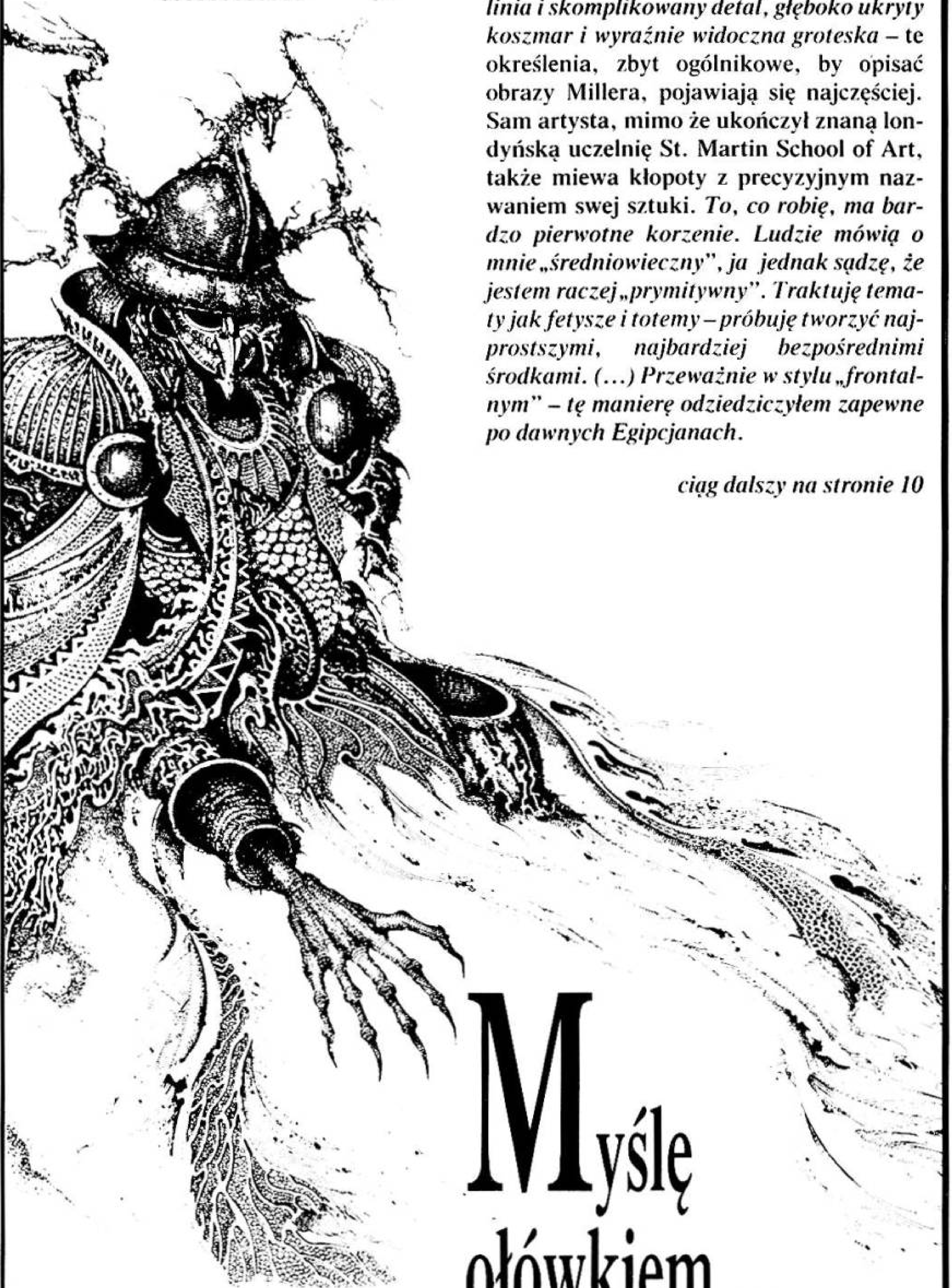
M. D. Miller
Twardy Gliniarz
str. 4

Komiks w kolorze!
Kosmiczny romans
str. 23

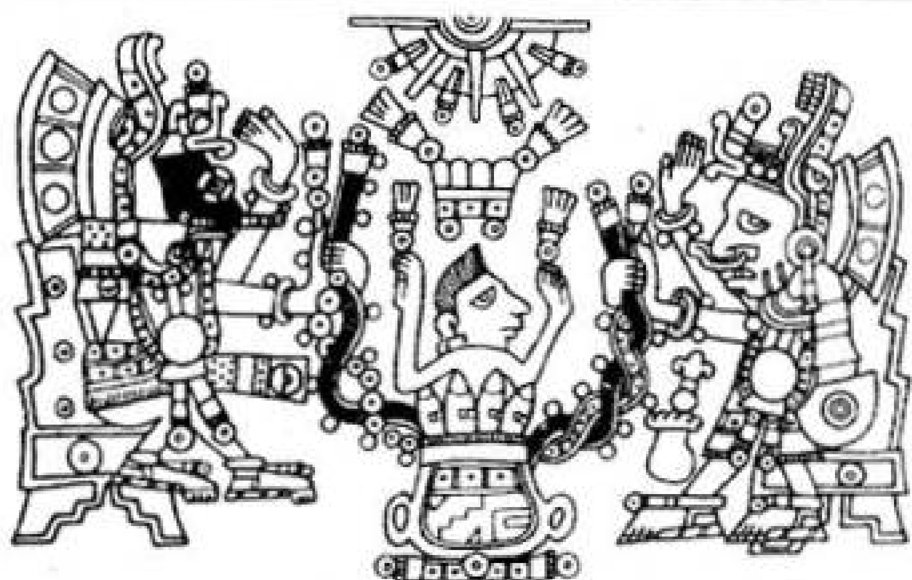
Ian Miller

Twórczość tego urodzonego w 1946 roku, bardzo już popularnego artysty, sprawia krytykom wiele kłopotów. Trudno ją nazwać. *Delikatna linia i skomplikowany detal, głęboko ukryty koszmar i wyraźnie widoczna groteska* – te określenia, zbyt ogólnikowe, by opisać obrazy Millera, pojawiają się najczęściej. Sam artysta, mimo że ukończył znaną londyńską uczelnię St. Martin School of Art, także miewa kłopoty z precyzyjnym nazwaniem swej sztuki. *To, co robię, ma bardzo pierwotne korzenie. Ludzie mówią o mnie „średniowieczny", ja jednak sądzę, że jestem raczej „prymitywny". Traktuję tematy jak fetysze i totemy – próbuję tworzyć najprostszymi, najbardziej bezpośrednimi środkami. (...) Przeważnie w stylu „frontalnym" – tę manierę odziedziczyłem zapewne po dawnych Egipcjanach.*

ciąg dalszy na stronie 10



Myślę ołówkiem...



Dawni mieszkańcy Mezoameryki wiedzieli o informacji genetycznej zakodowanej w pasmach podwójnej helisy DNA, o jej „upakowaniu" w zespołach chromosomów, o komórkowej budowie wszystkiego co żyje, o syntezie białka w komórce... czyli znali takie elementy wiedzy biologicznej, które my odkryliśmy dopiero dzięki zbudowaniu mikroskopu elektronowego!

Maciej Kuczyński: „Czciciele chromosomów"

...3...2...1...



Kogo się dziś słucha, czyta, ogląda? Tych, których nie czytano, nie słuchano i nie oglądano jeszcze zaledwie kilka lat temu. Czasy się ciągle zmieniają, idole również. Nie najlepiej to, rzecz jasna, wróży dzisiejszym autorom różnorodnych książek i widowisk. Co dzisiaj modne, jutro takim być przestaje, a o twórcach i wykonawcach błyskawicznie się zapomina. Klasyka, mimo że podtrzymywana przymusem lektur szkolnych, cieszy się coraz mniejszym wzięciem, jakkolwiek znika z półek. Albowiem snobizm wyłamuje się zawsze z panujących mód i temu zjawisku chwalenia się erudycją należałoby przypisać, na przykład, niezmiernie dziwną, nieadekwatną do autentycznych możliwości odbioru pokupność nowego wydania Gombrowicza (chwała Wydawnictwu Literackiemu, że wyczuwa te snobistyczne trendy, stąd także i powodzenie serii górskiej, tatrzańskiej i kilku innych).

Czytuje się jeszcze fantastykę, choć nie wydała ona właściwie – opuszczając jeden duży i ważny szczebel wtajemniczenia w ten gatunek, będący zarazem szczeblem finansowych korzyści – fantasy, baśniowej twórczości fantastycznej, od której aż się roi w Ameryce i, przede wszystkim, w zachodniej Europie. Zwłaszcza w krajach romańskich. Nie chwaląc się, ludzie kupują także, i to starzy i młodzi, naszą „Fantastykę", tę przez duże F, przede wszystkim dlatego, że wybiera ona dla czytelników to, co ma szansę dogodzenia ich dość mocno zróżnicowanym zachciankom na niecodzienność i na przyszłość. Mają więc za jedne, jakkolwiek nie najmniejsze, pieniądze dość szeroki wachlarz tematyki gatunku do połknięcia. Podobnie dzieje się zresztą i z „Małą Fantastyką", dopiero co wprowadzoną na rynek i oczywiście – to było od początku jasne – z „Komiksem – Fantastyką". Mamy poczucie trafności naszych sądów i trafności doradztwa tych, którzy z nami korespondują.

Trafiliśmy po prostu w pewne dotąd puste obszary wieku i smaku i absolutnie nie przyniosło to nam ani zawodu, ani też wstydu.

Niektórzy wprawdzie twierdzą złośliwie, że na bezrybiu i rak ryba, ale nasz rynek czytelniczy długo jeszcze będzie bezrybiem, więc nawet gdyby złośliwcy mieli odrobinę racji, to i tak na tym rynku długo pozostaniemy.

Bo wydaje się w polskich oficynach nieustannie grubo, grubo za mało tytułów i radość, że więcej książek się w ogóle z wydawnictw wypuszcza przez to maleje. Mały wybór to sytuacja monopolowa, to dyktowanie czytelnikowi tego co musi kupić, to brak rywalizacji między autorami i wydawcami, to wreszcie – zwyczajne naganianie pieniędzy do kiesy (zważywszy w dodatku na wysokie ceny książek) w dziedzinie, która na wysokie zyski nie powinna być nastawiona w ogóle, tak jest, w ogóle. Zamydla jeszcze spojrzenie na kształty naszego rynku książki wysoka liczba z jednej strony pozycji typowo komercyjnych (to jeszcze bardziej zawęża ofertę czytelniczą, a tego niczym nie da się usprawiedliwić), z drugiej zaś – cegieł, rzeczy niepokupnych, źle trafionych. Dlatego odnotowane tu i ówdzie sukcesy ilościowe w księgarstwie należałoby przyjąć z dużą dozą sceptycyzmu!

Braku wyboru tytułów w fantastyce nie zdołamy wyrównać w naszym piśmie, tak są duże. Podobnie „Literatura na Świecie" nie sprosta i nie może sprostać zapełnianiu luki w percepcji literatury głównego nurtu. W dodatku, przy ignorowaniu przez prasę codzienną (większość) i pisma literackie dobrych, polskich tytułów, piśmiennictwu naszemu nie da się wywróżyć większych sukcesów w kraju czy za granicą. Nie zmieniłoby sytuacji nawet znaczne podniesienie objętości takich magazynów jak „Fantastyka" czy „Literatura na Świecie", co zresztą w ogóle trudno byłoby brać pod uwagę. Zagraża bowiem znowu – także i „Fantastyce" – niedobór papieru! I wcale nie jesteśmy pewni czy pewnego pięknego dnia, kiedy ukaże się kolejna „Fantastyka" będzie ona na pewno w kredowej okładce. Kredy szczególnie brakuje i trudno ją skądkolwiek wytrzasnąć, mamy więc poważne zmartwienie, a zanim ten felieton dojdzie do rąk Czytelników miną miesiące naszych niepokojów i niepewności.

Cóż, ceny pism podniesiono, ale za tym zjawiskiem nie jest w stanie nadążyć, z powodu słabego papieru i słabych możliwości drukarskich, odpowiedni poziom graficzny, choćbyśmy najlepszych w świecie artystów zatrudnili, co zresztą staramy się czynić. Cierpliwość naszych polskich czytelników prasy i książki zostaje tym sposobem nadal wystawiona na trudną próbę.

Wracając zaś do partnerów naszego pisma, to jest do wydawnictw i księgarstwa, zmuszeni jesteśmy odnotować dalszy rozziew między tymi dwiema podstawowymi usługowymi dziedzinami a twórcami i odbiorcami. Ktoś niedawno kpił sobie, że *ten Lem domaga się stałej obecności swoich dzieł w księgarniach*, a takiej stałej obecności żądają także inni zawodowi pisarze i prasa o tę stałą obecność na rynku znanych autorów także się upomina. Niestety, i pod tym względem jest zamiast lepiej – po prostu gorzej. Nie ma w księgarniach nie tylko Lema na stałe, ale i Nałkowskiej, Iwaszkiewicza, Słonimskiego czy Słowackiego, Przybosia czy Tuwima. Na każde wydanie książki, na każde wznowienie, oczekiwanie trwa latami. I choć rosną ceny, liczba wydawnictw, tłumy czytelników i unowocześniają się metody drukowania – proces powstawania książki stale się wydłuża! W ten sposób czytelnicy mogą dokumentnie zapomnieć o ulubionych autorach, a autorzy o ulubionych czytelnikach. Zaś księgarstwo staje się stopniowo magazynem bubli. Czy w takich warunkach arcydzieła są możliwe? Wiadomo przecież, że rodzą się jedynie w bogactwie możliwości, a nie w ich ubóstwie.

Proszę się nie dziwić tej goryczy, gdy rzadko na rynku ukazują się czasopisma i książki ładne i trwałe, w kolorowych, twardych okładkach, z wyraźnymi ilustracjami. Nie zastąpi bogactwa książkowej kultury żadna, nawet najlepiej wydana, encyklopedia, która służy: po pierwsze – do zdobienia półek u nuworyszów, po drugie – do rozwiązywania krzyżówek, po trzecie – do bardzo płytkiego i pobieżnego zaspokajania głodu wiadomości. Ale encyklopedie to niezły biznes – powtarzający się, powielający wysiłek nie największy, nie najoryginalniejsze (nieryzykowne więc) dzieło, ale za to grube i kosztowne. Mało zaś i grubo – oznacza system sprzedaży spod lady. A księgarze skarżą się jednocześnie, że do ich magazynów już nie da się doładować książek. Ktoś tu oszalał, ale w tym szaleństwie jest, musi być metoda. Monopole nie sprzyjają przecież nie tylko reformie przemysłu, lecz także i kultury.

Czyżby marże zarobkowe za „rozprowadzanie tytułów książkowych" były zaniżone? Śmiać się z tego chce.

Do następnego orbitowania, koniecznie z książką w dłoniach.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA
ul. Mokotowska 5/6.
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.
Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Warszawskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Al. Jerozolimskie 125/127, 02-017 Warszawa, tel. centr. 28-52-31. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklamy Prasowej i Ogłoszeń, ul. Poznańska 38, 00-689 Warszawa, tel. 28-23-09. Skład, druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Nakład 167 000 egz. Zam. 1498/88 U-78

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 27 kwietnia 1988 r.

Lądowanie LXV

Pragnę widzieć NASZE pismo w lepszej kondycji niż obecnie. Nie jestem żadnym brązownikiem ani poszukiwaczem sensacji, chcę wiedzieć jasno czy polski ruch fanów ma problemy i jakie one są. Nie wystarczają tylko mdłe wiadomości o skłóceniu, swarach, świętej wojnie. Wypowiedzcie się na ten temat (...) Więcej o filmach i książkach. Ale raczej o tych u nas mało popularnych, nie prezentowanych w kinie czy na rynku wydawniczym. Bo po co powtarzać się za „Filmem”. Jeszcze raz proszę o trochę humoru rysunkowego, żartu. Mam także nadzieję, że po zakończeniu „pożółkłych kartek” miejsce zajmie cykl o współczesnych (XIX i XX wiek) pisarzach światowych SF. (...) Czekając na zmiany.

Mieczysław Bereś
z Rzeszowa

Za błąd uważam wydrukowanie tylko pierwszych rozdziałów „Blade Runnera” i równoczesne zamieszczenie informacji, że „Feniks” zawiera całą powieść. Nie lepiej byłoby drukować w „Fantastyce”, do której dostęp jest o wiele łatwiejszy niż do „Feniksa”? (...) Uważam za słuszny pomysł, aby p. Sapkowski kontynuował opowiadania o Geralcie. Przecież tylko St. Lem kontynuuje przygody swoich bohaterów. Tymczasem na Zachodzie pełno seriali. Dlaczego nie możemy wykreować nowego Conana, Stalowego Szczura czy innego niezwykłego bohatera. (...) Nie wiem dlaczego ludzie rzucili się na biednego Yansa, przecież to bardzo dobry komiks.

Stały czytelnik **Piotr N.** z Krakowa

Nie drukujecie powieści, które mogłyby się nie podobać i to nie jest czcze pochlebstwo. Z opowiadaniami to już trochę inna sprawa, ale ogólnie jest dobrze. Warto by poświęcić choćby jedną „Galerię” Tolkienowi. Został przecież wydany album z jego pracami. Wiem, że preferujecie sztukę ambitną, ale na pewno wielu fanów Tolkiena skakałoby z radości mając taki egzemplarz pisma.

Amadeusz Ziarkowski
z Międzyrzecza

Korzystając z okazji chciałbym prosić o pomoc, jako że wy jesteście w pewnym stopniu powodem mojego zmartwienia. W jednym z numerów „Fantastyki” zamieściliście informację, że firma „Encore” prowadzi sprzedaż wysyłkową gier fantastycznych. Bardzo mnie ucieszyła ta informacja, ponieważ na Śląsku bardzo trudno o takie gry, zdobycie ich jest właściwie niemożliwe, nawet na czarnym rynku.

Wysłałem do tej firmy kartkę z prośbą o przysłanie mi dwóch gier, było to parę miesięcy temu. Niedawno ukazała się wzmianka o grach w „Fantastyce” i notatka o trudnościach z ich zbytem, co mnie już zdenerwowało... Chciałbym, żebyście wiedzieli, iż nie wszystkie wasze informacje się sprawdzają.

Jacek z Gliwic

Fantastyka stanowi dla mnie cząstkę świata dawno utraconego, świata marzeń, świata baśni, stanowi chwilę wytchnienia i radości w naszym przyziemnym życiu. Tylko syn od czasu do czasu wciągnie się bez reszty w ten świat, mąż nigdy...

Ilona Borowicz
z Obornik Wielkopolskich

Podchorążowie Wyższej Szkoły Oficerskiej WOP pragną poinformować, że przy Centrum Szkolenia WOP rozpoczął działalność Wojskowy Klub Miłośników Fantastyki i SF „Cosmos 1991”. Program działalności obejmuje: 1. Propagowanie literatury SF, 2. Historię tej literatury (spotkania członków klubu, referaty, dyskusje), 3. Co to jest fighting fantasy, czyli spotkania z grami fantastycznymi, 4. Nawiązywanie współpracy z klubami miłośników fantastyki i SF, 5. Powstanie i rozwinięcie działalności fan-klubu miesięcznika „Fantastyka”, 6. Przegląd filmów science fiction.

Przew. **Rafał Snarski**
z-ca przew. **Piotr Jamrozik**
sekret. **Piotr Maziarz**

Dziękujemy za dobrą wiadomość, prosimy w miarę możności o osobisty kontakt.

Ludzie co wy wyprawiacie? Nie dość, że trudno przyzwyczaić się do radosnej twórczości pana Izworskiego, który szufladkuje, wtyka pod różne etykietki co się tylko da, to ostatnio jeszcze pani J. Tambor wyjaśnia ze śmiertelną i niemal naukową powagą wszem i wobec co to jest mnemotron, automed itd. Czyli tłumaczy maluczkim co mają rozumieć pod wymyślonymi przez autorów nazwami. A tak na serio: nie dorabiajcie na siłę teorii do praktyki i patrzcie na wszystko we właściwych wymiarach. (...) Oczywiście, że „Fantastykę” będę nadal kupował, ale nie podobają mi się ostatnio te pseudonaukowe i teoretyczne ciągoty, pisane wciąż przez te same osoby, o tych samych sprawach... Tymczasem poza nielicznymi wyjątkami satysfakcjonują ostatnio przede wszystkim wkładki.

W. Afelt z Łodzi

Za dużo ciągle ankiet i konkursów literackich. Co wydusiliście z naszego społeczeństwa i mianowaliście szanownymi autorami – wystarczy. Zwłaszcza że ci wybrani, gdy się powtarzają, są już do niczego. Fantastyka jest trudną dziedziną twórczości, a Waszym młodym autorom starczy pomysłu na jeden hit. A potem długo, długo nic.

Jacek Mrowiec z Warszawy

Ludzie, którzy chcą literatury SF nie powinni bazować na jednym tylko czasopiśmie, tacy ludzie nie są prawdziwymi znawcami gatunku. Fantastyka powinna nas informować co się w tej materii dzieje i jakimś odzwierciedleniem wydarzeń światowych są jej opowiadania, one to rozbudzają apetyty i cel zostaje osiągnięty. Potem trzeba sięgać już na półki księgarskie, a także aktywnie uczestniczyć w klubach miłośników fantastyki...

Prezes KMF Chaos przy ZSD w Nysie
zawód spawacz
Ryszard Łapski

Piszę w sprawie opowiadania czy mikropowieści Spinrada „Jeździec na pochodni”, zamieszczonego w lutowym numerze. Jest to na pewno rzecz ciekawa zarówno z uwagi na pomysł, jak i na język, styl też jest świetny. Wiem, że wielu autorów fantastyki widzi świat naszej przyszłości bez jakiejkolwiek religii, która według nich ma być przeżytkiem ludzkiej kultury. Są na ten temat różne zdania, także wśród uczonych. W książce pt. „Kozioł ofiarny”, antropolog Girard twierdzi nawet, że wszelkie mitologie powstały na gruncie ludzkiej skłonności do kolektywnego zabijania ofiar, które później czczono jako sacrum. Girard uważa też, że tak właśnie w wyniku działania mechanizmu kozła ofiarnego powstała ludzka kultura. Jednak według tego uczonego właśnie Biblia ukazuje nicość fałszywych bogów przemocy i demaskuje mechanizm kozła ofiarnego. Bóg Biblii nie jest „demonem silniejszym od innych demonów”, nie ma nic wspólnego z bogami przemocy. Jest Bogiem prawdy i miłości. Boska przemoc istnieje tylko w oczach szatana, w oczach ludzi opanowanych prześladowczym przedstawieniem. Po co o tym piszę? Po co wytaczać tak ciężkie działa przeciw fantastycznej wizji? Autorowi wolno pisać jak mu dyktuje wyobraźnia, ale są pewne granice. Nie wolno nikomu obrażać uczuć religijnych innych, nie wolno dla czystej zabawy ukazywać Boga jako demona zniszczenia. Może powiecie, że „Jeździec na pochodni” to piękna wizja ludzkiej wolności, że nie rozumiem jego przesłania. Autor jednak używa, może czysto symbolicznie, pojęć religijnych, które mają znaczenie dla ludzi wierzących... Dla wielu młodych czytelników może to być impuls do odrzucenia wartości, do nihilizmu nawet... Skoro nie ma dobra, kto człowiekowi zabroni czynić zło? Nie wiem czy odpowiecie, czy wydrukujecie ten list. Myślę, że nie. Mimo to życzę Wam dalszych sukcesów bez takich potknięć.

Stała czytelniczka **Maria**
(nazwisko i adres znane redakcji)

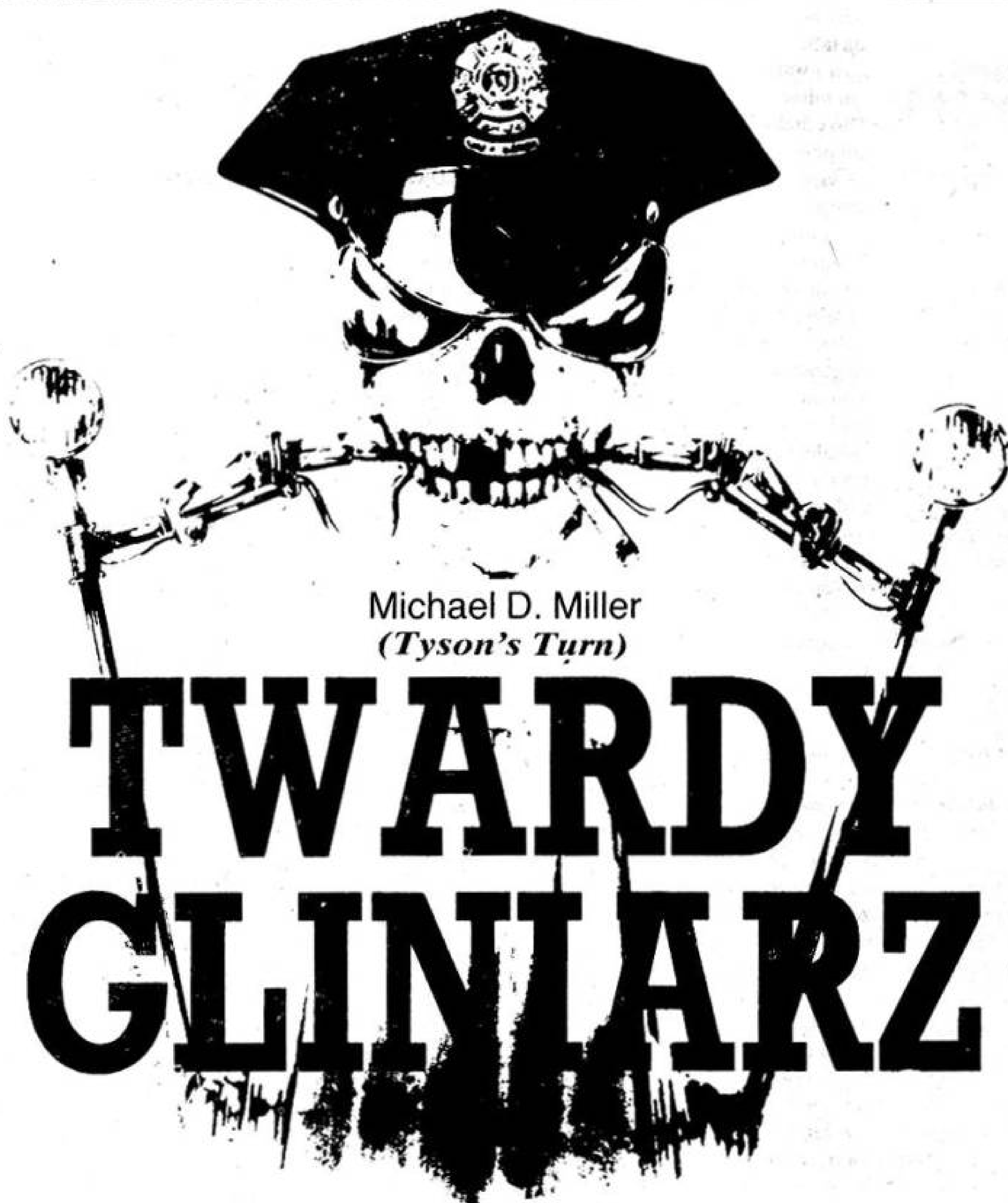
Myślę, że nieco Pani przesadziła w ocenie „Jeźdźca”. Nie sądziliśmy, że mógłby on w czymkolwiek zadrażnić uczucia religijne, co zresztą byłoby sprzeczne z naszą redakcyjną zasadą. Proszę także nie zapominać, że klasyk polskiej SF, Jerzy Żuławski, w swym „Na srebrnym globie” również posługiwał się symboliką religijną dla ukazania całkiem świeckiej historii powstania społecznego sacrum i jakoś nikt dotychczas, choć czytuje tę książkę mnóstwo młodzieży, nie oskarżył jej autora o obrazę religijnych uczuć. Przykro nam, że Pani tak tylko „Jeźdźca” odebrała.

Redaktor

II Ogólnopolskie Biennale Fotografii Fantastycznej „Alicja w krainie czarów”

Organizatorzy: Sportowa Agencja Fotograficzna przy KM AZS Politechnika Wrocławska.
Warunki zgłoszenia prac:
- Fotografie pojedyncze i zestawy.
- Preferowany format prac 30 x 40. Minimalny 24 x 30.
- Technika dowolna, zdjęcia czarno-białe i barwne.

Nagrody: I – 40 tys. zł, II – 20 tys. zł, III – 10 tys. zł. Ponadto nagrody specjalne i wyróżnienia. Najlepsze prace zostaną opublikowane w „Fantastyce” za wynagrodzeniem. Prace są przyjmowane w terminie do **31 stycznia 1989 r.** pod adresem: **Pion ds. Studenckich Politechniki Wrocławskiej, Sportowa Agencja Fotograficzna „SpAF”, Wybrzeże Wyspiańskiego 27, 50-370 Wrocław.** Ogłoszenie wyników nastąpi w marcu 1989 r.



Grzegorz Komorowski

Michael D. Miller

(Tyson's Turn)

TWARDY GLINIARZ

Krążownik Tysona pędził po smutnych pozostałościach czegoś, co kiedyś było międzystanową autostradą, obecnie prowadzącą donikąd, kiedy jego szperacze wychwyciły coś dobre pół kilometra przed nim. Tyson błyskawicznie włączył umieszczoną pod przednim zderzakiem wozu baterię podczerwonych czujników i skanerów dźwiękowych. Mały, ale niezwykle sprawny komputer zaczął zbierać dane.

– Obiekt jest człowiekiem płci męskiej o podwyższonej temperaturze ciała – oznajmił po chwili, po czym zamilkł, analizując kolejne informacje. – Prawdopodobnie Włóczęga. Niewykluczone, że chory. Zalecam ostrożność.

Tyson nie zmniejszał prędkości. Wkrótce dostrzegł niewyraźną, białawą plamę koszuli, wyglądającą spod czarnej marynarki. Nawet z tej odległości mógł bez trudu stwierdzić, że i koszula, i marynarka są brudne.

Mniej doświadczony Gliniarz wdepnąłby z całej siły w hamulce, wyrzucił pomocniczy spadochron i wprowadził wóz w boczny poślizg. Z pewnością znakomicie wyglądałoby to na filmie, ale nic ponadto – zanim piszczące przeraźliwie opony zatrzymałyby się wreszcie w miejscu, każdy prawdziwy Włóczęga już dawno przesadziłby przerdzewiałą, powyginaną barierę i zniknął w gęstwinie wysokiej trawy.

Dlatego właśnie Tyson, Twardy Gliniarz, głowa na karku i ładnych parę lat służby, zostawił włączone długie światła, odbił dalej od krawędzi jezdni i przyśpieszył, tak jak zrobiłby każdy Ostrożny Obywatel, widząc przed sobą na zrujnowanej, opustoszałej autostradzie usiłującego go zatrzymać Włóczęgę.

Czarny, policyjny krążownik przemknął z prędkością 180 kilometrów na godzinę koło sprawiającego wrażenie lekko oszołomionego Włóczęgi. Przez ułamek sekundy mignęła zataczająca się w kierunku bariery sylwetka, nieświeża i wymiętoszona niczym stara ścierka. Otóż to, ścierka, pomyślał Tyson. Zaciągnął się grubym, hawańskim cygarem, rozkoszując się perspektywą pierwszego od ponad roku aresztowania.

Sześć kilometrów dalej zahamował raptownie, przejechał przez przerwę w barierze oddzielającej jezdnie i pomknął z powrotem. Teraz jednak jechał z wygaszonymi światłami, omijając wykryte przez dźwiękowe skanery wyrwy i dziury w jezdni, które komputer wyświetlał mu na przedniej szybie w różnych odcieniach czerwieni. W odległości czterech kilometrów od miejsca, w którym minął Włóczęgę zmniejszył prędkość do 50 kilometrów na godzinę, a minutę później przekazał prowadzenie komputerowi.

– Procedura „Ostrożne podejście" – polecił i przeciągnął się w fotelu. Plecy, uda, a nawet ręce miał niemal zupełnie zdrętwiałe, a wiedział, że będzie musiał poruszać się bardzo szybko. Niezbyt nadawał się do jakiejś poważniejszej walki albo długiego pościgu. Nie te lata.

– Mam coś – zameldował komputer. – Odległość półtora kilometra... odczyty te same... to on. Powtarzam: Włóczęga płci męskiej, prawdopodobnie chory. Zalecam ostrożność.

– Jesteś mój, chłoptasiu – wyszeptał niemal czule Tyson, zadowolony, że Włóczęga nie schował się w zaroślach, ani nie rzucił do ucieczki przez pola. Dłoń Twardego Gliniarza pogładziła delikatnie skórzaną rękojeść przytroczonej do pasa pałki, musnęła chłodną powierzchnię pojemnika z gazem oszałamiającym, wreszcie natrafiła na twardy kształt rewolweru; nigdy do tej pory go nie uży-

wał i nie miał także zamiaru użyć go dzisiaj. Włóczęga był zbyt cenną zdobyczą, żeby oddać go tak łatwo Lekarzom albo Grabarzom.

Tyson pomyślał o Lekarzach i wszystkich innych, żyjących w schowanym tuż za horyzontem mieście: Prawnikach, Piekarzach, Sprzątaczach, Ostrożnych Obywatelach, Psychiatrach, związanych nierozerwalnie ze swoimi powołaniami, które, przynajmniej teoretycznie, powinny ze sobą współdziałać jak dobrze dopasowane kółeczka i sprężyny ogromnego zegara. Choć rzeczywistość pozostawała w pewnej niezgodzie z ideałem, to Tyson musiał przyznać, że i tak było to lepsze, niż jakakolwiek z alternatyw, które mogłyby stać się ich udziałem. W końcu, pomyślał, każda przedsiębiorcza jednostka mogła na własną rękę usprawnić nieco system tam, gdzie istniała taka potrzeba.

Sto lat temu, gdy inżynieria genetyczna stawiała dopiero pierwsze kroki na drodze wiodącej do całkowitego wyjaśnienia tajemnic ukrytych w zwojach DNA, większość ludzi zdecydowanie nie nadawała się do pracy, którą musiała wykonywać. Wydajność osiągnęła najniższy poziom w historii, przez jakiś czas na nim się utrzymywała, po czym dała zdecydowanego nura w dół. Szerzyło się niezadowolenie z pracy, bezustannie wybuchały strajki. Ludzie cierpieli od zbrodni, sami będąc zbrodniarzami. I wtedy właśnie Geninżynierowie, jak ich nazwano, odkryli metodę, dzięki której stało się możliwe dostosowywanie ludzi do wykonywania konkretnych zawodów. Odpowiednie podejście, wygląd, temperament i zdolności – wszystko było na miejscu, ukryte w spiralnych zwojach DNA. Wystarczyła odrobina wiedzy i umiejętności, żeby się do tego dobrać.

Okazało się jednak, że efekty nie są takie, jakich się spodziewano.

Wszyscy chcieli być bankierami, naukowcami, artystami. Wkrótce było ich już co niemiara. Nie został nikt, kto by chciał wywozić śmiecie, podawać do stołu, sprzątać czy strzyc trawniki. Współzawodnictwo między supergeniuszami zaczęło przybierać groźne rozmiary, żeby wreszcie stać się przyczyną tragedii. Ruiny wspaniałych niegdyś autostrad stanowiły jedną z najbardziej widocznych, ale bynajmniej nie jedyną pozostałość tego okresu.

Cywilizacja, zapoczątkowana i zbudowana przez ciągłe niezadowolenie i wieczny brak satysfakcji, ginęła od leku na te dolegliwości. Niewiele brakowało, a zginęłaby zupełnie. Jeden po drugim następowały wojskowe zamachy stanu, po których dokonywano przymusowego naboru do tak niezbędnych dla funkcjonowania społeczeństwa zawodów jak Sprzątacz czy Sprzedawca. Podstawową i najważniejszą nauką stała się inżynieria społeczna, zastępując na tym miejscu geninżynierię, strąconą z piedestału, a potem znienawidzoną. „DNA" stało się jednym z najbardziej wulgarnych słów, tolerowanych w języku tylko z konieczności.

Wkrótce po poczęciu Tysona jego matka odwiedziła Lekarza Domowego, wykonującego polecenia rządowego komputera. Komputerowi potrzebny był Gliniarz, podklasa Twardy, więc Lekarz dokonał w zygocie, którą wtedy był Tyson, odpowiednich poprawek. Dziewięć miesięcy później Mały Konstabl, jak czule nazywali go rodzice, zameldował się na służbę. Od samego początku Tyson chciał być tylko tym, kim miał być. Był w tym bardzo dobry. Jeżeli nawet Mr. i Mrs. Tyson zdumieli się cokolwiek wigorem, z jakim ich syn dążył do wypełnienia swego powołania – potrafił dotkliwie poturbować każde dziecko, które w ten czy inny sposób stanęło mu na drodze – uspokajali się świadomością, że ich mały brutal jest produktem zaprogramowanej odpowiednio natury, nie zaś wychowania. Obydwoje byli przecież Doskonałymi Rodzicami.

Już jako młody człowiek Tyson instynktownie nienawidził Włóczęgów, którzy w najlepszym razie byli osobnikami niezaradnymi, mającymi skłonności do złodziejstwa i wandalizmu. To przede wszystkim oni mordowali, napastowali dzieci; niektórzy byli nawet Gwałcicielami. Co prawda, to właśnie dzięki nim Gliniarze, Psychiatrzy i Kuratorzy Społeczni mogli z radością wykonywać zawody, do których zostali stworzeni. A to przecież było najważniejsze.

Tyson próbował myśleć jak Włóczęga. Co by zrobił, gdyby komputer wsadził go w skórę tamtego człowieka? Prawdopodobnie trzymałby się krawędzi jezdni, blisko bariery, gotów w każdej chwili dać nura w bezpieczną gęstwinę wybujałej trawy.

– Siedemdziesiąt pięć metrów – odezwał się komputer, przerywając jego rozmyślania. Tyson wytężył wzrok, ale nie mógł nic dojrzeć w otaczającej go ciemności. Zgasił cygaro i wtedy naszła go niespodziewana myśl, czy przypadkiem nie dał się zwabić w zastawioną przez kryminalistów pułapkę, w której Włóczęga służył wyłącznie za przynętę. Dotknął na moment twardej kolby rewolweru. Niemożliwe. Kryminaliści, którzy poważyliby się na coś takiego nie szargaliby sobie opinii zadając się ze zwykłym Włóczęgą.

– Dwadzieścia metrów – szepnął komputer. – Widzę go wyraźnie. Przypuszczalna waga około 100 kilogramów, wzrost 190 centymetrów.

Duży, pomyślał Tyson. Przez moment zastanowił się, czy nie wezwać pomocy, ale niemal natychmiast odrzucił taką możliwość. Po pierwsze, jest przecież Twardym Gliniarzem i da sobie radę z każdym, największym nawet Włóczęgą. Po drugie, Strażacy, Lekarze, Psychiatrzy i wszyscy inni, mający na ciągłym podsłuchu policyjne częstotliwości dopadliby go jeszcze zanim zdołałby wjechać do miasta.

Musi dowieźć tam Włóczęgę, a dokładnie na pewną wąską, boczną uliczkę. U jej końca skręci w prawo, w alejkę prowadzącą na otoczony nowoczesnymi domami dziedziniec, strzeżony przez czujne roboty wspomagane szczerzącymi kły dobermanami. Tam znajdzie Przestawiacza, przedstawiciela jedynego zawodu nie przewidzianego, a nawet zakazanego przez Inżynierów Społecznych. Przestawiacz zajmował się manipulowaniem genami.

Przyczyna istnienia czarnego rynku genetycznego była prosta: Inżynierowie Społeczni popełniali jednak błędy. Mała pomyłka we wstępnych obliczeniach powodowała następnie zakłócenia odczuwalne przez całe społeczeństwo.

Tyson po raz pierwszy odwiedził swego Przestawiacza przed pięcioma laty, podczas wielkiego niedoboru Kryminalistów, kiedy to tysiące Prawników straciło pracę z powodu braku Bandziorów, których mogliby oskarżać i bronić. Wkrótce Gliniarze zaczęli wyłapywać wszystkich Włóczęgów, Pomyleńców i Świrów, jakich tylko mogli znaleźć, po czym dostarczali ich Przestawiaczom, którzy zamieniali te niegroźne indywidua w Zatwardziałych Przestępców. Tysonowi udało się tak raz nawet z parą Zwyczajnych Obywateli.

Po pewnym czasie ten niedobór zniknął, ale na jego miejsce natychmiast pojawił się inny, a potem jeszcze inny. Zastraszająco spadła liczba zachorowań, więc Lekarze doprowadzili do wybuchu epidemii. Strażnicy zaczęli tworzyć trzy i czteroosobowe patrole, przemierzające ulice w poszukiwaniu kandydatów na Podpalaczy...

– Dwadzieścia metrów – wyszeptał komputer.

Tyson potrząsnął głową; cholera, znowu śnił na jawie. Otworzył obracające się bezszelestnie na dobrze naoliwionych zawiasach drzwi, wysunął się na zewnątrz i poklepał samochód po tylnym zderzaku na znak, że jest gotów.

Reflektory rzygnęły ulewą światła, syrena zawyła przeraźliwie, a zamocowany na dachu stroboskop uderzał co chwila w ciemność oślepiającym mruganiem. Zaskoczony i oszołomiony Włóczęga zatoczył się, odwracając twarz od samochodu. Po sekundzie, kompletnie oślepiony i ogłuszony, zgiął się wpół i przyciskając obie dłonie do uszu osunął się na asfalt.

Tyson wyskoczył przed krążownik, który gwałtownie zahamował. Włóczęga usiłował zerwać się i przeskoczyć przez powyginaną, skorodowaną barierę, ale nie zdążył – dobrze wymierzony cios twardej pałki trafił go w głowę i mężczyzna runął bezwładnie na ziemię.

– Stój! – ryknął na cały głos Tyson do krążownika, który tymczasem ruszył wolno do przodu. Ponownie zgrzytnęły hamulce. Przygasły światła, ucichła syrena. Tylko silnik mruczał złowróżbnie.

Tyson obejrzał swoją zdobycz; niemal cała głowa Włóczęgi zalana była krwią, ale puls miał wyraźny i mocny. Jego twarz pokryta była obowiązkowym dla jego profesji dwudniowym zarostem, brudem i starymi bliznami. Pozlepiane w strąki włosy sięgały mu niemal do ramion. Jego oddech śmierdział mocną whisky, jedynym rządowym trunkiem, który cieszył się uznaniem Włóczęgów.

A jednak... Pod całym tym brudem i zarostem, mimo od wieków nie mytych włosów i niechlujnego ubrania, na twarzy nieprzytomnego mężczyzny można było dostrzec coś jakby zdrowy, głęboki rumieniec. Tyson dotknął jego czoła: gorące. No jasne, pomyślał. Facet ma gorączkę i stąd te kolory. Twardy Gliniarz zaciągnął męż-

czyznę do samochodu, polecił komputerowi otworzyć tylne drzwi i wepchnął swoją zdobycz do środka.

– Badanie – rzucił krótko, zakładając opatrunek na krwawiącą ranę. W oparciu przedniego siedzenia otworzył się mały schowek; Tyson wyjął z niego dwa cienkie przewody i giętką, przezroczystą rurkę, zakończoną niewielką igłą. Owinął przewody dokoła przegubu lewej ręki rannego i wbił igłę w żyłę na przedramieniu. Po chwili komputer przedstawił diagnozę:

– Temperatura 38,4, tętno 90, ciśnienie krwi 110 na 75. Przyczyna gorączki nieznana; nie stwierdzam żadnej choroby zakaźnej. Zatrzymany potrzebuje Lekarza.

Tyson zaklął szpetnie. Najmniej ze wszystkich rzeczy życzył sobie teraz spotkania z Lekarzem. Gdyby któryś z nich albo, co było bardziej prawdopodobne, kilku z nich, teraz go przechwyciło, Tyson nie miałby nic do gadania. Włóczęga czy nie Włóczęga, ten człowiek kwalifikował się na Pacjenta.

Gdyby się rzeczywiście pośpieszył, mógłby być w mieście za piętnaście minut. Problem polegał na tym, że gdzieś po drodze mogli już czekać spragnieni Pacjentów Lekarze lub żądni jakiegoś obiektu dla swej troski Opiekunowie Społeczni. W dodatku mieliby po swojej stronie prawo. Tyson znał przynajmniej tuzin Prawników, którzy z dokonanego w takich okolicznościach aresztowania potrafiliby zrobić sprawę przed sądem.

Tak czy owak, szybkość pozostawała jego jedynym atutem i bronią. Gdyby udało mu się dotrzeć do miasta, zanim tamci zdążą się jakoś zorganizować, może zdołałby odstawić klienta do Przestawiacza.

Tyson zatrzasnął za sobą drzwi krążownika i oparł ciężko podkuty stalą but na pedale gazu. Samochód wystrzelił do przodu, wyrzucając spod kół fontannę skruszałego asfaltu. Komputer prowadził pewnie i szybko, gwałtownymi skrętami kierownicy omijając widoczne tylko na ekranach skanerów wyrwy.

Z tyłu rozległ się jakiś dźwięk i Tyson odwrócił się, by ujrzeć Włóczęgę wczepionego palcami w siatkę oddzielającą przednie siedzenie od reszty pojazdu.

– Ej, co się dzieje? Co jest, dlaczego...

– Stul pysk, Włóku – warknął Tyson. Wcisnął odpowiedni guzik i z głośników zaczął się sączyć monotonny, skrzypiący głos:

– Masz prawo nie odpowiadać na pytania. Masz prawo...

– Papierosa – zajęczał Włóczęga głosem nadspodziewanie cienkim, jak na tak dużego mężczyznę. – Proszę, daj papierosa...

Tyson od niechcenia wdusił inny przycisk i Więzień wrzasnął przeraźliwie, kiedy 20 000 woltów prądu o niewielkim natężeniu uderzyło w niego z setek rozmieszczonych w tylnej części wozu elektrod, po czym zaczął drgać spazmatycznie, próbując strząsnąć z siebie niezliczone ukłucia przeszywającego bólu. Tyson przytrzymał przycisk jeszcze przez chwilę, po czym cofnął dłoń. Światła na tablicy przyrządów, przygaszone niemal zupełnie, ożyły pełnym blaskiem. Głos z taśmy mówił dalej:

– Jeżeli zrezygnujesz z...

Tysona nic nie obchodziły prawa, które miał lub których nie miał Włóczęga. Wytężał wzrok, wpatrując się przez przednią szybę w coś, co było albo złudzeniem, zbudowanym z ciemności i strachu, albo autentycznym zagrożeniem. Z początku to coś było wąską kreską, przecinającą autostradę w miejscu, w którym odchodziła od niej miejska obwodnica, potem zamieniło się w metalową ścianę, a wreszcie, kiedy krążownik znalazł się już zupełnie blisko, okazało się olbrzymim tabunem zaparkowanych w poprzek drogi karetek pogotowia.

– No, tak – powiedział Włóczęga łagodnym głosem, który zabrzmiał dość dziwnie w ustach tak potężnie zbudowanego człowieka. – Lekarze nie przegapili okazji.

Tyson nie odpowiedział. Wdusił pedał hamulca i ryknął do komputera, że przejmuje prowadzenie. Szarpnął kierownicą, wprowadzając krążownik w boczny poślizg; z tyłu rozległo się głuche uderzenie, kiedy nie przygotowany na to Włóczęga zatoczył się na siedzeniu i rąbnął z całej siły w okno. Dziesięć metrów od pierwszego rzędu karetek samochód stanął. Tyson cofnął raptownie, a potem dał do przodu, skręcając mocno kierownicę. Samochód przebił nadwątloną barierę i wjechał w bujną, wysoką trawę. Karetki, migając kolorowymi światłami, ruszyły w pogoń; przeraźliwe wycie ich syren docierało do uszu Tysona nawet przez ryk silnika jego wozu.

– Chcą dostać swojego Pacjenta – odezwał się niemal wesoło Włóczęga. – Nie możesz trzymać mnie tylko dla siebie.

– Jesteś moim Więźniem, a nie żadnym Pacjentem – warknął Tyson.

– Może i uciekniesz, ale na pewno się nie schowasz. Nie w tym mieście – zauważył spokojnie Włóczęga. Tyson zacisnął muskularne szczęki i skręcił w kierunku obwodnicy. Krążownik wspiął się bez trudu na wysoki nasyp, przemknął przez poszarpany asfalt tuż przed hordą ambulansów i wpadł w zaczynający się po drugiej stronie labirynt ulic. Pościg był tuż za nim. Z pewnością wezwali już posiłki, pomyślał Tyson.

– Jeżeli nie dostaną cię Lekarze, to na pewno uda to się Strażakom. Albo Opiekunom Społecznym. Albo Dentystom. Albo jakimś innym Dobroczyńcom, którzy zdychają w tym mieście, nie mając nikogo, kogo mogliby uratować, wyleczyć, pocieszyć albo coś w tym rodzaju. Zdychają, bo nie mają co robić.

Tyson nie zwracał uwagi na paplaninę Włóczęgi; skręcił raptownie na chodnik, unikając zderzenia z karetką, która wypadła na nich z poprzecznej alei. Krążownik trzepnął zderzakiem w zaparkowany przy ścianie rower, przytarł go, po czym długim, płaskim łukiem odrzucił przed siebie zmiętoszony kęs metalu.

– To najgorsze miasto, jakie widziałem – odezwał się znowu Włóczęga. – No, może z wyjątkiem Ameryki Środkowej, albo Południowej.

– Mmm... – mruknął Tyson, robiąc unik przed wozem ratownictwa technicznego z silnikiem z turbodoładowaniem, który wysforował się na czoło pogoni i o mało ich nie staranował. Ramię hydraulicznego dźwigu, zainstalowanego w tyle pojazdu, zatoczyło szeroki łuk, mijając tylną szybę krążownika nie więcej niż o dziesięć centymetrów. Włóczęga wciągnął spazmatycznie powietrze.

Tyson z całych sił zakręcił kierownicą, wprowadzając wóz w stumetrowy poślizg; obrócili się o 180 stopni i teraz mieli przed sobą pędzącą prosto na nich lawinę stali i pulsującego blasku.

– Światła! – ryknął Tyson.

W osłonie wlotu powietrza do chłodnicy otworzyły się dwie metalowe powieki. Pod każdą z nich kryła się ksenonowa lampa o mocy 100 000 świec w ciągłym blasku, a 400 000 000 przy pracy stroboskopowej. W zalewającym ulicę oślepiającym świetle Tyson ruszył na spotkanie czoła lawiny. Kiedy Kierowcy Karetek przestali cokolwiek widzieć, jej pęd od razu się załamał. Najpierw jeden, potem drugi, a następnie kolejne ambulansy wjeżdżały w wystawy, rozbijały się o ściany, ścinały latarnie. Posypało się tłuczone szkło, rozległ się zgrzyt dartego i skręcanego metalu, jęki... W pewnym momencie skulony na tylnym siedzeniu Włóczęga dostrzegł kątem oka, jak jeden z ambulansów wbija się w sam środek zaparkowanej nieprawidłowo tuż przy chodniku olbrzymiej cysterny. W chwilę później rozbłysła ogromna kula ognia i rozległ się ogłuszający grzmot wybuchu, który przetoczył się po okolicy niczym echo uderzenia jakiejś potężnej pięści.

Tyson akurat skręcał za róg, dzięki czemu uniknął gorącej, pędzącej jak potworne tornado fali uderzeniowej.

– Co to było? – zapytał Tyson.

– Cysterna – odpowiedział niemal bez tchu w piersi Włóczęga. – Benzyna.

– To ich powinno zająć na jakiś czas – mruknął Tyson i odetchnął z ulgą. W lusterku wstecznym widział tylko płomienie i ani jednego ambulansu. – Lekarze pewnie kręcą się tam jak rekiny koło tonącego okrętu. – Zerknął na twarz Włóczęgi i uśmiechnął się, widząc jej wyraz. – Lubisz takie akcje? – zapytał.

– Nie bardzo – przyznał tamten. Rzadko mam z czymś takim do czynienia.

– Ciągle się zdarza. Szczególnie w mieście. Szczególnie w tym mieście. W zeszłym miesiącu bezrobocie doszło do piętnastu procent. Ludzie robią się nerwowi.

– Na szczęście już po wszystkim – powiedział Włóczęga z opuszczonym wzrokiem i dziwnie zmienionym wyrazem twarzy.

– Niezupełnie – poprawił go Tyson. Więzień spojrzał na niego. – Problem polega na tym, że jest jeszcze 5 000 Strażaków, 10 000 Psychiatrów, nikt nie wie ilu Dentystów...

– Och...

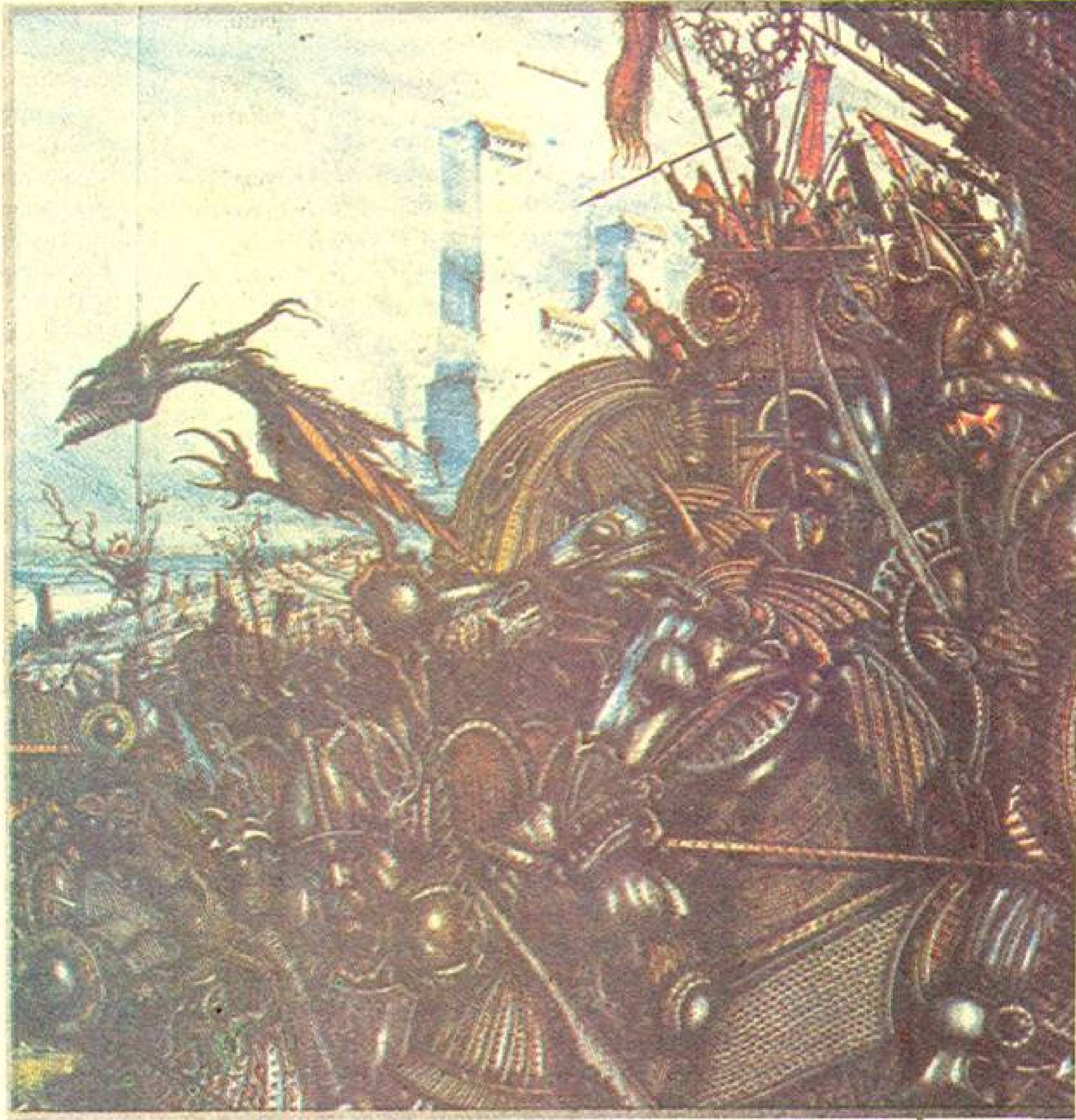
– Właśnie. Zanim dotrzemy do Prze... – ugryzł się w język. – Zanim uda nam się gdziekolwiek dotrzeć...

– Do Przestawiacza?

– Jasne – Tyson wzruszył ramionami. Włóczęga nie spuszczał



Ian Miller





spojrzenia z jego twarzy. – Myślałem, że wiesz. Milion ludzi jest bez pracy. Musimy się jakoś starać.

– Nie wystarczy samo aresztowanie?

– A co masz do stracenia? Jesteś tylko Włóczęgą. Przypuśćmy, że dobiorą się do ciebie Lekarze. Do końca życia nie pozwolą ci wyzdrowieć. Albo Opiekunowie. Będą cię tak rozpieszczać, że w końcu nie będzie ci się chciało nawet rzygać. Natomiast jako Kryminalista mógłbyś wysoko zajść. Może mafia? Przemyt narkotyków? Prawdziwy Boss. Forsa. Kobiety. Kurczę, i podróże.

– Wolę zostać Włóczęgą.

Tyson wzruszył ramionami.

– W porządku, ale sam przyznasz, że to i tak lepiej, niż wpaść w łapy Lekarzy albo Pilotów – spędziłbyś resztę życia latając z portu do portu w klasie turystycznej i jedząc tę zatrutą żywność...

– O Boże... – jęknął Włóczęga, patrząc nie na Tysona, ale gdzieś dalej, przez przednią szybę.

Wóz strażacki zablokował całą szerokość ulicy. Przedni zderzak dotykał niemal ściany budynku, potężne, baloniaste opony miażdżyły krawężnik chodnika, tył niknął w wąskiej, bocznej alejce. Na jaskrawoczerwonej powierzchni złociła się wielka liczba 101. Tyson odwrócił się i ujrzał, jak na jezdnię za nim wytacza się majestatycznie bliźniaczy, ogromny pojazd. Wpadli w pułapkę.

– Nie... – wyszeptał zbielałymi wargami Włóczęga. – Tylko nie to... Nie pójdę. Nie pójdę z nimi. Oni...

– Dobra, dobra – uciszył go Tyson. – Bez paniki.

Ale Włóczęga jęknął rozpaczliwie i opadł bezwładnie na oparcie. Tyson spojrzał znowu przed siebie i zobaczył, że z zagradzającego im drogę wozu wysiada jakaś dwumetrowego co najmniej wzrostu postać. Mimo ogromnej postury mężczyzna lekko i zwinnie zeskoczył na ziemię, po czym bez specjalnego pośpiechu ruszył w stronę policyjnego krążownika. Jego twarz okalała bujna broda, zaś oczy chroniły mu specjalne gogle, niwelujące blask najjaśniejszej nawet, ksenonowej lampy do rozmiarów przytłumionej poświaty. Mimo to Tyson włączył światła, w odpowiedzi na co drugi mężczyzna, usadowiony na szczycie czerwonego wozu, strzelił w nich z obrotowego działka sporym ładunkiem piany. W zetknięciu z gorącym szkłem reflektorów piana zaczęła przeraźliwie skwierczeć, zamieniając się w grube, tłuste płaty kopcia. Tyson starał się zmyć osad, spryskując reflektory strumieniem gorącej wody. Wyłączył jednak i spryskiwacz, i światła, kiedy zobaczył w dłoniach zbliżającego się Strażaka olbrzymią siekierę o szerokim, płaskim ostrzu.

Olbrzym uśmiechnął się i zsunął gogle z twarzy, po czym podszedł do samochodu i jednym, sprawnym zamachem siekiery zmiódł z karoserii wystające guzy reflektorów. Jeden z nich zakołysał się rozpaczliwie, wisząc na pojedynczym, cienkim przewodzie. Samochód aż przysiadł pod uderzeniem.

– Aaa... – jęczał Włóczęga.

Tyson nie czekał na bis, tylko włączył wsteczny bieg i wcisnął pedał gazu. Olbrzym, oświetlony krwawym pobłaskiem migających na dachu wozu strażackiego lamp, zatrzymał się, obserwując jak krążownik cofa się kilkanaście metrów i staje, nie mając którędy wyjechać. Ktoś z drugiego wozu dziabnął w tylną szybę okutym bosakiem.

Strażak ponownie ruszył naprzód. Tyson ryknął z wściekłością i wdepnął na gaz, celując w olbrzymią postać. Strażak z wykrzywioną w niedobrym grymasie twarzą obserwował, jak koła samochodu kręcą się w miejscu, wyrzucając fontanny asfaltu zmieszanego z czarnym dymem. Po niespełna sekundzie Tyson wiedział już, że nie ruszy z miejsca; krążownik przykuty za tylny zderzak do wozu strażackiego nawet nie drgnął.

– Myśl – syknął sam na siebie. – Nie panikuj. Myśl.

– Myślę, myślę!... – odpowiedział zawodzącym głosem jego Więzień. – Myślę, ale nic... Oooo...

Ogromny Strażak zatrzymał się przy drzwiach kierowcy i zastukał w szybę. Tyson wpatrywał się w niego bez ruchu.

– Nie wyrwiemy się stąd siłą – zaskamlał Włóczęga. – Nie damy rady. Żeby się jakoś wyślizgnąć, wyczołgać...

– Znakomicie! – prychnął Tyson. – On chce, żebym otworzył okno.

– Nie, nie! Nie okno. Czekaj! Chyba mam. Wypuść mnie.

– Oszalałeś? – zapytał Tyson, odwracając się na siedzeniu, żeby spojrzeć na Więźnia.

– A mamy jakiś wybór? Zabiją nas tutaj. Daj mi spróbować. Jedź za wozami strażackimi. Udaj, że odjeżdżasz, a potem jedź za nimi. Mam pomysł.

Tyson potrząsnął głową.

– Jesteś moim Więźniem.

Strażak powtórnie stuknął w szybę, tym razem styliskiem siekiery.

– Chyba już niedługo – odparł Włóczęga i Tyson musiał przyznać mu rację. Olbrzym po drugiej stronie szyby gotował się już do zadania pierwszego, morderczego uderzenia, kiedy Tyson odblokował tylne drzwi i Włóczęga wypełznął na zewnątrz. Strażak schwycił zdobycz za gardło i powlókł do najbliższego wozu. W chwilę potem zniknęli w nim obaj, rozległ się niezbyt głośny brzęk, Tyson nacisnął na gaz i jego krążownik bez trudu ruszył naprzód.

Nie miał zamiaru tak łatwo zrezygnować. W tym, co mówił Włóczęga było tyle pewności, że w otchłaniach czarnego pesymizmu, w jakie wpadł Twardy Gliniarz, zapaliła się jednak iskierka nadziei. Ten facet w ogóle jakoś nie pasował do stereotypowego obrazu Włóczęgi. Musiało być w nim coś więcej, coś, czego przyczyną był skręcony dziwacznie gen, owoc frustracji pełniącego – gdzieś, kiedyś – nudny dyżur Geninżyniera.

W górze sześciopiętrowe, ciemne twarze czynszowych kamienic, gapiły się bezmyślnie jedna na drugą. Tyson poczuł się nagle bardzo samotny. Dokoła panował zupełny spokój. Skręcił za róg i ruszył do skrzyżowania, gdzie znowu skręcił w lewo i potoczył się przed siebie w ślimaczym tempie. Przed następnym skrzyżowaniem zahamował łagodnie i ostrożnie wyjrzał: dwie potężne, wielokołowe sylwety oddalały się w przeciwną stronę.

Tyson włączył podczerwony szperacz i w jego niewidzialnym świetle dojrzał na jadącym z tyłu wozie wielkie, złote „102". Skręcił wolno w przecznicę, pozwalając, żeby krążownik wtopił się w zalegającą ulicę ciemność. Z początku pościg był bardzo ostrożny, wręcz nieśmiały. Tyson poczekał, aż przyśpieszające powoli wozy strażackie oddalą się od niego, a potem, kiedy był już pewien, że ich załogi zapomniały o jego istnieniu, zaczął metr za metrem zmniejszać dzielącą go od nich odległość. Nie miał pojęcia, czego i kiedy powinien się spodziewać, ale postawił przecież na swojego Włóczęgę i miał ochotę sprawdzić, czy wygrał.

Jego wiara została wynagrodzona. W pewnej chwili drugi wóz skręcił nagle i nie zmniejszając prędkości rąbnął w ścianę narożnego budynku, przebijając go niemal na wylot. Kiedy wbity do połowy w kamienicę pojazd zamarł w bezruchu, obsunęła się na niego lawina tynku, betonu, a w chwilę potem cały pokój z meblami, telewizorem i łóżkiem, które rąbnęło głośno o chodnik, wyrzucając w ciemność uczepioną kurczowo jego krawędzi ludzką sylwetkę.

Uchyliły się drzwi i z częściowo zmiażdżonej kabiny wyskoczył Włóczęga. Tyson z niedowierzaniem przyglądał się, jak jego Więzień biegnie truchtem przez jezdnię i zajmuje miejsce na siedzeniu obok niego.

– Co się stało? – zapytał Tyson, kiedy już ominął sterczący ze ściany wrak i skręcił w boczną uliczkę.

Włóczęga patrzył prosto przed siebie.

– Najłatwiejsza rzecz na świecie – powiedział. – Nie spodziewali się, że będę czegokolwiek próbował, więc udało mi się złapać za kierownicę. Jedno szarpnięcie i wjeżdżaliśmy już do tego domu. Nie zdążyli nawet zareagować. – Odwrócił się do Tysona. – Dzięki, że zaczekałeś.

Tyson zerknął na niego z ukosa.

– Mieliśmy szczęście. Jakim cudem nic ci się nie stało?

– W ostatniej chwili położyłem się płasko na siedzeniu. Oni nie. – Włóczęga westchnął głęboko. – Wiesz, myślałem o tym, co mówiłeś o Kryminalistach. Tłukę się po świecie już ładnych parę lat, a najczęściej jest tak, że to mnie tłuką. Myślę, że chyba dojrzałem już do czegoś lepszego. I że chyba ty mi podsunąłeś, co to ma być.

Tyson na moment odwrócił głowę w jego stronę. Po czym znowu skierował spojrzenie przed siebie.

– Powinieneś siedzieć z tyłu – powiedział po chwili milczenia.

– Jasne – wzruszył ramionami Włóczęga. – Nie sądzisz, że gdybym chciał uciec, to dawno już bym to zrobił? Poza tym mogę ci się przydać.

– Może – mruknął niezbyt przyjaźnie Tyson.

– No, dobrze – westchnął Więzień. – Zatrzymaj się, to przejdę do tyłu.

Tyson rozejrzał się dookoła. Znajdowali się już ponad milę od wraku wozu strażackiego i kierowali się w przeciwną stronę niż ta, gdzie znajdowało się laboratorium Przestawiacza. Oznaczało to, że będzie musiał zawrócić, a tego bardzo nie lubił. Szukali go wszyscy Kierowcy Karetek w mieście, podobnie jak Strażacy; niewykluczone, że za jego głowę wyznaczono już nagrodę, a on nie miał najmniejszego zamiaru dać komuś na sobie zarobić.

– Nie mamy czasu – mruknął. – Będziemy musieli się pospieszyć. Walimy prosto do Przestawiacza.

– Świetnie – skinął głową Włóczęga.

Owe „prosto" skończyło się jednak już pięć przecznic dalej. Silny oddział Opiekunów Społecznych, mających swą bazę w pobliskim Domu Spokojnej Starości wzniósł w poprzek ulicy barykadę. Kiedy Tyson ją zauważył, na cyfrowym prędkościomierzu krążownika widniała liczba 160. Nie miał nawet czasu, żeby cokolwiek pomyśleć.

– W lewo! – krzyknął Włóczęga i Tyson szarpnął kierownicę, wprowadzając krążownik szerokim poślizgiem w aleję zakończoną czymś w rodzaju placyku. Przez chwilę wydawało mu się, że znaleźli się w ślepym zaułku, ale po drugiej stronie placyku otworzyła się następna alejka. Tyson wcisnął się w nią, żeby po chwili wypaść na szeroką ulicę. Nie miał zielonego pojęcia, gdzie jest.

– W prawo – pomógł mu Włóczęga.

Tyson zawahał się na ułamek sekundy, ale posłuchał.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

– Nie bój się. Przez ostatnie dwadzieścia lat często tutaj bywałem. Znam to miasto równie dobrze, jak ty. Niektóre dzielnice znam lepiej, bo Gliniarze nigdy się w nich nie pokazują.

Tyson skupił się na prowadzeniu samochodu. Jednego był pewien: cały czas oddalali się od laboratorium Przestawiacza. Skręcił na oślep w jakąś ulicę i niemal władował się w gromadę karetek. Ich Kierowcy wysypali się z nocnego baru niczym rój pszczół i ruszyli w pogoń.

Spełniły się jego najgorsze obawy: Kierowcom Karetek nie chodziło już o Pacjenta. Wielu z nich zginęło, zmiażdżonych lub spalonych w swoich wozach, a przyczyną tego był on, Tyson, Twardy Gliniarz.

– Tędy – pokierował nim zaniepokojony wyraźnie Włóczęga. Karetki były tuż, tuż. Wziął ostro zakręt, niemal lądując na dachu; Kierowca siedzącego mu na ogonie ambulansu nie miał tyle szczęścia – jego samochód przekoziołkował kilkakrotnie, miażdżąc zaparkowane przy chodniku pojazdy.

– Dobra robota – stwierdził z uznaniem Włóczęga. – Chyba wiem, jak się stąd wydostać. O ile sobie przypominam...

– Byłoby miło, bo ja nie mam pojęcia gdzie jestem – warknął Tyson.

– Teraz w lewo.

Krążownik runął w dół brukowaną uliczką, wzdłuż której stały chylące się powoli ku ruinie magazyny. Nagle ciskające nimi we wszystkie strony wyboje ustąpiły miejsca gładkiej, betonowej nawierzchni; znajdowali się na drodze dojazdowej do okalającej port autostrady.

– I gaz do dechy – rzucił niemal wesoło Włóczęga. Tyson rozpędził wóz do dwustu kilometrów na godzinę. Po czym wyłączył światła i przekazał prowadzenie komputerowi, któremu nawet przy tej szybkości wystarczyła podczerwień i radar. Wpadli w ścianę mgły tak gęstej, że momentami niknęła nawet przesuwająca się pod nimi nawierzchnia autostrady.

Włóczęga wydawał się zupełnie odprężony. Tyson nie mógł sobie na to pozwolić; dałby wiele za to, żeby wiedzieć, gdzie u licha, jest.

Otaczająca ich mgła zaczęła się powoli rozjaśniać. Świt. Nadchodził od morza, z lewej strony.

– Ile przejechaliśmy? – zapytał Włóczęga.

– Prawie 50 kilometrów – odpowiedział Tyson. – Kawał drogi od Przestawiacza.

– Pojedziemy wzdłuż brzegu – stwierdził Włóczęga. – Jak zacznie się ruch, to nie będziemy rzucać się w oczy. Za godzinę powinniśmy być na miejscu. Skręć w najbliższy zjazd.

Tyson przejął prowadzenie, zwolnił i zjechał na podmiejską, dwukierunkową szosę, prowadzącą prosto w najbardziej gęstą mgłę. Mimo to już nie hamował, na wypadek, gdyby się okazało, że jednak będzie im potrzebna szybkość. Po pięciu minutach nie napotkali żadnego samochodu, a czujniki podczerwieni i radar stwierdziły jednomyślnie, że szosa jest pusta zarówno przed, jak i za nimi.

– Skręć tutaj – powiedział Włóczęga.

– Tu? Dojedziemy do oceanu.

– Jeśli pojedziesz prosto tą drogą, po pięciu kilometrach znajdziesz się w małym miasteczku, którego szeryf będzie poczytywał sobie za punkt honoru, żeby uwolnić cię od mojego towarzystwa. Tam, w mieście, macie za mało Kryminalistów; wyobrażasz sobie, co się dzieje tutaj? Pojedziemy drogą wzdłuż plaży. Tam nic nam nie będzie grozić.

Tyson zastanowił się przez chwilę, po czym skręcił w szutrową drogę. Po pewnym czasie szuter ustąpił miejsca piaskowi, a potem pojawiły się wydmy i droga w ogóle zniknęła.

Krążownik, mieląc kołami sypki piasek wspinał się właśnie na jedną z wydm, kiedy mgła rozstąpiła się i znad kobaltowoniebieskiego morza spojrzało na nich oślepiająco jasne słońce. Ocean rozpościerał się od horyzontu po horyzont niczym ogromna, bezkresna scena. Tyson zahamował, żeby przyjrzeć się sielankowemu widokowi; gdzieś daleko, widoczny tylko jako mały punkcik, pełzł przed siebie statek.

Włóczęga błyskawicznym ruchem wyciągnął z kieszeni małą, szklaną ampułkę i utrącił jej szyjkę. Momentalnie ze szklanego pojemniczka zaczął się wydobywać bladożółty dym, wypełniając wnętrze samochodu. Tyson niemal od razu domyślił się, co to jest: sam dym był nieszkodliwy, stanowił bowiem tylko nośnik dla śmiertelnej, działającej na układ nerwowy trucizny. Najpierw porazi nerwy ruchowe, paraliżując jego ręce, nogi, palce, potem szyję, głowę i język. W następnej kolejce porażeniu ulegnie układ pokarmowy, a wkrótce potem serce i płuca. Ostatni umrze mózg; to nie potrwa zbyt długo.

Włóczęga usiadł bokiem na fotelu, przyglądając się sparaliżowanemu Tysonowi. Wszczepiona odtrutka, pomyślał Twardy Gliniarz. Stąd ta gorączka. Pewnie tak samo załatwił tych Strażaków. Jego własne myśli wydawały mu się jakieś dziwne, jak buty, które nie wiadomo dlaczego przestały nagle pasować. Było mu zimno i czuł ogromne zmęczenie. Już niedługo.

Włóczęga delikatnie dotknął pokrytej ostrym, jednodniowym zarostem twarzy Gliniarza i przekręcił jego głowę tak, żeby mógł spojrzeć przez boczną szybę.

– Bardzo nam pomogłeś – powiedział. – Jesteś niezwykle brutalnym człowiekiem, ale nawet dla ciebie znalazło się miejsce w tym żałosnym społeczeństwie. Przez jedną noc dostarczyłeś nam tyle pracy, że wielu z nas będzie miało za co żyć przez kilka tygodni. – Przerwał, żeby po chwili dodać: – Dziękuję ci, przyjacielu. Dziękuję w imieniu mojej żony i dzieci.

Tyson już ledwo to słyszał, ale jego gasnące spojrzenie zatrzymało się jeszcze na chwilę na długim, czarnym pojeździe, który wyłonił się zza szczytu sąsiedniej wydmy i skierował w ich stronę. Karawan. Jechali po niego Grabarze.

Przełożył **Arkadiusz Nakoniecznik**

Michael D. MILLER

42-letni doktor filozofii pracujący w dziale współpracy z klientem największego na świecie koncernu telefonicznego (AT & T). Pisał od lat 15, ale dopiero to opowiadanie zostało wyróżnione na słynnym konkursie dla debiutantów „Writers of the Future". Ufundowany przez zmarłego niedawno pisarza L. Rons Hubbarda (który wzbogacił się na wymyślonej przez siebie religii), konkurs zgromadził znakomite jury z Algisem Budrysem na czele i co roku owocuje tomem debiutów. Dzięki hojności Hubbarda honoraria są wielce zachęcające, a znakomita reklama zapewnia wyróżnionym autorom mocne wejście do świata literatury SF. Korzystając z uprzejmości wydawnictwa NEW ERA będziemy zapewne nieraz przedstawiać pisarzy wyróżnionych w tym jedynym w swoim rodzaju konkursie.

L.J.

ciąg dalszy z II strony okładki

Ian Miller

To, co na ogół nazywa się millerowskim surrealizmem bierze się być może z faktu, że artysta traktuje dziedzictwo sztuki europejskiej z godnym podziwu lekceważeniem, czerpiąc z wielu, pozornie najzupełniej przeciwstawnych tradycji. To, że studiował w końcu brzemiennej w wydarzenia dekady lat sześćdziesiątych, zbliżyło go do sztuki orientalnej, zwłaszcza tradycyjnej japońskiej sztuki pejzażu. Na tym jednak nie koniec. Miller ma także inne wzory: *Nigdy nie wyznawałem kultu bohaterów, jestem jednak głęboko przywiązany do dwóch artystów. Są to Dürer i da Vinci. Jest w ich dziełach coś, do czego sam próbuję dążyć. Nie znaczy to jednak, że nie szukam natchnienia w bardziej współczesnych źródłach, na przykład u niemieckich ekspresjonistów. Najwięcej daje mi Dürer. Mam album jego dzieł i często go przeglądam, niezależnie od tego, nad czym właśnie pracuję. Być może nie znajdę w nim rozwiązania tego akurat problemu, który właśnie mnie dręczy, ale samo odwracanie kartek, samo przyglądanie się grafikom i obrazom jakoś mi pomaga.*

Kariera Iana Millera była szybka i błyskotliwa. Zaraz po ukończeniu szkoły zamknął się w garażu rodziców, niemal przez trzy miesiące nie wychodząc na światło dzienne. Rezultatem była teczka krajobrazów (!), oczywiście fantastycznych, na podstawie której znalazł sobie sponsora. No, a później mógł już pracować bez przeszkód. Lecz choć tworzy przede wszystkim ilustracje i okładki, używając najczęściej rapidografów, z tej





Myślę ołówkiem



pierwszej, przedłużonej w czasie „próby talentu" pozostała mu tendencja do pracy cyklami. W każdym z jego rysunków i obrazów, a także pomiędzy nimi, istnieje łączność, narracja. *W każdej mojej pracy jest opowieść. Nim zacznę rysować, przeważnie piszę i słowo pisane kieruje obrazami. Sądzę, że większość moich rysunków wywiodła się od słowa pisanego.*

Tego rodzaju nastawienie znakomicie pomaga w pracy nad ilustracjami książkowymi, bowiem ułatwia czytanie książek, które *dają źródło odwołań, stały punkt zaczepienia. Po przeczytaniu książki przechodzę przez stadium, które można nazwać „hieroglificznym". Myślę ołówkiem, bazgrząc nim po kartkach papieru, aż pojawi się coś, czego można ewentualnie użyć.* Tym czymś bywają najczęściej obrazy zawierające odwołania i nawiązania do rzeczywistości: ryby, muchy, wilkołaki ... zawsze umieszczone w pół drogi między formami ożywionymi a przedziwnymi maszynami. *Myślę, że muszą one coś symbolizować – może szczególne nastawienie życiowe. Widzowie dopełniają me obrazy swą wyobraźnią, której siła nie przestaje mnie zdumiewać. Oznacza to jednak, że tworzone przeze mnie wizerunki ocierają się o tę granicę, na której normalność zmienia się w nienormalność, w fobię, nawet jeśli świadomie tego nie zamierzałem. Pracuję ciężko, od widza otrzymuję jednak wyraźną odpowiedź.*

Krzysztof Sokołowski

Cytaty z „The Guide to the Fantasy Art Techniques", London 1984.

NA STATKU

(On the Ship)

Andrew Weiner

Szaro. Ocean widziany przez okno salonu przypominał wielką szarą masę, nad którą wisiało wielkie szare niebo. Ocean był spokojny, a mimo to statek kołysał się nieznacznie...

Statek.

Co ja do cholery robię na statku? – zastanawiał się Luman.

Złapał się krawędzi stołu, na którym stała nie dopita filiżanka kawy. Zamknął oczy. Kiedy je znów otworzył, sceneria była ta sama. Szare niebo, szary ocean, prawie pusty salon, a przed nim nie dopita filiżanka kawy.

Nadmorska kawiarnia – powiedział sobie – jestem w nadmorskiej kawiarni. Chociaż Bóg jeden wie, skąd się tu wziąłem.

Ale w momencie, kiedy się podniósł, poczuł bardzo wyraźnie ruch statku.

Statek-restauracja, pomyślał, zacumowany do nabrzeża. Kiedy jednak szedł przez salon do schodów, które najprawdopodobniej wiodły na pokład, poczuł pod stopami lekkie pulsowanie dalekich maszyn.

Jak to się mogło stać? – rozpamiętywał. – Jeszcze przed chwilą był... gdzie? Pamięć uparcie odmawiała mu posłuszeństwa. Ale przecież nie tu, nie tu...

Zanik pamięci. Ciemna plama. Czyżby pił? Nawet jeśli, to przecież nie aż tak. W ogóle pił niewiele. A kiedy się zdarzyło, że przeciągnął strunę, to przecież nigdy nie stracił świadomości przenoszenia się z miejsca na miejsce.

Wyszedł na pokład. Panował tu chłód i Luman zadrżał w swoim cienkim, letnim garniturze. Pokład był ogromny. Ciągnął się na setki metrów w każdą stronę. Z pewnością nie był pokładem statku-restauracji. Raczej statku pasażerskiego, który do tego płynął. Kiedy Luman skręcił za nadbudówkę, stwierdził, że ze wszystkich stron widać tylko morze.

Mimo chłodu zaczął się pocić. Serce waliło mu jak młotem; dusił się.

Usiądź – powiedział sobie – usiądź. Przypomnij sobie. Wszystko po kolei. Pomyśl.

Usiadł na fotelu i wpatrzył się w morze.

Nazwisko – pomyślał – Dick Luman.

Zawód. Specjalista od kontaktów z klientami. Nowoczesna Reklama, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Miejsce zamieszkania. Toronto, Kanada.

Stan cywilny. Rozwiedziony.

Wiek. Czterdzieści jeden lat.

Miejsce urodzenia. Londyn. Anglia.

Numer polisy ubezpieczeniowej. Nigdy nie mógł zapamiętać numeru swojej polisy.

Obecne miejsce pobytu. Nieznane.

Zapytaj – pomyślał – zapytaj policjanta. Albo kogokolwiek.

Zupełnie bez sensu przypomniały mu się jego stałe kłótnie z Carole. Podczas wyjazdów wakacyjnych czy po prostu kiedy jechali do jakiejś nieznanej dzielnicy miasta nigdy nie chciał zapytać o drogę, choćby nie wiadomo jak beznadziejnie zabłądził. Jakby zapytanie o drogę było przyznaniem się do słabości. Już raczej wolał godzinami jeździć bez celu.

Dla Carole było to oczywiście typowo *męskie*, chociaż Luman nigdy nie widział, żeby jedno z drugim miało jakikolwiek związek.

Oczywiście, zdarzają się sytuacje, w których człowiek po prostu powinien zapytać. I to była właśnie jedna z takich sytuacji. Obojętne, jak idiotycznie to zabrzmi. Wstał.

Pokład wyludnił się prawie zupełnie. Tu i ówdzie jednak, na całej jego niebywałej długości, trafiali się pojedynczy pasażerowie i pary. A skądś, z bardzo daleka doszedł Lumana śmiech dziecka. Nieuchronnie pomyślał o Melanie. Żołądek podjechał mu do gardła.

Podszedł do [illegible] pary, która okutana w koce siedziała na chłodnym wietrze.

– Przepraszam bardzo – zaczął i zawahał się, niepewny, co powiedzieć.

– Słucham? – zapytał mężczyzna. Wyglądał na człowieka pod osiemdziesiątkę, miał wspaniałą siwą czuprynę i wąsy w angielskim stylu. W niemiły sposób przypominał Lumanowi nauczycieli z jego szkolnych czasów.

– Przepraszam, że państwa niepokoję, ale czy mogliby mi państwo powiedzieć... wiem, że to głupio zabrzmi, ale... musiałem zapomnieć, gdzie jestem?

– Słucham? – powtórzył starszy pan.

– Czy państwo mogliby – podjął Luman – mi to powiedzieć? Powiedzieć mi, gdzie jestem.

Starszy pan zaśmiał się. Trącił swoją towarzyszkę, drzemiącą na sąsiednim fotelu małą, starszą jak on kobietę z włosami zrobionymi niebieską płukanką.

– Ten młody człowiek – powiedział – nie wie, gdzie jest. – Po czym zwrócił się do Lumana. – Jest pan na statku, młody człowieku.

– Tyle wiem – odparł Luman ze źle ukrywaną irytacją. – Widzę. Ale na jakim statku? I dokąd ten statek płynie?

– Drobiazgi – odparł starszy pan. – Młodzi mają dziś bzika na punkcie drobiazgów. Jak pan będzie w moim wieku, to pan zrozumie, że cel się nie liczy. Ważna jest sama podróż. Niech pan posłucha mojej rady: trzeba mieć czas na to, żeby się cieszyć zapachem kwiatów, młody człowieku.

– Tu nie ma żadnych kwiatów. – Luman już nie ukrywał wściekłości. – A ja nie jestem młodym człowiekiem, mam czterdzieści jeden lat. I byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał odpowiedzieć na moje pytanie.

Starsza pani zwróciła się do swego partnera:

– Ten młody człowiek cierpi pewnie na amnezję. Jak ta

biedaczka po wypadku samochodowym, która leżała w Szpitalu Centralnym.

– Amnezję! – parsknął mężczyzna. – Tak to nazywają? Bo ja nazywam to niechlujstwem. I lenistwem, najzwyczajniej i po prostu. Popatrz na mnie. Siedemdziesiąt osiem lat i jeszcze nigdy niczego nie zapomniałem. Pamiętam nazwiska wszystkich chłopaków, których w życiu uczyłem. Trzeba tylko trochę dyscypliny, nic więcej. – Przyjrzał się Lumanowi.

– A jeśli już o tym mówimy, to ja skądś pana znam. Rocznik 53. Gruman. A może Blumen? Tak, Bluman. Był z pana kawał nieznośnego szczeniaka. Lekcje nigdy nie odrobione, o ile sobie przypominam. I chyba niewiele się zmieniło, co?

– Luman. Nazywam się Luman. Czy uczył pan w szkole powszechnej w Hillcrest?

– W Fieldstone – odparł mężczyzna. – Jakieś czterdzieści lat temu.

– Nigdy nie słyszałem o Fieldstone – powiedział Luman. – Pan się musi mylić. – Mimo wszystko mężczyzna wydawał mu się znajomy. – A czego pan uczył?

– Fieldstone – upierał się stary. – Fieldstone. Łacina. Rocznik 53.

– W życiu nie uczyłem się łaciny – obruszył się Luman. – A zresztą gdzie jest Fieldstone? Ja chodziłem do szkoły w północnym Londynie.

– Na południu – wyjaśnił mężczyzna. – Południowy Londyn, Fieldstone, łacina, rocznik 53. Nie zdarzyło się, żebym zapomniał nazwisko czy twarz. Przypomnij sobie, chłopcze. Pomyśl.

– Ludzie cierpiący na amnezję tracą pamięć – wtrąca się starsza pani. – Nawet nie można od nich wymagać, żeby cokolwiek pamiętali. On mi przypomina tę biedaczkę Ellen ze Szpitala Centralnego. Dopóki się nie palnęła w głowę, za Boga nie przypomniała sobie, jak się nazywa... – Popatrzyła na Lumana surowo. – Uważam – dodała – że powinien pan się pokazać lekarzowi okrętowemu. To podobno bardzo sympatyczny człowiek.

– Nie mam zamiaru chodzić do żadnego lekarza – rzekł Luman. – Chcę się po prostu dowiedzieć, jak się nazywa ten statek i dokąd płynie.

– Ach, ten Bluman – powiedział mężczyzna – nic się nie zmieniłeś. Jak zawsze w gorącej wodzie kąpany.

– A gdzie – spytał Luman przez zaciśnięte zęby – mogę znaleźć ochmistrza?

– Schodami w dół, w prawo, jeszcze raz w prawo i drugie drzwi na lewo. Trudno zabłądzić – wyjaśnił starszy mężczyzna

– Dziękuję – odparł Luman.

Ach – rzekł wstając zza biurka ochmistrz i wyciągnął rękę. – Pan Newman. Zadowolony pan z podróży? Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku? Pogoda wprawdzie dziś nie nadzwyczajna, ale z pewnością wkrótce się poprawi.

– Luman – odparł Luman. – Nazywam się Luman.

– Niemożliwe. – Ochmistrz potrząsnął głową. – A to dureń ze mnie. – Zaczął grzebać w papierach na biurku. – Aha – powiedział. – Newman. Kabina 878. Nie można wierzyć tym biurom podróży.

– Czy myśmy się kiedyś poznali? – zdziwił się Luman. – Pan robi wrażenie, jakby mnie pan znał.

– Twarze i nazwiska – rzekł ochmistrz. – Staram się je zawsze pamiętać. Najważniejsze to dyscyplina. Chociaż trudno zapamiętać tylu pasażerów.

– Ilu?

– Podczas tego rejsu? Paruset. Teraz nie sezon, pan rozumie. Ale zabieramy i kilka tysięcy.

– Może się to panu wydać dziwne – rzekł Luman – ale chyba straciłem pamięć. Przynajmniej częściowo. Zupełnie nie pamiętam, żebym wsiadał na ten statek. Nie wiem, dokąd on płynie. Nie wiem nawet, jak się nazywa.

Ochmistrz patrzył zatroskany.

– To musi być bardzo deprymujące, panie Newman. Wyobrażam sobie, jak pan się czuje.

– Luman – poprawił niemal odruchowo Luman.

– Oczywiście – odparł ochmistrz. – W każdym razie nie powinien się pan denerwować. To by panu zepsuło cały urlop. Zaraz zadzwonię do doktora Phippsa i zobaczymy, czy jeszcze pana zmieści.

– Nie mam zamiaru iść do żadnego doktora. Chcę wiedzieć, dokąd płynę i jak się nazywa ten statek.

Ochmistrz zastanowił się.

– Naturalnie mógłbym to panu bardzo łatwo powiedzieć, ale wcale nie jestem pewien, czy by to było wskazane. Żeby nie było tak jak z obudzeniem lunatyka. Pan rozumie, szok... – zrobił nieokreślony gest. – Przyznam się szczerze, że się na tym nie znam i że wolałbym tę sprawę zostawić doktorowi Phippsowi.

Czyżby to był sen? – zastanawiał się Luman. Koszmarny, powracający sen, z którego się wkrótce obudzę? Może gdybym miał krzyknąć...

Zacisnął pięści.

– W porządku – powiedział – pójdę do tego waszego doktora Phippsa.

Lekarz okrętowy był gruby, łysy i z wyglądu dobroduszny.

– Dzień dobry panu, panie Newman – powiedział. – Jak pan się dzisiaj miewa?

– Luman – sprostował Luman.

– Luman? – zdziwił się doktor. – Bardzo pana przepraszam. Widocznie źle usłyszałem ochmistrza przez telefon. – Zanotował coś w leżących przed nim papierach.

– Aha, widzę, że pan pracuje w reklamie.

– Kontakty z klientami. To zbliżona dziedzina. Ale skąd pan wie, gdzie ja pracuję?

– Jeśli mamy dbać o naszych pasażerów, musimy mieć pełne informacje. Reklama to bardzo nerwowa praca, prawda?

– Dział kontaktu z klientami – powtórzył Luman. – Owszem, dosyć. A dlaczego?

– Usiłuję dotrzeć do źródeł pańskich kłopotów, panie...

– Luman – powiedział Luman. – A źródło moich kłopotów polega na tym, że nie wiem, gdzie jestem.

– Istotnie – zgodził się z nim doktor.

– No więc gdzie jestem?

– Panie... panie Luman, to że pan nie wie, gdzie pan jest, to jeszcze nie problem. To zaledwie s y m p t o m pańskiego problemu, jego zewnętrzna manifestacja. Pytanie brzmi nie c o pan zapomniał, tylko d l a c z e g o pan zapomniał. Może zechce mi pan powiedzieć coś niecoś o swoim dzieciństwie, panie Luman.

– Czy pan jest psychiatrą, doktorze Phipps?

– Tak po amatorsku – odparł doktor bagatelizująco machnąwszy ręką. – Pan rozumie, jak się jest lekarzem okrętowym, trzeba się znać na wszystkim po trochu. Nieraz mi się zdarzyło, że musiałem i zęby wyrywać...

– Jeżeli pan nie jest psychiatrą, doktorze Phipps – odrzekł Luman – to nie będę tracił czasu na dyskutowanie z panem o moim dzieciństwie czy o tym, jak nerwowa jest moja praca. Gdyby pan mógł mi po prostu powiedzieć, gdzie jestem i dokąd płynę, to z pewnością reszta przyjdzie sama.

– Pan mi utrudnia sprawę, panie Newman – rzekł opryskliwie lekarz. – Jak mam panu pomóc, skoro sam pan sobie nie chce pomóc. Może pan wróci do mnie, jak już się pan na coś zdecyduje. – Nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. – Proszę następny. – Poważnie skinął głową w stronę drzwi.

Luman przemierzał swoją kabinę. Zwariowany statek, myślał. Czy ktoś tu w ogóle jest normalny?

Klucz od kabiny miał w kieszeni marynarki. A w szafie w kabinie wisiało jego ubranie. Musiał się najwyraźniej przygotować na długą podróż, tyle że nie pamięta, żeby się w ogóle pakował.

Na drzwiach kabiny widniały przepisy bezpieczeństwa na statku. W szufladzie biurka leżało menu posiłków serwowa-

nych w kabinie. Ale w żadnym z tych dokumentów nie było ani nazwy statku, ani linii oceanicznej. Nie znalazł też na szalupach nic takiego, co by mu pomogło zidentyfikować jednostkę. Najwyraźniej był to statek bez nazwy.

Co więcej, każdy kogo zapytał o nazwę czy port przeznaczenia statku, dawał mu odpowiedzi wymijające.

Jakaś mistyfikacja, pomyślał. Pułapka. Ale kto by zastawiał pułapkę na pracownika działu kontaktów z klientem, człowieka w średnim wieku, i po co. I kto by sobie zadał tyle trudu? Nikt. To się nie trzymało kupy.

Śpię, pomyślał, albo mam halucynacje. Albo rzeczywiście cierpię na amnezję i mam wyjątkowego pecha...

Wyszedł z kabiny, żeby szukać kogoś normalnego.

Pustka. Kiedy penetrował ogromny statek, wrażenie pustki jeszcze się spotęgowało. Nieliczni ludzie, na których się od czasu do czasu natykał, w zestawieniu z ogromem statku wydawali się jeszcze mniejsi. Nawet załoga była jakby szczątkowa. Kiedy poszedł na drinka do jednego z trzech barów, stwierdził, że na sali, która z łatwością mogłaby pomieścić dwieście osób, jest tylko jeden kelner. A jednak tych kilka osób, które zajmowały to ponure pomieszczenie, też nie było w stanie zmusić go do działania.

W końcu baru siedziała starsza para, którą Luman poznał na pokładzie. Kobieta zrobiła taki ruch, jakby zapraszała Lumana do stolika. Luman udał, że ich nie widzi, i skierował się do kobiety, która siedziała samotnie w loży pod ścianą.

Była dość przystojną drobną blondynką o krótkich włosach, w wieku około trzydziestu pięciu lat, ubraną w sposób typowy dla kobiet pracujących, i to na stanowisku kierowniczym: ciemna spódnica i taki sam żakiet, jedwabna bluzka, pojedynczy sznur pereł, poza tym żadnej biżuterii, skromny makijaż. Luman musiał ją znać, przynajmniej jako typ, a może nawet bliżej, ale nie mógł jej sobie w tej chwili skojarzyć. Może mu po prostu kogoś przypominała.

Tylko teraz ostrożnie – upomniał się – tylko ostrożnie.

– Czy pani pozwoli, że się przysiądę?

Kobieta podniosła wzrok i przez dłuższą chwilę mierzyła go spojrzeniem.

– Proszę bardzo – odparła.

Usiadł i wyciągnął rękę.

– Dick Luman – przedstawił się.

– Nancy Singer – dziewczyna mocno uścisnęła mu dłoń. W jej oczach dostrzegł błysk inteligencji, a może nawet zainteresowania. W innych okolicznościach Luman z pewnością by się nią zajął, ale teraz miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Paskudna pogoda – zagaił.

– Rzeczywiście. Ale wkrótce powinno się ocieplić.

– Jak dopłyniemy do wyspy – rzekł Luman.

Dziewczyna spojrzała na niego pytająco, ale nic nie powiedziała.

– To dziwne – spróbował Luman z innej beczki – jaki ten statek jest pusty, jak nawiedzony przez duchy.

– W pewnym sensie – odparła dziewczyna – ale dla mnie to jest miła odmiana. W stosunku do miasta.

– Pani jest z Nowego Jorku? – próbował zgadnąć Luman.

– Pochodzę z Nowego Jorku, ale już od kilku lat mieszkam w Chicago.

– Ja jestem z Toronto – poinformował ją Luman. – Ale byłem w Chicago. To bardzo dynamiczne miasto.

– A ja byłam w Toronto. Ładne miasto. Bardzo czyste.

Rozmowa toczyła się stereotypowo. A teraz kolej na: Co pani robiła w Chicago? Czym się pani w ogóle zajmuje? Co pani robiła w Toronto?

– Wygląda na to – powiedział szybko – że ten rejs nie cieszy się zbytnim powodzeniem. O tej porze roku...

– Niezależnie od pory roku.

– Odbywała już pani wcześniej taki rejs?

– Kiedyś, raz.

– Ja nigdy. Jakoś nigdy nie było to moim marzeniem.

– Takie jest życie – powiedziała dziewczyna. – O różnych rzeczach człowiek marzy. I w końcu ma, czego chciał. Tyle tylko, że nigdy nie wie, że o tym marzył.

Luman nie z tego nic zrozumiał.

– Trudno się wyrwać z pracy.

Znów spojrzała na niego pytająco.

– Och – powiedziała – z pewnością się bez pana obejdą. I beze mnie też, jeśli już o to chodzi. Nie ma ludzi niezastąpionych. – Przerwała i jakby znów zaczęła mu się przyglądać. – Ja pana chyba skądś znam – dodała. – Pan się nazywa Leeman?

– Luman.

– Musieliśmy się już kiedyś spotkać – powiedziała. – Na konwencji działów sprzedaży w San Francisco. Pan pracuje w marketingu, prawda?

– W dziale kontaktu z klientami – sprostował. – I nigdy nie byłem na konwencji działów sprzedaży w San Francisco. Ani na żadnej innej konwencji. Ale w San Francisco byłem.

– Dział kontaktu z klientami – powtórzyła. – To dziwne. A ja byłam pewna... dział kontaktu z klientami. Czy nie uważa pan, że to brudna robota?

– Niespecjalnie.

– To znaczy mam na myśli, że trzeba jednak trochę naginać prawdę.

– Może trochę. Czasem trochę bardziej niż trochę. – Ale my też troszczymy się o sprawy środowiska, pomyślał. I bardzo się staramy ten problem rozwiązać... jeśli chodzi o wypadki, mamy nieskazitelne konto... Nasze zyski obracamy dla dobra narodu...

– I może pan z tym żyć?

– Mogę. To koszty własne. Jeśli mam być szczery, prawie o tym nie myślę. Są ludzie, którzy dla forsy robią znacznie gorsze rzeczy.

– Ale czy to o to chodzi?

Mam nadzieję, pomyślał Luman, że w pracy nie wstawia takich gadek. Bo jeśli tak, to daleko nie zajdzie... Zresztą to nie jego sprawa. Usiłował zmienić temat.

– Rzeczywiście mogliśmy się spotkać – powiedział – być może oferowałem swoje usługi pani przedsiębiorstwu. – Przyjrzał się jej bliżej. – Tak. Teraz sobie przypominam. Jak pracowałem w naszym biurze w New Jersey. Wy się zajmujecie komputerami, prawda?

– Grami wideo – odparła dziewczyna. – A poza tym nigdy nie pracowałam w New Jersey. Ale jestem przekonana, żeśmy się już kiedyś spotkali. – Zawiesiła głos. – Szczerze mówiąc, wydaje mi się, żeśmy nawet ze sobą sypiali.

Luman cofnął się i zaczął się bawić szklaneczką, żeby pokryć zmieszanie.

– Proszę mi powiedzieć – podjęła dziewczyna – czy ma pan... masz na lewym ramieniu myszkę?

– Na prawym. Właściwie znamię.

– I pod prysznicem śpiewasz „Wielkie kule ognia".

– Czasem biorąc prysznic lubię sobie pogwizdać. Najczęściej polkę.

– I jajka jesz na miękko. Dwuminutowe.

– Trzyminutowe.

– Tak, to musiałeś być ty.

– Bardzo mi przykro – powiedział Luman. – Ale jakoś nie mogę sobie pani skojarzyć.

Zorientował się, że to, co powiedział, nie wypadło najzręczniej. Ale co by w takiej sytuacji wypadło zręcznie?

– Jesteś żonaty i masz jedną córkę.

– Jestem rozwiedziony. – I po chwili dodał: – Umarła. Moja córka umarła.

– Och, bardzo przepraszam. – Dotknęła jego ramienia. – A w jakich okolicznościach?

– Utopiła się. Wystarczyło, że się na moment odwróciliśmy...

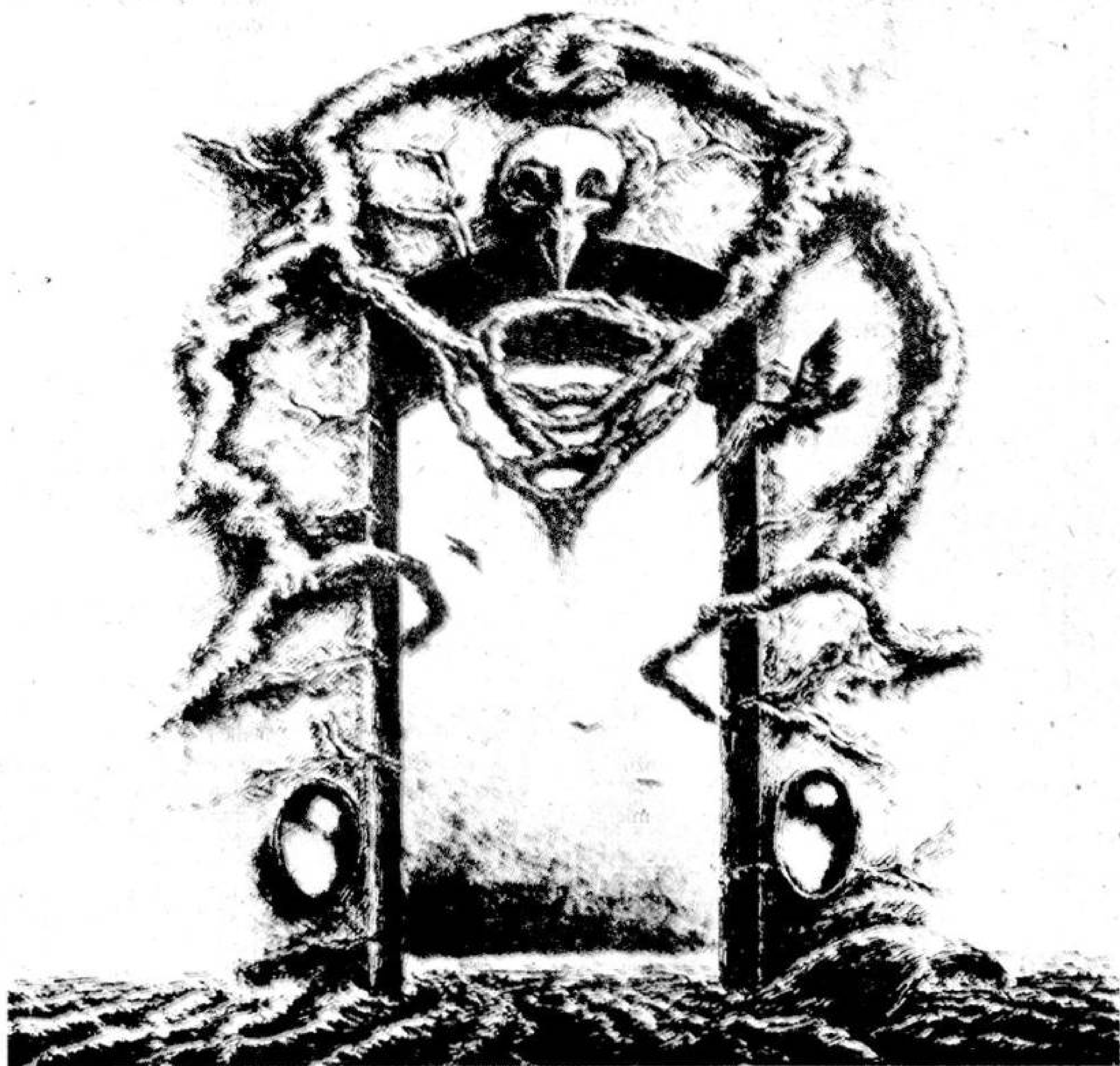
– Och, jak mi przykro – powtórzyła.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– No cóż – powiedziała w końcu wstając od stołu – pewnie się spotkamy na kolacji.

– Chwileczkę – rzekł Luman z naleganiem. – Jeszcze słowo. Coś jest niedobrze z moją pamięcią.

– Najwyraźniej - odparła dość chłodno.



Jacek Gaudasiński

– To znaczy... zupełnie nie pamiętam, żebym wsiadał na ten statek. W ogóle sobie tego nie przypominam. Nie wiem nawet, dokąd płyniemy.

– To masz szczęście – odpowiedziała wychodząc.

Tak, panie Newman? – zapytał ochmistrz.

– Chciałbym nadać telegram. – Luman nawet nie próbował sprostować nazwiska. – Do mojej firmy.

– Bardzo mi przykro – odpowiedział ochmistrz – ale są kłopoty z radiem. Praktycznie nie mamy żadnej łączności. Ale gdyby zechciał pan zostawić mi tekst, to jestem przekonany, że do jutra...

– Pan kłamie! – Luman był zdumiony swoim wybuchem. – Nie ma żadnych kłopotów z radiem! A przy okazji... co to jest za statek?

– Statek wycieczkowy, panie Newman.

– Chciałbym porozmawiać z kapitanem. Domagam się tego.

– Kapitan jest człowiekiem bardzo zajętym, panie Newman.

– Ja żądam.

– Zobaczę, co się da zrobić. – Ochmistrz wziął za słuchawkę.

Mostek też wydawał się jakoś dziwnie opuszczony. Poza kapitanem był tylko jeden członek załogi, blady chłopak w wieku siedemnastu-osiemnastu lat.

– Jest was tylko dwóch? – zapytał Luman.

– Och, w dzisiejszych czasach i to jest właściwie za dużo panie Ryman. Wszystko załatwiają za nas komputery. Zupełnie inaczej niż za moich chłopięcych czasów.

Kapitan miał starannie przystrzyżoną siwą bródkę, wesołe oczy i przypominał świętego Mikołaja z domu towarowego. Zupełnie bezwiednie Luman poczuł do niego sympatię.

– Luman – sprostował. – Nazywam się Luman. Chociaż nie jestem już tego taki pewien.

– Przepraszam bardzo – rzekł kapitan – ale nigdy nie miałem głowy do nazwisk. Przyznam się, że znacznie lepszą pamięć mam do twarzy. Dziś tu, jutro tam, pan rozumie. Ale, czym mogę panu służyć? Ochmistrz mówił, że panu bardzo zależało na rozmowie ze mną.

– Panie kapitanie, chciałbym wysiąść z tego statku. Proszę mnie wysadzić w najbliższym porcie.

– Atak klaustrofobii, tak? Szybko panu przejdzie. Jak pan chce pływać, to pan się musi do tego przyzwyczaić. Głównie uświadomić sobie, że nie w każdej chwili można wysiąść. Chyba, że ma pan ochotę na solidną kąpiel. – Kapitan zachichotał.

– Bardzo mi przykro, ale ja muszę z tego statku wysiąść.

– Ma pan bilet na cały rejs, panie Luman, nie mam prawa przerywać panu podróży. A poza tym nie zatrzymujemy się nigdzie po drodze, dopiero na miejscu.

– Na miejscu?

– W porcie przeznaczenia, panie Luman – wyjaśnił kapitan z nutą zniecierpliwienia w głosie. – Nie jest pan pierwszą osobą, która chciałaby wysiąść z tego statku. O, nie. Za moich czasów musiały być setki takich. Ale dawali to sobie wyperswadować. Wszyscy zrozumieli w porę. Niech pan się odpręży, panie Luman. I cieszy się rejsem. – Wskazał ręką na okno. – O, widzi pan, już wychodzi słońce. Zaraz wszystko będzie wyglądało inaczej.

I rzeczywiście. Zaczęło się błyskawicznie przejaśniać. Przed statkiem ukazał się czysty błękit nieba, ostre słońce.

– Widzi pan, jak się pięknie wypogadza – rzekł kapitan.

– Niech pan mi powie – zagadnął od niechcenia Luman – jak się ten statek nazywa?

– Ten statek? Co za pytanie, panie Luman. Co za pytanie.

– Proszę mi powiedzieć! – wrzasnął Luman. – Niech mi pan wreszcie poda tę cholerną nazwę.

– Ależ bardzo proszę, panie Luman. Ten statek nazywa się „Melanie".

Luman poczuł się, jakby dostał cios w żołądek.

– To jest imię mojej córki. To było imię mojej córki.

– Naprawdę? – zdziwił się kapitan. – Co za zbieg okoliczności.

– A dokąd – zapytał Luman – płyniemy? Jaki jest cel naszej podróży?

– Wyspy Bahama, panie Luman. Płyniemy na Wyspy Bahama.

– A z jakiego portu wypłynęliśmy?

– Tyle pytań, panie Bluman. Wypłynęliśmy z Nowego Jorku. Czy aby na pewno dobrze się pan czuje? Nie ma pan przypadkiem kłopotów z wątrobą? I pewnie jeszcze problemy z utrzymaniem równowagi, co? W każdym razie miło było z panem porozmawiać, ale niestety praca czeka. Co wart mostek bez kapitana.

– Chciałbym wysłać telegram – rzekł Luman – do domu.

– A to już domena ochmistrza. Z pewnością panu pomoże.

– Powiedział mi, że radio nie działa.

– To prawda – odparł kapitan. – Istotnie, mamy chwilowe trudności, ale sądzę, że wkrótce wszystko będzie w porządku. A teraz, pan wybaczy, ale naprawdę muszę się zająć robotą.

Na pokładzie zaczęło przypiekać. Luman zdjął marynarkę i zarzucił ją sobie na ramię. Na koszuli pod pachami pojawiły się mokre plamy, pot ściekał mu po plecach. Luman poluzował kołnierzyk koszuli, zdjął krawat.

Wyspy Bahama, pomyślał. Po co mi Wyspy Bahama? Przecież nawet nie mam teraz urlopu. Miałem dwa tygodnie w... czerwcu. Ale... gdzie ja je do diabła spędziłem?

Wyspa Księcia Edwarda, uświadomił sobie. Homary. Plaże. Te rzeczy. Tak, przypominam sobie.

Melanie.

W tym roku skończyłaby siedem lat. Skończyłaby siedem lat, gdyby się wtedy nie odwrócił. Gdyby się znów nie kłócił z Carole.

Czyżbym ja świadomie wybrał ten statek, zastanawiał się. Jako karę? A może z powodu tego imienia doznałem szoku.

Przez chwilę pomyślał, że może skorzysta z rad doktora Phippsa. Ale lepiej się w to wszystko nie mieszać. Lepiej wysłać telegram do firmy, wysiąść w porcie przeznaczenia statku i pierwszym samolotem wracać do domu. A dopiero potem poszukać jakiejś pomocy. Bardziej fachowej, niż można oczekiwać od doktora Phippsa.

Słońce, jak gigantyczny magnes, wyciągnęło na pokład więcej pasażerów. Ale nawet teraz trudno byłoby go nazwać zatłoczonym, robił wrażenie najwyżej normalnego. I po raz pierwszy Luman poczuł się względnie normalnie.

Wysoka ciemnowłosa kobieta w bardzo skąpym kostiumie kąpielowym opalała się na leżance w odległości kilkuset kroków; jej ciało lśniło od olejku. W pierwszej chwili Luman stał się czujny, potem, kiedy podszedł bliżej, ogarnęło go przerażenie. Carole. Gdzie jak gdzie, ale tutaj. Serce zabiło mu mocniej. Przyspieszył kroku. Stanął nad ciemnowłosą kobietą.

– Carole – powiedział.

Kobieta spojrzała w górę, zsunęła okulary. Natychmiast się zorientował, że to nie Carole. Owszem, było podobieństwo. Ale nie z bliska.

– Przepraszam bardzo – powiedział.

– Nic nie szkodzi – odparła. – Często mi się to zdarza.

– Że biorą panią za Carolę?

– Ludzie biorą się nawzajem za innych ludzi. Bez przerwy. Mój psychoanalityk mi to kiedyś wytłumaczył. To zjawisko nazywa się przenoszeniem. Projekcja nadziei, lęków, miłości, nienawiści, no i w ogóle wszystkiego na jakiś dogodny obiekt. Przenoszenie. To się bardzo często zdarza. Zwłaszcza tutaj. Na statku. Statek sprzyja koncentracji pamięci. – Uśmiechnęła się. – Na przykład pan mi przypomina mojego pierwszego męża. Ta sama budowa, ten sam koloryt. – Przerwała. – Czy ma pan może znamię na lewym udzie?

– Na ramieniu.

– Czy pan pogwizduje pod prysznicem „Hymn bojowy Republiki"?

– Ja jestem Kanadyjczykiem, pogwizduję polki.

– Lubię Kanadę – powiedziała kobieta – jest taka czysta.

– Tak – zgodził się. – Bardzo czysta.

Wraz z mrokiem nadeszła mgła, gęsta mgła, która kłębiła się za oknem jego kabiny.

Mgła na Bahamach? – zastanawiał się przez chwilę, ale właściwie mało go to obchodziło. – Jutro telegram – postanowił. – I najbliższym samolotem do domu. Oto, co go obchodziło naprawdę.

Zdał sobie sprawę, że jest głodny. Ruszył w stronę jadalni. W drzwiach zawahał się. Zaraz, który to jego stolik? Nagle u boku Lumana pojawił się ochmistrz i wziął go pod rękę.

– Dobry wieczór, panie Newman – zagadnął. – Kapitan zaprasza pana dziś do swego stołu. – I poprowadził Lumana do stołu kapitańskiego. Siedzieli już tam: starsza para, którą poznał na pokładzie, kobieta z baru, Nancy. Również doktor.

– A mówiłam – powitała go Nancy – że się spotkamy przy kolacji. Pan zdaje się zna państwa Taylorów. – Zrobiła ruch w stronę starszych ludzi.

– *Omnia descendo vinces*, Bluman – powiedział starszy człowiek. – Wiedza zwycięża wszystko.

Luman popatrzył na niego nic nie rozumiejąc.

– Pamięta pan chyba naszą szkolną dewizę?

– Jakże mógłbym zapomnieć – odparł Luman siadając.

Ale jaka była ta nasza dewiza? – zastanawiał się. Bo przecież nie taka. I czy w ogóle mieliśmy jakąś dewizę?

– No, jak tam, lepiej, panie Newman? – zapytał doktor.

– Znacznie lepiej, dziękuję.

– Strasznie mglista noc – odezwał się kapitan. – Pewnie państwo uważacie, że moje miejsce jest na mostku. Ale proszę się nie denerwować. Komputery nad nami czuwają.

– Czy często jest taka mgła – zapytał Luman – w drodze na Bahamy?

– Na Bahamy? – zdziwił się kapitan. – Tak, tak, jasne, na Bahamy. Gdyby pan pływał tak długo i tak daleko jak ja, to też by się panu już wszystko myliło. Tak, tak, Bahamy. Ale o co pan pytał?

– Nieważne – odparł Luman.

Luman siedział obok Nancy Singer. Kiedy posolił swoje danie nie próbując, zwróciła mu uwagę.

– Naprawdę nie powinieneś z twoim ciśnieniem, już ci to mówiłam. A poza tym solenie jedzenia bez próbowania świadczy o braku elastyczności. Też ci to już mówiłam.

– Wiele osób mi to już mówiło. Może ty byłaś jedną z nich.

– Lody czekoladowe na gorąco z owocami – powiedziała, kiedy Luman ugryzł kęs rostbefu; rostbef był suchy i twardy.

– Słucham?

– Twój ulubiony deser.

– Zgadza się. A twój... sernik z truskawkami.

– A jednak pamiętasz...

– Po prostu zgadłem – odparł. – Ciekawe, co dziś będzie na deser.

– Budyń – oznajmiła starsza kobieta, pani Taylor. – Lubię budyń, tu nie ma niespodzianek.

– Na deser jest gateau, panie Newman – wyjaśnił ochmistrz. – Ale może da się załatwić, żeby były lody czekoladowe na gorąco z owocami. Robimy wszystko, żeby zadowolić naszych pasażerów. Zależy nam, żeby podróż z nami była dla państwa przyjemnością. Mają państwo do tego prawo.

– Żeby każdy dostał właściwy deser – zachichotał kapitan. – Tak, dla każdego właściwy deser.

Ta uwaga została przyjęta ogólnym wybuchem wesołości. Ale nagle śmiech zamarł. Luman odwrócił się, żeby zobaczyć, na co patrzą jego współbiesiadnicy.

– Ty łobuzie – powiedziała kobieta z pokładu, ta, którą wziął za Carole. Zwracała się do niego. Była teraz kompletnie ubrana, ale również kompletnie pijana. Złapała go za ramię. – Zawsze byłeś łobuzem, Rick.

Ochmistrz wstał od stołu. Delikatnie wziął kobietę pod rękę.

– Pani Therone, pani się z pewnością pomyliła. Pan ma na imię nie Rick, tylko Dick. Dick Newman.

– Luman – machinalnie sprostował Luman.

– Reiman – upierała się kobieta. – Rick Reiman. Wiem, kim on jest. Żyłam z nim osiem lat. Zapytajcie go, co gwiżdże pod prysznicem. Zapytajcie go, co robi, jak zabłądzi.

Podobieństwo do Carole w grymasach twarzy i tonie głosu było uderzające. Ale nic więcej, podobieństwo.

– Pani Therone, pani stolik jest tam – powiedział ochmistrz odprowadzając kobietę. – A może wolałaby pani pójść do kabiny i odpocząć...

– Biedna kobieta – rzekł kapitan. – Nerwy, jak sądzę. Wielu pasażerów na to cierpi. Podniecenie. Trzeba będzie dziś wcześnie zamknąć bary. – Doktor skinął głową.

– Podniecenie? – zdziwił się Luman.

– Jak to, nie wie pan? Jutro wczesnym rankiem jesteśmy na miejscu.

Zamiast ulgi Luman odczuł dziwny niepokój.

– Jutro? – zapytał. – Tak szybko?

– Panie Newman, tej rejs trwa siedem dni – wyjaśnił kapitan. – Ani mniej, ani więcej. Przecież pan chyba czytał broszurę reklamową.

– Wszystko, co dobre – wtrącił się starszy mężczyzna, pan Taylor – ma swój koniec. Trzeba było mnie słuchać, panie Bluman. Trzeba umieć się cieszyć zapachem kwiatów. Jak to ja zawsze mówię: „Bo kiedy Wielki Sędzia zaliczy ci punkty wstecz, nie spyta, czy wygrałeś, tylko jak grałeś mecz".

– Mecz – powtórzył Luman. – Jaki mecz?

– Krykietowy, mój chłopcze. Ale ja zawsze mówię: krykiet jest jak życie.

– Nic podobnego – zaprzeczył Luman.

Andrew WEINER

Urodził się w Londynie w 1949 r. Absolwent London School of Economics, magister psychologii społecznej. Od 1974 r. mieszka w Toronto i jest obecnie obywatelem kanadyjskim.

Debiutował w 1972 r. w antologii Harlana Ellisona „Again, Dangerous Visions". Od tego czasu opublikował w czasopismach („The Twilight Zone Magazine", „Fantasy and Science Fiction", „Isaac Asimov's", „Interzone" i in.) i antologiach przeszło 30 opowiadań. Dwa z nich zostały sfilmowane dla telewizji. W 1987 r. ukazała się pierwsza jego powieść pt. „Station Gehenna".

L.J.

Co robisz, jak zabłądzisz? – spytała go Nancy. – W wyniku milczącego porozumienia szli razem w kierunku jej kabiny.

– Co takiego? – Był zatopiony w myślach, miał wyrzuty sumienia w stosunku do swojej żony. Włożył w to za mało wysiłku. Za mało się starali, żeby im wyszło. Najłatwiej oczywiście zerwać. Najłatwiej się rozstać, upierając się przy swoim, nie rezygnując z własnych zachcianek. Tylko dziecko trzymało ich razem, byli jak dwie odległe planety krążące wokół jednego słońca. A po śmierci Melanie nagle się rozlecieli...

– Pytałam, co robisz, jak zabłądzisz?

– Nigdy tej kobiety przedtem nie widziałem – powiedział Luman. – Owszem, raz, wtedy na pokładzie.

– No, ale odpowiedz, co robisz?

– Nienawidzę pytać o drogę.

– Typowo męskie – skomentowała.

Jakim cudem? – zastanawiał się Luman. Skąd ona to może wiedzieć?

– Zgadłam, nie przejmuj się.

Na podłodze przed drzwiami jej kabiny leżała lalka.

– O mój Boże, mała będzie zrozpaczona.

– Mała?

– No przecież chyba nie chłopiec?

Podniosła lalkę, wygładziła jej sukienkę i posadziła na parapecie przed swoimi drzwiami.

– Nie widziałem żadnych dzieci na tym statku – powiedział Luman. – Chociaż wydawało mi się, że słyszałem głos dziecka.

– Bo tu nie ma dzieci. Chyba że jakieś przyszło z wizytą.

– Z wizytą?

Stali przed drzwiami jej kabiny. Otworzyła je, a następnie odwróciła się do niego i pocałowała go w usta. Popchnęła drzwi i wciągnęła go do środka.

– Z wizytą? – powtórzył.

– Na Bahamach, mam na myśli wizytę na Wyspach Bahama. – Pociągnęła go na łóżko.

– Postaraj się – powiedziała. – Daj z siebie wszystko. Tak jakbyś się kochał ostatni raz w życiu.

Jak na nią było to dziwnie barokowo powiedziane. Ludzie tak mówią tylko w romansach. A już w żadnym razie rozsądne pracujące kobiety jak Nancy. Ale nie miał czasu tego rozpamiętywać.

Obudził się przed świtem. Mgła zrzedła trochę, ale mimo to widział tylko w promieniu kilku stóp od okna kabiny. A potem wzeszło słońce i rozproszyło mgłę całkowicie.

Po chwili zobaczył promień światła, bardzo daleko przed nimi. I bardzo ostry jak na taką mgłę.

Trącił Nancy. Obudziła się, ziewnęła i przeciągnęła.

– Popatrz – powiedział. – Spójrz tam.

Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– To nie jest latarnia morska – powiedział.

– To jest sygnał świetlny – wyjaśniła. Westchnęła. – Trzeba mnie było obudzić. Bo teraz już nie mamy czasu...

Luman wstał z łóżka i podszedł do okna.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał. Brzeg przed nimi, teraz ledwie widoczny, był skalisty i ponury. Latarnia świeciła w tej chwili właściwie zbyt ostro, żeby patrzeć na nią wprost.

To nie są Wyspy Bahama – pomyślał.

Ale właściwie nie był zdziwiony.

– Koniec podróży – powiedziała Nancy. – I wiesz, gdzie jesteśmy...

Kiedy statek wpływał powoli do portu, morze stało się nienaturalnie spokojne. Morze, brzeg i mgła – wszystko to zlało się w krajobraz przepastnej pustki. Potężna latarnia wynurzyła się z mgły na ich powitanie zalewając kabinę niesamowitym pomarańczowym światłem.

– Chyba – powiedział Luman – chyba wiem.

Statek płynął i płynął, coraz bardziej zbliżając się do Piekła.

Przełożyła Zofia Uhrynowska-Hanasz



Ian Miller

Był sobie raz pewien mężczyzna, który pewnego słonecznego poranka usiadł na werandzie. Nalał sobie szklankę palinki, potem jeszcze jedną, a potem z zadowoleniem wyciągnął się na krześle. Dopiero wtedy ów mrukliwy, chory psychicznie mężczyzna powiódł swym przenikliwym spojrzeniem po ogrodzie. Od razu zauważył małą zieloną istotę. Wstał i podszedł do niej.

– Dzień dobry! – powiedział z zakłopotaniem w głosie.

– Wango – zakwiliła w odpowiedzi istota.

– Coś ty za jeden? – zapytał mężczyzna, ale mała zielona istota nic nie odrzekła. – Marsjanin? – spytał, lecz znowu nie otrzymał odpowiedzi. – Ja nie piję – spojrzał na szklankę, którą zapomniał odstawić i wciąż trzymał w ręku – tylko po prostu

István D. Németh

wango

(Wango)

lubię trunek. Bywało, że stawiałem sobie przy łóżku piersiówkę i jak się obudziłem, to tylko sobie pociągałem i spałem dalej. Raz moja kobieta – skinął głową w stronę domu – nalała mi bez mojej wiedzy środek odwykowy – uniósł głos – i bardzo źle się poczułem. Strasznie ją za to sprałem! – Roześmiał się. – Teraz już znów żyjemy w zgodzie – dodał po chwili. – Od czasu, gdy nasza córka próbowała popełnić samobójstwo. Wciąż jeszcze jest w szpitalu.

– Wango – zakwiliła istota.

– Tylko tyle potrafisz powiedzieć? – spytał mężczyzna, po czym wzruszył ramionami i wszedł do sypialni. Zbudził żonę i rzekł:

– W ogrodzie jest Marsjanin.

– Nie ma Marsjan, bo na planecie Mars nie ma życia. To już zostało udowodnione – powiedziała kobieta i odwróciła się z powrotem do ściany.

Mężczyzna znowu zszedł do ogrodu, gdzie zielona istota stała wciąż w tym samym miejscu.

– Ojciec też pił – zagaił. – Przepił nawet rozum. Najchętniej pił palinkę pędzoną z cukru. Wrzucał do niej siny kamień i kurze łajno, bo to oczyszcza palinkę, żeby nie była mętna.

– Wango – odezwała się istota, co zdenerwowało mężczyznę.

– Ja najczęściej piję wino, czasem palinkę, a piwo bardzo rzadko. Wiesz – spojrzał na apetyczną zieloną istotę – jak już sobie człowiek łyknie pierwszą szklankę, to nie chce, żeby mu ta jedna szklanka szarpała żołądek. Lepiej niech się tam we dwie szarpią ze sobą. Teraz to już jestem przypadek chorobowy – w jego głosie zabrzmiała duma. – Mam nerwy, zapalenie i marskość wątroby, a lekarz mówi nawet, że i rozmiękczenie mózgu – za dużo w nim wody.

– Wango – rzekła istota.

Mężczyzna znowu poszedł do sypialni i znowu obudził żonę.

– Na wszystko mówi tylko „wango".

– Kto taki? – Żona usiadła na łóżku.

– No, ten Marsjanin. W ogrodzie.

– Jesteś pijany – kobieta spojrzała na męża chłodno i surowo. – Albo ewentualnie zwariowałeś. Oddam cię do domu wariatów. Niech skonam, tak zrobię.

– To się jeszcze zobaczy. – Mrukliwy, chory psychicznie mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu zadumał się nieco. – Nie lubię takich tekstów.

– To mnie uderz – obojętnie powiedziała kobieta.

– Nie lubię takich tekstów – ciągnął mężczyzna.– A szczególnie wówczas, kiedy jest tak piękny poranek, a w ogrodzie przebywa Marsjanin. – To powiedziawszy zabrał się na werandę. Wypił szklankę palinki i podszedł do małej zielonej istoty.

– A gdybym to ja powiedział ci, że wango? – spróbował, lecz istota nie odpowiedziała.

– No, dobra – wzruszył ramionami. – To ja idę do knajpy.

Knajpa była niedaleko, może ze dwie minuty drogi piechotą. Przy barze sterczało tylko dwóch klientów.

– W ogrodzie jest Marsjanin – powiedział.

– Z pana zawsze taki dowcipniś – roześmiała się barmanka i poprawiła fryzurę.

– Na wszystko odpowiada „wango".

– No nie! – zachichotała kobieta odrzucając głowę do tyłu. – Pęknę ze śmiechu, ale z pana łobuz!

– Posłuchaj, kochana – mężczyzna głęboko spojrzał jej w oczy. – To prawda. Pokażę ci go.

– Naprawdę? – szepnęła kobieta, po czym sięgnęła ręką za siebie. Otworzyła butelkę wina, nalała do szklanki, którą postawiła przed mężczyzną. – A jaki jest ten pański Marsjanin?

– Jak to jaki?

– No – puściła oko – chłopiec czy dziewczynka?

– Skąd mam wiedzieć? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Przecież jest brzydki. Tyle na nim macek i ryjków, że może być i chłopiec, i dziewczynka. Ewentualnie – podsunął kobiecie pustą już szklankę – jedno i drugie na raz.

– No nie! – zachichotała. – Ale z pana szelma! – Znowu nalała do szklanki. – Mówi pan, że brzydki? – Ukradkiem spojrzała w lustro wiszące pod pstrokatymi plakatami reklamującymi napoje chłodzące.

– Brzydki – skinął głową mężczyzna. – Ledwo mogłem na niego patrzeć, kiedy z nim gadałem.

– To nawet gadaliście?

– Na wszystko odpowiada „wango". Tylko tyle udało mi się z niego wycisnąć. – Wypił i położył koło pustej szklanki pieniądze.

– Już pan idzie? – zapytała kobieta zawiedzionym głosem, odliczając resztę.

– Idę – powiedział mężczyzna.

– No jasne. – Kobieta stojąca za ladą ze złością zasunęła szufladę kasy. – Do żony. Dowcipkuje pan sobie tutaj, a potem z powrotem do niej.

Mężczyzna nie odpowiedział. Wyszedł na ulicę i poszedł prosto do domu. Rozejrzał się po ogrodzie, ale Marsjanina już tam nie było. W jadalni siedzieli policjanci i lekarz w białym fartuchu. Pili kawę i wyczekująco spoglądali na wystrojoną z tej okazji żonę.

– Mój mąż – powiedziała kobieta – widział w ogrodzie Marsjanina.

Policjanci spojrzeli na lekarza, on zaś na policjantów, a potem wszyscy popatrzyli na opartego o drzwi mężczyznę.

István NÉMETH

Jeden z utalentowanych przedstawicieli młodej, ciekawie się rozwijającej fantastyki węgierskiej. Twórczość jego charakteryzuje humor, ironia i osadzenie fabuły we współczesnych realiach węgierskich.

L.J.

– Powiedział też – ciągnęła kobieta – że Marsjanin na wszystko odpowiadał „wango".

– Czy mówił pan żonie, że widział pan w ogrodzie Marsjanina? – spytał mężczyznę lekarz w białym fartuchu.

– Ależ skąd – zaprotestował zapytany. – Przecież Marsjan nie ma, bo na planecie Mars nie ma życia. To już zostało udowodnione.

– Tylko to chcieliśmy wiedzieć – skinął głową lekarz. – Proszę pana, wiem, że to przykre, ale musimy zabrać pańską żonę. – Skinął na policjantów, którzy zerwali się z krzeseł.

Odstawili przeklinającą i wrzeszczącą kobietę do zakładu psychiatrycznego, zaś mężczyzna żył od tej pory długo i szczęśliwie.

Galaktika nr 8/87

Przełożył **Wojciech Maziarski**

OPUS NA TRZY POCISKI

Andrzej Zimniak

Przestrzeń gwałtownie nabrzmiała obcą muzyką. Migotliwe staccato skrzypiec spłynęło kaskadą urywanych dźwięków, jękliwie przyszły w sukurs wiolonczele, a ich czysta skarga pośpiesznie umknęła w głębokie, mroczne largo.

To była katastrofa. Statek rozbłysnął najpierw żółtym blaskiem, jakby w odruchu paniki podrywał się do walki, a potem powoli przygasał aż do ciemnej czerwieni. Płynnie opadał w dziwną, czerwoną dżunglę, przyoblekał się w lękliwą patynę mimikry, konał.

Szklisty zarys wnętrza Statku wypełniał się treścią na dwa kroki przede mną, tężał, dawał złudzenie stabilności, kształtu i formy. Wiedziałem, że za moimi plecami rozpływał się, rozpuszczał w łagodnym amarancie, wyrazistość linii zatracała się w cielistej masie. Pod brzuchem Statku wiła się szkarłatna trawa, a boki obstąpiły kwiaty o rozchylonych, krwistych dziąsłach.

– Nie jesteś tutaj bezpieczny.

Rozmiękczone gęstwą leśnotworów, leniwe fortepianowe adagio wytrwale powracało tą samą, z lekka ponaglającą nutą.

– Nie jesteś tutaj bezpieczny.

Tak mówił Statek. Podszedłem blisko do jego oczu, dotknąłem jego ust.

– Co się stało? Co to za muzyka? – spytałem, nasłuchując dalekich dźwięków.

– Nie wiem. Musisz mnie opuścić.

– Czy ty... umrzesz?

– Nie wiem. Przekażę ci wiadomość. Czekaj w Fantasmagorii.

– Dokąd mogę pójść jeszcze?

– Nigdzie indziej.

– Nie znam tego miasta.

– Poznasz je więc. Idź już... Sol.

Gdy postawiłem stopę na szkarłatnej trawie, wszystko wokół trwało w ciężkiej ciszy. Powietrze stało nieruchome, mięsiste liście nie szeleściły, ptaki nie śpiewały w zaroślach.

Nagle orkiestra dostała szału. Eksplozja akordów zalała muzycznym grzmotem milczący dotychczas las. Dziki łoskot bębnów wtórował gwizdowi piszczałek, straszliwe fortepianowe crescendo tłukło jak młotem w mój rezonujący czerep, a wrzaskliwy skrzypcowy dyszkant dopełniał tej orgii dźwiękowego rozpasania.

Rozejrzałem się ostrożnie. Muzyczny jazgot wsiąka bez śladu w obstępujący mnie gąszcz, a z oddali przyzywająco brzmiała czysta fortepianowa fraza. Dałem się jej prowadzić ledwie widoczną, zarosłą ścieżką.

Niespodziewanie stanąłem przed klockowatym sześcianem. Jedna z jego powierzchni ściemniała i stała się przezroczysta. Wewnątrz, pod samym sufitem, unosił się człowiek.

– Wejdź! – rozkazał. Miał dziwny akcent, lecz dobrze rozumiałem jego mowę. Ubrany był w biały, półcienny mundur.

Przeszedłem przez taflę szyby i znalazem się w ciepłym wnętrzu, wypełnionym mlecznym półmrokiem. Nieznajomy ześliznął się na podłogę i przyglądał mi się bacznie, lecz bezmyślnie. Wyraźnie oczekiwał na coś.

– Dlaczego jesteś nagi? – spytał niecierpliwie, gdy głębokie dźwięki trąb i bębnów ustąpiły delikatnemu antraktowi smyczkowemu.

– Ja... nie jestem stąd. Jestem obcy – tłumaczyłem, pomagając sobie gestem, lecz jego wzrok pozostał nieruchomy. Nagle rysy mu stężały.

– Gdzie masz kolibra?! – krzyknął, wpijając się spojrzeniem w moją szyję.

– Co...gdzie... jakiego kolibra? – jąkałem się, zdezorientowany.

Roześmiał się chrapliwie odchylając głowę do tyłu, tak że widać było pożyłkowane podniebienie i różowy sopelek w ciemnej czeluści gardła.

– Ty naprawdę jesteś obcy – stwierdził ze zdumieniem, jakby jeszcze wciąż nie mógł uwierzyć. – Jesteś przybłędą, który nie ma nawet swojego znaku! Jesteś niczym!

– Jesteś niczym – powtórzył i uderzył mnie w twarz. Cios był lekki, więc tylko cofnąłem się o krok, aby nie stracić równowagi. Otoczył mnie chaotyczny łoskot, jakby górski potok powoli znosił obijające się o głazy bębny, talerze i pudła skrzypiec.

– Czy wiesz – przybliżył swoją twarz do mojej, aż poczułem cierpki odór potu – że nie należy podglądać urzędnika państwowego na służbie? Za to też dostaniesz nauczkę!

Miał blade, nalane policzki, a w głębokich porach skóry trwale zastygł brudny łój.

Drugi cios okazał się silniejszy. Ciepły strumyczek bólu przeniknął czaszkę i oparł się o potylicę, żądląc jak podrażniona osa. Wypadłem z pomieszczenia na śliską łąkę pełną glistowatych roślin.

Gdyby mężczyzna nie wyszedł wtedy ze swojego sześcianu, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Ale on wyskoczył za mną.

Nieudolnie usiłował kopnąć mnie w głowę, lecz zdążyłem przypaść płasko do ziemi. Wiedziałem, że sytuacja stanowi zagrożenie życia, więc przywołałem na pomoc Statek. Ten, mimo że konający, zgłosił się natychmiast i przejął inicjatywę.

Błyskawicznym ruchem ramion założyłem dźwignię, nieznacznie uchylając się przed następnym, niezgrabnie wymierzonym ciosem. Suchemu trzaskowi pękającej kości towarzyszył przeraźliwy wrzask. Sprawnymi, szybkimi ruchami kontynuowałem walkę. Gwałtowne uderzenie w przegub, zadane kantem dłoni, wytrąciło napastnikowi rewolwer. Drugie, sięgające skroni, powaliło go na ziemię. Podciągnął kolana pod brodę i znieruchomiał. Dopiero wtedy Statek pozostawił mnie samego, powracając do własnych zmagań ze śmiercią.

Pełen niesmaku przekroczyłem ciało zwyciężonego. Było teraz jakoś inaczej i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę z ciszy spowijającej polanę i las. Ciszy, na której obrzeżu niebawem pojawił się haft dalekiego, fortepianowego nokturnu. Pod pergolą nieprzyjaźnie obojętnej roślinności pobiegłem w stronę przyzywającej mnie Fantasmagorii.

Stanąłem na skraju lasu i natychmiast jak psy gończe rzuciły się na mnie dwa stalowe żuki. Krzyknąłem, lecz one nie robiły mi krzywdy, tylko oplatały nogi i przeguby rąk śliskimi metalowymi językami. Potem znikły gdzieś tak nagle, że nawet nie zdążyłem wypatrzeć ich kryjówki.

Wkroczyłem do Fantasmagorii, witany wysokimi dźwiękami przekrzykujących się w duecie trąbek.

Na niebie zawisły roje białych sześcianów, oderwane od ziemi wieże kościołów lśniły matowym blaskiem daleko pod chmurami, szare bryły starych budynków, wydźwignięte w przestrzeń, sprawiały wrażenie zakotwiczonych statków transportowych. Ludzie lekko unosili się w powietrzu, roili się wokół sześcianów, płynęli jasnymi strumieniami pomiędzy budowlami i ponad płaszczyznami tarasów.

Nie byłem zaskoczony, bo w swoich podróżach widywałem już rzeczy dziwniejsze. Tylko ta muzyka – ona nie dawała mi spokoju. Szybkie rapsodie przemykały przez rozwieszone w przestrzeni miasto jak nagłe porywy wiatru, a ciężkie serenady raptownie przekształcały się w gorące rytmy flamenco w chwili przekraczania niewidocznych fonoekranów. Wydawało się, że ten świat utrzymują przy życiu stale pracujące instrumenty muzyczne, że bez nieprzerwanego naporu dźwięków zastygłe na niebie budowle zwalą się na ziemię i pogrzebią pod gruzami swoich mieszkańców.

Wszedłem pod potężny pałac, błyszczący złotem wieżyc, zadziwiający ornamentacją kolumn i przytłaczający ogromem wiodących doń schodów i podjazdów. Ciemne fundamenty rozpostarły się nade mną jak nocne niebo, na którym zawisł zielony krąg sztucznego słońca. Posępna organowa muzyka wprawiała szklany taras w wyczuwalne pod stopami drżenie, a pod przezroczystą taflą tłoczyły się drzewa, wystawiając do nikłego światła mięsiste liście.

Na brudnoszarym tle podniebnego stropu zatrzepotał jasny motyl, spłynął chybotliwym lotem niżej, opadł w zielonym świetle jak zjawa, aż wreszcie zbliżył się tak bardzo, że mogłem w szybującej postaci rozpoznać kobietę. Wylądowała tuż przede mną, ściągając z góry lekki podmuch wiatru. Była duża, smagła, grubokoścista; czarne włosy nosiła upięte wysoko. Powieki pomalowała na czerwono, tak że przy każdym ich opuszczeniu pod ostrą kreską brwi zdawały się otwierać krwiste jamy oczodołów.

– Przyniosłam ci ubranie – powiedziała, a te proste słowa zabrzmiały dziwnie obco. – Włóż je, u nas nie ma zwyczaju chodzenia nago.

Podała mi szeroką torbę i odwróciła się profilem, najwyraźniej nie mając zamiaru odchodzić. Grube, starannie nałożone warstwy szminki szczelnie pokrywały skórę jej twarzy.

– Kim jesteś? – spytałem, mnąc w dłoniach miękki materiał.

– Elkana, Kirsten, Hellam; czy to nie wszystko jedno? Możesz nazywać mnie Wisan. Jestem mieszkanką Fantasmagorii.

– Ja nazywam się Sol. Miałem wypadek...

– Nie interesuje mnie to – wstrząsnęła z niecierpliwością ramionami. – Czy już się ubrałeś?

– A co cię interesuje, Wisan? – spytałem, rozkładając puszystą koszulkę.

– Wyłącznie to, co robisz tutaj, u nas.

– Czy czegoś się po mnie oczekuje?

– Teraz wyglądasz jak człowiek – podeszła i bezceremonialnie zapięła mi ostatni guzik pod szyją. – Unieś ręce i pomyśl o zamku, wiszącym nad nami.

– Naprawdę, wolałbym, żebyś...

– Rób, co mówię – powiedziała ostrym, nie znoszącym sprzeciwu tonem.

Uniosłem ramiona i lekki zawrót głowy zmącił zewnętrzny obraz. Spojrzałem w górę, na smolisty, mozaikowy spód fundamentu pałacowego, który nagle drgnął i rozpoczął powolny obrót w przestrzeni. Zerwał się wiatr, targał moje nowe ubranie, szarpał włosy, tamował oddech. Nie mogłem powstrzymać okrzyku przestrachu: zwalista bryła ogromnego budynku opadała z rosnącą szybkością, wyraźnie widziałem wyszczerbione kamienne bloki, pędzące w dół jak obuch gigantycznego młota.

Szarpnąłem się gwałtownie, szukając wzrokiem Wisan. Była daleko w dole, białozielona ćma uczepiona mięsistych wypukłości liści, a ja leciałem wysoko w powietrzu, omywany jego nagle zgęstniałą strugą.

– Wisan, zdejmij mnie stąd! – krzyknąłem, wyciągając ku niej ręce. I stało się: mój pęd osłabł, wreszcie zawisłem nieruchomo między kamiennym niebem a szklaną płaszczyzną, a potem zacząłem opadać. Z ulgą spojrzałem na oddalający się masyw stropu, który wznosił się pośród basowego grzmotu kościelnych organów. Gdy zbliżyłem się do poziomu tarasu, uniosłem ramiona i zwolniłem, aby miękko wylądować na błyszczącej powierzchni.

– To łatwe – powiedziałem uradowany, lecz Wisan nie było w pobliżu.

Wyciągnąłem ramiona i skierowałem wzrok w stronę dalekiego prześwitu między tarasem a krawędzią budowli, którędy wsączał się dzień. Dziwna siła, utrzymująca to miasto i jego mieszkańców w powietrzu, uniosła mnie ponownie i popchnęła przez ciemną przestrzeń, drgającą od nieustannego organowego dudnienia.

Jak pocisk wyleciałem w światło dnia i w tej samej sekundzie zewsząd opadły mnie jasne smyczkowe dźwięki, napierały gwałtownie, oplątywały urywanymi fragmentami melodii. W obronnym geście uniosłem ręce, a one wtedy porwały mnie i rzuciły ku niebu, chichocząc wokół łamanymi akordami krzykliwych arpeggiów.

Miałem dosyć. Obłędna muzyczna kakofonia otaczała mnie szczelną chmurą drgającego powietrza, wsączała się gwałtownie pod czaszkę, robiła pianę z mózgu. Przycisnąłem dłonie do uszu.

W tej samej chwili wpadłem w ludzką rzekę. Białe punkty rozrastały się w okamgnieniu i przemykały obok jak wiatr. Omijałem w jakiś dziwny sposób szybujące postacie, starając się wydostać z niebezpiecznej strefy. I wtedy właśnie poczułem na plecach pierwsze smagnięcie, piekące jak rozgrzane żelazo.

Usiłowałem odwrócić się, wykonując niezdarne ruchy rękami. Nim zdołałem to zrobić, spadły na mnie następne razy, paląc żywym ogniem. Rzuciłem się do panicznej ucieczki.

Wyciągając ramiona daleko przed siebie, z zapartym przez wicher tchem leciałem nad starym cmentarzem. Między rzędami rdzewiejących krzyży pleniła się cielista roślinność. Kamienne, wyszczerbione przez czas grobowce, naznaczone czerwonymi smugami pleśni, sprawiały wrażenie umazanych krwią. Znikąd lub zewsząd dochodził basowy chóralny śpiew orszaku pogrzebowego.

To jest makieta – pomyślałem – obraz utkany z odpowiednio interferowanych promieni. Kto trudziłby się wynoszeniem starego cmentarza na wysokość kilometra?

Gwałtownie opuściłem ręce i zanurkowałem wprost na plątawisko traw. Tam, we mgle przestrzennego obrazu, będę mógł dobrze się ukryć.

I wtedy stało się coś dziwnego. Ani nie wniknąłem w niematerialną strukturę świetlnych refleksów, ani nie rozbiłem się o rzeczywisty grunt, lecz wyhamowałem tak raptownie, że przeciążenie omal nie pozbawiło mnie przytomności. Z rozmachem wylądowałem na śliskiej trawie, przekoziołkowałem, aż wreszcie zatrzymałem się na nasypie jednego z zaniedbanych, ledwie widocznych grobów. Siła unosząca nie była więc siłą ślepą, sterowaną jedynie myślą i ruchami ramion. Dlatego jeszcze żyłem.

Mój prześladowca był już blisko. Słońce przeglądało się w błyszczących guzikach jego munduru, a barwne wstążki dystynkcji powiewały na wietrze. Zamierzał się do kolejnego ciosu, gdy powstrzymałem go gwałtownym gestem i okrzykiem.

– Za co mnie bijesz?

– Skazanemu przysługuje prawo do wyjaśnień – warknął, lądując obok. Był uzbrojony: w ręku trzymał krótką pałkę, którą w jakiś sposób mógł uderzać na odległość, w otwartej kaburze tkwił pistolet. Gorączkowo myślałem, lecz nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy. Jeśli mój Statek nie żył, nie miałem żadnych szans.

– Żądam wyjaśnień.

Tymczasem wołałem o pomoc, lecz Statek milczał. Traciłem nadzieję. Czego chce ode mnie ta przeklęta Fantasmagoria?

– Będąc w pełni władz umysłowych z premedytacją dokonałeś obustronnego osłonięcia dłońmi muszli usznych. Działałeś na szkodę własną i społeczną. Za to drugie należy ci się kara krwawej chłosty – płynnie recytował policjant. Oni zawsze i wszędzie byli, są i będą tacy sami – pomyślałem...

– Ale ja jestem... – urwałem nagle. Na czas przypomniałem sobie, że obcy nie ma w tym kraju żadnych praw. Dostatecznie wyraźnie przedstawił mi to pierwszy strażnik.

– Jesteś winny! Dysponuję dowodem retroskopowym – jego pełen szyderstwa śmiech przypominał astmatyczny kaszel. – Patrz!

Obraz, który zmaterializował się nad nami w powietrzu, podobny był do malowidła wykonywanego wodnymi farbami na szkle: półprzezroczysty, delikatny. Przedstawiał nadnaturalnych rozmiarów głowę z rozwianym włosem...

Nagle odezwał się Statek. Ten słaby, delikatny impuls, z trudem przeciskający się przez przestrzeń, zelektryzował mnie.

... i zmrużonymi od pędu oczami. Mocno zaciśnięte szczęki świadczyły o cierpieniu, gniewie lub determinacji. Obie dłonie powoli podnosiły się do uszu. Choć daleka i obca, była to z pewnością moja twarz i moje dłonie.

„Introspekcja psychiki. Od tej chwili posiadasz odpowiednie predyspozycje. Rozpoczynaj natychmiast". – Statek, jak zwykle, wybrał i podyktował sposób działania.

Wejrzałem we wnętrze tego człowieka, lecz nie zobaczyłem wiele. Był przeraźliwie pusty. Szukałem skojarzeń kompozycji estetycznych, ciągów retrospektywnych. Niczego z tego nie znalazłem, natomiast wciąż powtarzały się bezładne obrazy proste i projekcje zaspokajania podstawowych popędów. Byłem bezradny.

„Zbadaj jego kompleksy". – Statek znał już następny ruch w tej grze.

Od razu znalazłem lęk, słabość i brak wiary w siebie. I pragnienie kompensacji w korzystaniu za wszelką cenę i czyimś kosztem, a przede wszystkim w przyłączeniu się do Wielkiej Siły, dającej pewność i zadośćuczynienie w choćby chwilowym sprawowaniu władzy. Chociaż raz dziennie czuć się pancerną piersią, przyoblec się w grozę majestatu.

„Zaszczep mu lęk, bądź dla niego nieobliczalną mocą".

Zrobiłem to. Na jednym z wolnych miejsc, których było tak wiele, zbudowałem wspomnienie czegoś strasznego, co jednak pozostawiało po sobie więcej trwogi niż nienawiści. Uczyniłem to tak, aby dobrze pamiętał moją twarz.

Policjant zbladł nagle i spojrzał na mnie rozbieganym wzrokiem. Przez długą chwilę toczył wewnętrzną walkę albo może jego mózg potrzebował czasu na dostrojenie do siebie nowych i dawnych wiadomości i na wyzwolenie odruchu. Czekałem, z niepokojem obserwowałem kolbę pistoletu i ściskające ją kurczowo palce. Wreszcie ręka policjanta opadła bezwładnie wzdłuż tułowia.

– Wybacz, Panie. Nie rozpoznałem Cię, wiem, że to tylko moja wina...

– Więc bądź na drugi raz ostrożniejszy – mówiłem niskim, wibrującym głosem. – A teraz wynoś się, bo ludzka cierpliwość ma swoje granice!!

Wykonałem gwałtowny ruch ręką, wskazując błękit nieba, w którym szybowały tysiące miniaturowych białych postaci. Skoczył jak spłoszone zwierzę, poderwał się, przekoziołkował i odleciał nisko ponad rzędami grobów, raptownie nabierając szybkości i prawie natychmiast niknąc mi z oczu.

„Spróbuj dawać sobie radę sam. Będę potrzebował całej swojej energii".

Pragnąłem nie zrozumieć tych słów, nie odebrać przekazu, pozostać przynajmniej nieświadomy, lecz nie udało się, tak dziecinny wybieg nie mógł się udać; zimny strach przez chwilę nie pozwalał na koncentrację myśli. Statek pozostawiał mnie w obcej i jak zdążyłem się przekonać, wrogiej Fantasmagorii bez jakiegokolwiek wsparcia, zdanego tylko na własne siły. Na jak długo? Może na zawsze, gdy konał wciągnięty w zdradziecką pułapkę. Może na miesiące lub lata, gdy leczył zadane mu rany. W każdym przypadku należało podwoić ostrożność.

Jakiś szmer, jakby duże zwierzę przeciskało się przez ściany śliskich traw. Nie, to tylko złudzenie, wiatr przyginający wężowe sploty łodyg. I nastrój tego pochlapanego czerwienią cmentarza, nabrzmiałego żałobną muzyką.

Otrząsnąłem się, po plecach jak jaszczurka przebiegł mi dreszcz. Nie daj się, Sol. Wyjdziesz z tego, gdy uda ci się zachować zimną krew.

Znów dziwny odgłos, jakby coś ciężkiego przetoczyło się po zarośniętym wzgórku zaniedbanego grobu.

Szedłem dalej, ostrożnie stawiając stopy, gotowy do natychmiastowego pionowego wzlotu w razie potrzeby. Lecz wiedziałem, że w powietrzu będę o wiele lepiej widoczny niż tutaj, pośród cmentarnych ruin. Zmierzałem w stronę zwalistych jak bunkry katakumb, których napełnione popielatym mrokiem wejścia mogłyby stanowić kryjówkę lepszą od żadnej. Wspierając się plecami o ścianę można przynajmniej wykluczyć atak od tyłu.

Jednym susem dotarłem do obramowanego płaskorzeźbami otworu, zbiegłem wyszczerbionymi stopniami krótkich schodów i przypadłem do kamiennego sarkofagu, bielejącego na dnie niewielkiej celi.

Na zewnątrz grzmiał, zniekształcony przez grube ściany, nienaturalnie powolny, nie mający końca marsz pogrzebowy.

Odetchnąłem kilka razy głęboko i oparłem czoło o krawędź kamiennej trumny. Wtedy na moim ramieniu niecierpliwie spoczęła zimna dłoń.

Nie zdołałem powstrzymać okrzyku przestrachu. Bez udziału woli, gwałtownym wyrzutem całego ciała przesadziłem marmurowy blok.

Po drugiej stronie stała Wisan. Jej biały strój wyraźnie odcinał się od pokrytych brunatnym liszajem ścian. Pomalowana ceglastą szminką twarz nie wyrażała żadnych uczuć, wydawała się być kiepskiej jakości maską. Szkliste oczy patrzyły na mnie nieruchomo, bez jednego mrugnięcia czerwono sfałdowanych powiek.

– Ach, to ty... – zaśmiałem się niezręcznie, z trudem łapiąc powietrze. – Przestraszyłaś mnie.

ciąg dalszy na stronie 43

Romans kosmiczny



Michelangelo Miani

TRITON, niewielka, zamieszkana planeta.
Tam Semley oczekiwał na Guarda-la-lunę.



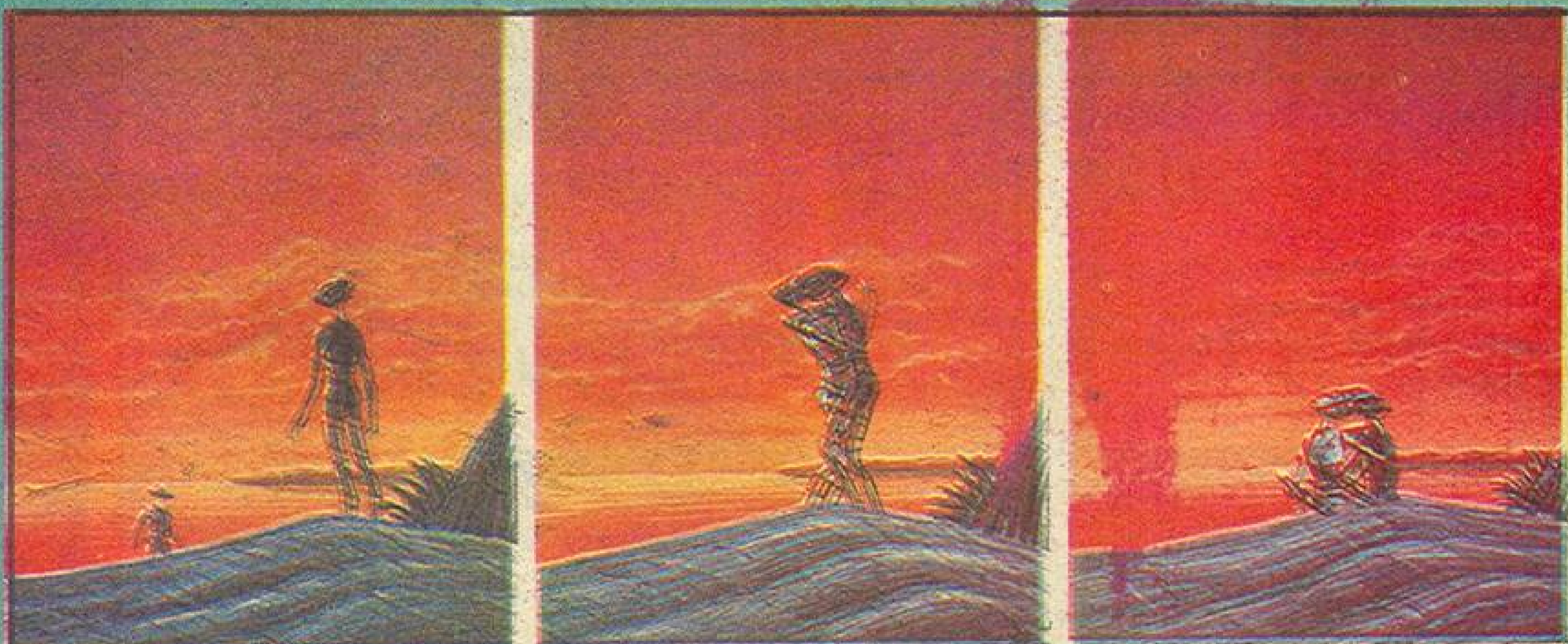
Romans kosmiczny

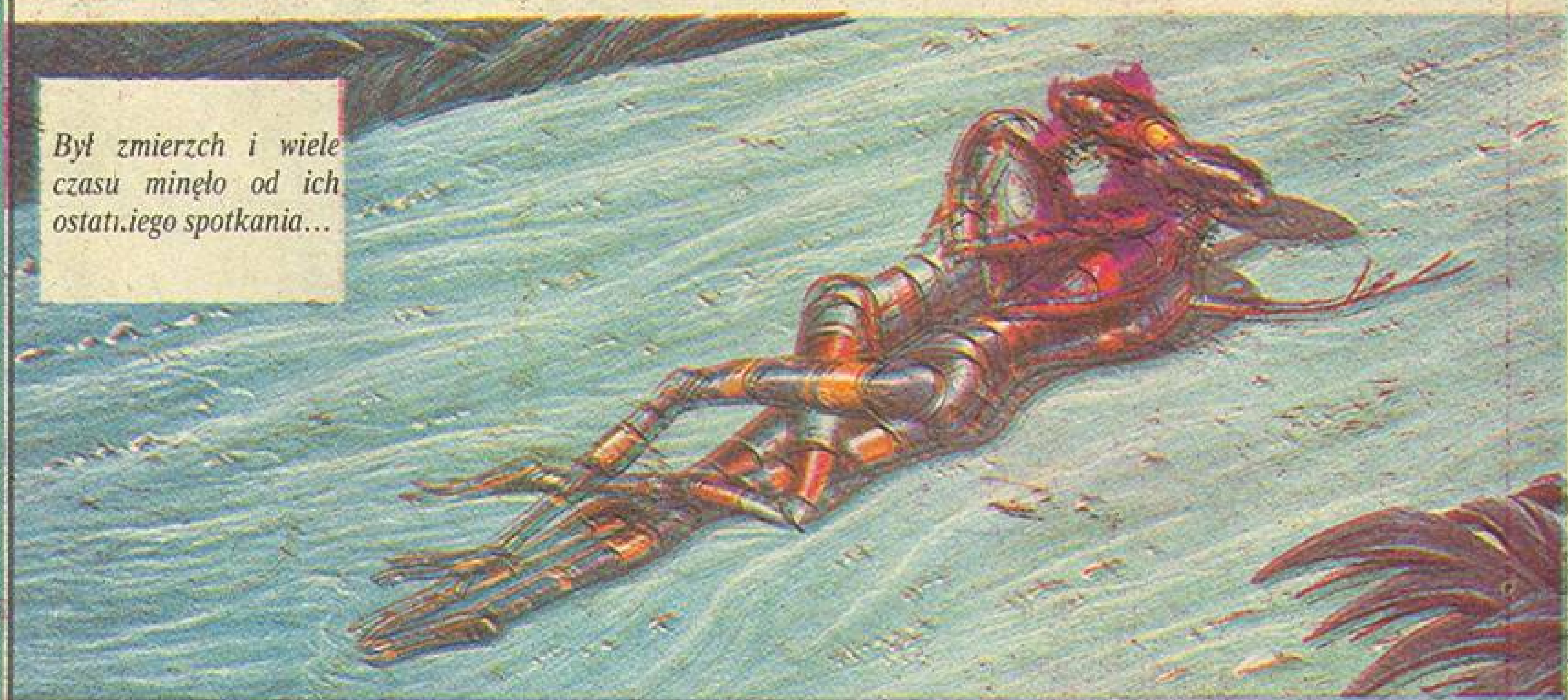


Guarda-la-luna szybko zbliżyła się swoim statkiem do domu Semleya.



Romans kosmiczny







Romans kosmiczny

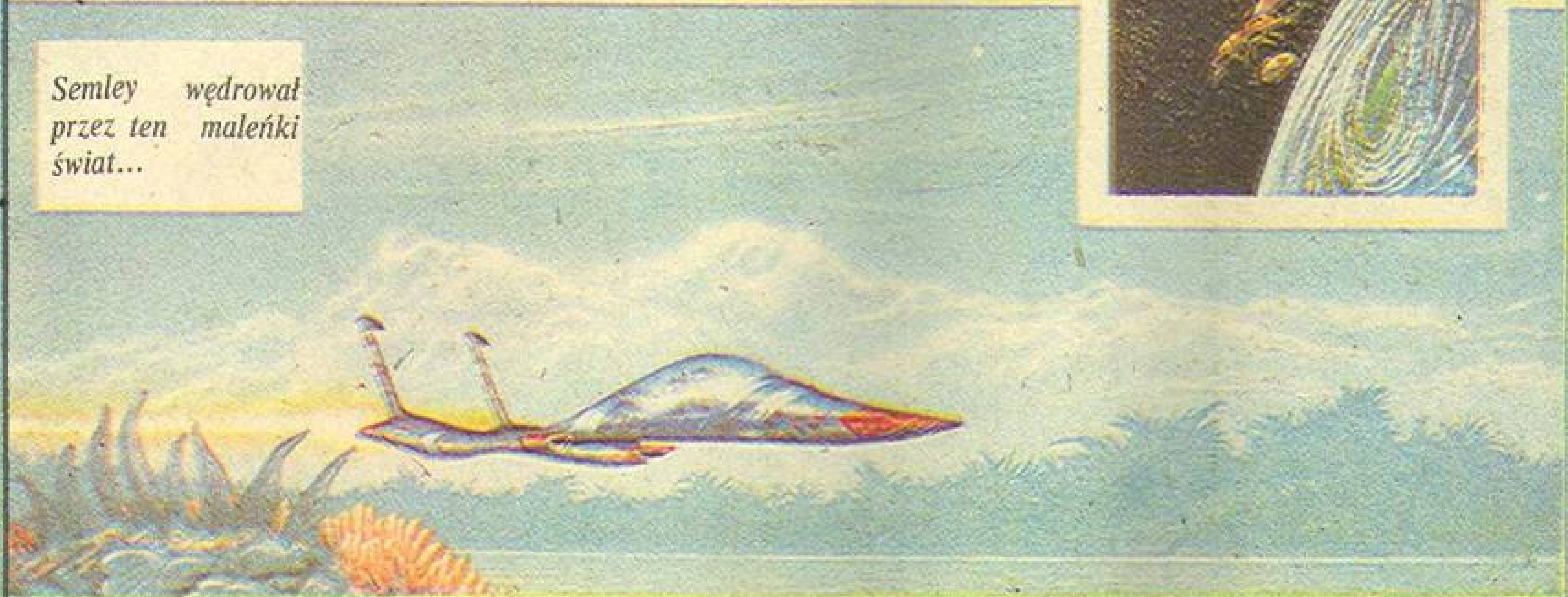


Wkrótce każde z nich powróciło do swoich zajęć... Guarda-la-luna była artystką: wymyślała i rozwiązywała szalone równania; następnie własnoręcznie konstruowała rzeźby światów, które wyrzucała w przestrzeń.





Semley wędrował przez ten maleńki świat...



ciąg dalszy na stronie 39

– Tak. I dzięki temu zobaczę jeszcze zachód słońca – powiedział cicho kzin.
Louis spojrzał na niego ze zdumieniem.
– Ty?
– Tak, czasem lubię popatrzeć na zachodzące słońce. A teraz porozmawiajmy o „Szczęśliwym Trafie".
– Zaraz, coś ty powiedział?
– Gdybym zawładnął „Szczęśliwym Trafem", moja rasa opanowałaby cały poznany Kosmos aż do chwili, kiedy podczas ekspansji natrafiłaby na jeszcze potężniejszą cywilizację. Zapomnielibyśmy wszystko, czego z takim trudem udało nam się nauczyć, jeżeli chodzi o pokojowe współżycie z innymi gatunkami.
– To prawda – przyznał Louis. Ciążenie nie zmieniało się. „Kłamca", uwiązany na końcu długiej na dziesięć tysięcy mil nici, wspinał się w ślad za nimi po zboczu góry.
– Co prawda, mogłoby nam nie pójść tak łatwo, jeśli szczęście kilkuset Teeli Brown uznałoby za słuszne bronić przed nami Ziemi. Jednak poczucie honoru wymaga, bym chociaż spróbował. – Kzin mówił zupełnie spokojnie, ale Louis czuł, że jego towarzysz znajduje się w nie lada rozterce. – Czy potrafiłbym sprowadzić mych braci z pełnej chwały drogi, wiodącej ku wojnie? Moi bogowie wyklęliby mnie za to.
– Lepiej nie być bogiem, Mówiący. To boli.
– Na szczęście problem właściwie nie istnieje. Powiedziałeś, że gdybym spróbował opanować statek, moglibyśmy wszyscy zginąć. Masz rację. Napęd lalaczników będzie nam potrzebny do tego, żeby uciec przed eksplozją jądra galaktyki.
– To prawda.
– A jeżeli kłamię? – zapytał niespodziewanie kzin.
– Nic na to nie poradzę. Nie dałbym rady przechytrzyć istoty o twojej inteligencji – odparł Louis.
W kraterze ponownie rozbłysło na moment słońce.
– Pomyśl, jak niewiele w sumie zobaczyliśmy – powiedział z zadumą Louis. – Przebyliśmy sto pięćdziesiąt tysięcy mil w pięć dni, a potem tę samą drogę w dwa miesiące. To tylko jedna siódma szerokości Pierścienia. A Teela i Poszukiwacz chcą przejść go wzdłuż...
– Głupcy.
– Nie zobaczyliśmy nawet krawędzi. Oni ją zobaczą. Zastanawiam się, co jeszcze nas ominęło? Ich statki mogły docierać nawet na Ziemię. Może zabrali z niej wieloryby i kaszaloty, zanim jeszcze je wytępiliśmy? Nawet nie dotarliśmy do oceanu.
Albo ludzie, których spotkają na swojej drodze... A przestrzeń... Przecież Pierścień jest tak ogromny...
– Nie możemy tam wrócić, Louis.
– Nie. Oczywiście, że nie.
– Przynajmniej dopóki nie dotrzemy do domu. I dopóki nie otrzymamy naszej zapłaty.

KONIEC

Rozdział XXII

Pośzukiwacz

Ponieważ Halrloprillalar ciągle panicznie bała się Mówiącego-do-Zwierząt, Nessus starał się zmienić to jej nastawienie wzmacniając działanie taspu, gdy tylko potężna, pomarańczowa sylwetka znajdowała się w polu widzenia dziewczyny. Twierdził, że z czasem widok kzina stanie się dla Prill równie miły, jak jego, ale na razie zarówno on, jak i dziewczyna unikali towarzystwa Mówiącego.
Dlatego właśnie na platformie obserwacyjnej, spoglądając w mroczną otchłań komory więziennej, znajdowali się tylko Louis i Mówiący.
– Zaczynaj – powiedział Louis.
Kzin nacisnął obydwa spusty.
Rozległ się powtórzony wielokrotnym echem odgłos gromu, zaś na ścianie, tuż pod sufitem, pojawił się oślepiająco jasny punkt. Przesuwał się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pozostawiając za sobą krwistoczerwony ślad.
– Tnij po kawałku – polecił Louis. – Jeśli to wszystko spadnie naraz, będziemy się czuli jak pchły na grzbiecie wściekłego psa.
Mówiący posłusznie zmienił kierunek cięcia.
Mimo to, kiedy odpadł pierwszy kęs konstrukcji, budynek zakołysał się jak pijany. Louis wczepił się rozpaczliwie w wysuwającą się spod niego podłogę. Przez wycięty otwór zobaczył słońce, miasto i ludzi.
Bezpośrednio w dół mógł spojrzeć dopiero kilka minut później, kiedy przestało istnieć jeszcze kilka segmentów budowli.
Ujrzał drewniany ołtarz, a na nim błyszczący model w kształcie płaskiego prostokąta nakrytego parabolicznym łukiem. W chwilę potem tuż obok runęła część odciętej właśnie ściany, grzebiąc ołtarz pod rumowiskiem. Ludzie uciekli dużo wcześniej.
– Ludzie! – poskarżył się później Nessusowi. – W środku opustoszałego miasta, co najmniej dzień drogi od pól! Skąd się tutaj wzięli?
– Oddają cześć swojej bogini, Halrloprillalar. Dzięki nim ma co jeść.
– A, ofiary i tak dalej...
– Właśnie. Czemu cię to niepokoi?
– Mogli zginąć.
– Być może niektórych to spotkało.
– Zdawało mi się, że przez chwilę tam, na dole, widziałem Teelę.
– Nonsens, Louis. Czy możemy sprawdzić działanie naszych horyzontalnych silników?
Skuter lalecznika był niemal całkowicie zatopiony w żelatynowej polewie supertwardego plastyku. Nessus zajął miejsce przy odsłoniętej tablicy przyrządów. Przez panoramiczne okno roztaczał się wspaniały widok na całe miasto: port, wysmukłe wieże centrum, bujna dżungla, która niegdyś była zapewne reprezentacyjnym parkiem. Wszystko to kilka tysięcy stóp pod nimi.
Louis przymknął oczy...
Czując na sobie spojrzenia wiernej załogi, bohaterski dowódca stanął na mostku. Uszkodzone silniki mogą w każdej chwili eksplodować, ale to nieważne! Trzeba powstrzymać wojenne statki kzinów, zanim uderzą na Ziemię, siejąc śmierć i zniszczenie!
– To bez sensu – powiedział Louis Wu.
– Dlaczego? Naprężenia materiału nie powinny...
– Latający zamek! Na czerwone oczy finagla, dopiero teraz uświadomiłem sobie, jakie to wariactwo! Jesteśmy chyba niespełna rozumu. Wlec się do domu w górnej połówce wieżowca...
Budynek zakołysał się i Louis oparł się o ścianę; lalecznik włączył silnik skutera.
Miasto, nabierając szybkości, przesuwało się za oknem. Po pewnym czasie Nessus wyłączył przyśpie-

szenie, zresztą ani przez chwilę nie było większe niż jakieś trzydzieści centymetrów na sekundę do kwadratu. Lecieli z prędkością około stu mil na godzinę i nie czuli najmniejszego nawet kołysania.

– Udało nam się dobrze osadzić skuter – powiedział Nessus. – Jak widzicie, podłoga jest poziomo, a sama budowla nie wykazuje żadnych tendencji do obracania się.

– To i tak bez sensu.

– Nie, co działa, nie jest bez sensu. Dokąd lecimy?

Louis nic nie odpowiedział.

– Dokąd lecimy, Louis? Ani Mówiący, ani ja nie mamy żadnych planów. Podaj kierunek, Louis.

– Z powrotem.

– Doskonale. Dokładnie tym samym kursem?

– Tak, aż za Oko. Tam skręć o czterdzieści pięć stopni w kierunku przeciwnym do ruchu obrotowego Pierścienia.

– Czy chcesz odnaleźć miasto z wieżą, którą nazwano Niebem?

– Tak. Trafisz tam?

– Bez problemu. Lecieliśmy stamtąd trzy godziny; powinniśmy być z powrotem za trzydzieści. A co potem?

– Zobaczymy.

*

Obraz był tak wyraźny... Była to co prawda czysta teoria wymieszana z jeszcze czystszą fantazją, ale... Louis Wu śnił na jawie.

Tak wyraźny. Ale czy realny?

Jego samego przeraziła łatwość, z jaką zwątpił w możliwości latającej wieży. A przecież leciała. I wcale nie potrzebowała do tego Louisa Wu.

*

– Zdaje się, że pożeracz liści bez sprzeciwu podporządkowuje się twoim poleceniom – zauważył Mówiący-do-Zwierząt.

Kilka stóp od nich skuter lalecznika mruczał cichutko. Za oknem niezmordowanie przesuwał się krajobraz. Oko przyglądało im się obojętnie z oddali, niedostrzegalnie zbliżając się do nich z każdą mijającą minutą.

– Pożeracz liści oszalał – odparł Louis. – Mam nadzieję, że przynajmniej ty jesteś przy zdrowych zmysłach.

– Skądże znowu. Jeśli masz jakiś cel, chętnie będę ci towarzyszył. Ale jeżeli będziemy musieli z kimś walczyć, to chciałbym wiedzieć o tym odpowiednio wcześniej.

– Uhm.

– Chciałbym wiedzieć c o k o l w i e k niezależnie od tego, czy będziemy musieli walczyć, czy nie.

– Dobrze powiedziane.

Mówiący czekał.

– Wracamy po nić łączącą czarne prostokąty – powiedział wreszcie Louis. – Po tę, którą zerwał „Kłamca". Spadała na miasto pętla za pętlą, bez końca. Jest jej już tam pewnie kilkadziesiąt tysięcy mil, więcej niż będziemy potrzebować.

– Do czego mamy jej potrzebować, Louis?

– Najpierw musimy ją mieć. Sądzę, że jeśli Prill ładnie poprosi, a Nessus zrobi użytek ze swojego taspu, nie powinniśmy mieć z tym większego problemu.

– A potem?

– Potem przekonamy się, czy rzeczywiście zwariowałem.

*

Louis Wu dysponował znakomitą wyobraźnią. Nie miał żadnych kłopotów z odtworzeniem tego, co musiało się kiedyś wydarzyć.

Miał przed sobą doskonale czysty, przejrzysty model Pierścienia; żadnych statków, promów, satelitów. Tylko słońce typu G2 i Pierścień.

Widział, jak z międzygwiezdnej przestrzeni nadlatuje jakieś ciało. Leciało bardzo szybko... aż wreszcie jego lot zakończył się na spodniej stronie Pierścienia.

W jego wizji to ciało było wielkości ziemskiego Księżyca.

W ciągu ułamka sekundy zamieniło się w zjonizowaną plazmę. Mniejsze meteoryty, poruszające się z niewielkimi prędkościami po wejściu w atmosferę jakiejś planety płoną niczym suche drewienka, niknąc przed dotarciem do powierzchni. Tutaj jednak nie istniała atmosfera, zaś plazma, wtłoczona potwornym uderzeniem w spodnią stronę konstrukcji nie miała gdzie się rozszerzać. Pędziła dalej przed siebie, wypychając w górę spód Pierścienia, aż wreszcie twarda powłoka pękła, wypuszczając ognistą kulę na wolność.

Obszar większy od powierzchni Ziemi znalazł się nagle dziesiątki i setki mil wyżej, niż do tej pory. Załamał się pieczołowicie opracowany mechanizm ruchu mas powietrza i rozkładu temperatur. Tysiącmilowej wysokości Pięść Boga...

– Pięść Boga? Nieżas! Oczywiście! Dla obserwatorów znajdujących się na Pierścieniu musiało wyglądać to tak, jakby jakaś potworna, ognista pięść przebiła jednym ciosem cienką niczym kartka papieru konstrukcję.

Powinni się cieszyć, że materiał, z którego zbudowano Pierścień okazał się aż tak odkształcalny. Przez krater mogłoby uciec całe powietrze, którym oddychali. Na szczęście, krater znajdował się o tysiąc mil za wysoko...

*

I był pełen gwiazd. Nagle ustało działanie siły grawitacji. Tego Louis nie przewidział.

– Łap się czegoś! – krzyknął. – Jeśli wypadniemy, to po nas!

– Oczywiście – zgodził się z nim Mówiący-do-Zwierząt, chwytając się mocno metalowej poręczy. Louis czym prędzej poszedł w jego ślady.

– I co, miałem rację? Gwiazdy!

– Rzeczywiście. Ale skąd wiedziałeś?

Wróciło ciążenie. „Niemożliwy" przekręcił się na bok tak, że panoramiczne okno skierowane było teraz w górę.

– Trzyma! – zawołał z triumfem Louis, stając na tym, co jeszcze przed chwilą było ścianą sterowni. – Mam nadzieję, że Prill czymś się przypięła. Będzie miała trochę wyboistą drogę. Na szczyt Pięści Boga, a potem przez krawędź krateru i...

Spojrzeli w górę, na spodnią stronę Pierścienia – nieskończona, misternie rzeźbiona powierzchnia. A w jej środku stożkowe zagłębienie o błyszczącym dnie. „Niemożliwy" zakołysał się, niczym zawieszone na niebotycznie długim pręcie serce wahadła i krater rozjarzył się na moment słonecznym blaskiem.

– ... i w dół. Kiedy i my, i ona wylecimy w przestrzeń z prędkością 770 mil na sekundę, będziemy mogli zbliżyć się do niej korzystając z silnika skutera.

Skąd wiedziałem? Przecież cały czas ci o tym mówiłem. Nie wspominałem nic o krajobrazie?

– Nie.

– To właśnie było rozstrzygające. Te nagie, zerodowane obszary i upadek cywilizacji, która liczyła sobie zaledwie półtora tysiąca lat! A wszystko dlatego, że dwa kratery meteorytowe zupełnie zmieniły układ wiatrów. Czy wiesz, że właściwie cała trasa naszej podróży prowadziła od jednego krateru do drugiego?

– To bardzo mało przekonywające rozumowanie, Louis.

– Ale okazało się słuszne.

W górę strzelały olbrzymie strzępy i załomy. Między dwoma z nich otworzyła się nagle dosyć szeroka przerwa.

– Chcesz wejść do krateru – stwierdził w pewnej chwili Mówiący-do-Zwierząt.

– Tak.

– Musimy więc skierować się do tego przesmyku. Nie damy rady wznieść się wyżej.

Mówiący sterował „Niemożliwym" regulując ciąg silnika skutera. Dążąc do maksymalnego zmniejszenia wagi budynku odcięli nawet mechanizm stabilizujący jego położenie. Kzin dokonywał cudów zręczności, żeby utrzymać w pionie nieregularną konstrukcję.

– Wzywam Prill – powiedział Louis do interkomu. – Wzywam Halrloprillalar. Słyszysz mnie, Prill?

– Słyszę, Louis.

– Zostań tam, gdzie jesteś. Za dwadzieścia minut będziemy na miejscu.

– To dobrze. Długo to trwało.

Łuk Nieba jarzył się nad nimi błękitnym blaskiem. Z wysokości tysiąca mil nad powierzchnią Pierścienia widzieli, jak Łuk łączy się ze ścianami krawędzi, przechodząc stopniowo w płaski teren. Louis czuł to samo, co czuli tysiąc lat wcześniej pierwsi ludzie, którzy wznieśli się nad Ziemię i zobaczyli, że naprawdę jest okrągła.

– Nie mogliśmy o tym wiedzieć – powiedział cicho Louis. Mówiący usłyszał jednak i spojrzał na niego. Louis nie zwrócił uwagi na dziwny wzrok kzina. – Zaoszczędzilibyśmy sobie tyle czasu i kłopotów... Mogliśmy zawrócić od razu, jak tylko znaleźliśmy nić. Mogliśmy przecież wciągnąć „Kłamcę" naszymi skuterami. Ale wtedy Teela nie spotkałaby Poszukiwacza.

– Znowu szczęście Teeli Brown?

– Oczywiście – Louis otrząsnął się. – Czy mówiłem na głos?

– Tak.

– Powinniśmy się domyśleć – podjął Louis. Krawędź była już bardzo blisko i czuł nieodpartą potrzebę mówienia. – Inżynierowie nigdy nie zbudowaliby t u t a j aż tak wysokiej góry. Mają przecież pasma o długości ponad miliarda mil, jeśli liczyć obie krawędzie.

– Ale Pięść Boga istnieje, Louis.

– Właśnie, że nie – to tylko skorupa. Spójrz w dół. Co widzisz?

– Materiał konstrukcyjny Pierścienia.

– Kiedy pierwszy raz to zobaczyliśmy, myśleliśmy, że to brudny lód. Brudny lód w zupełnej próżni! Ale mniejsza o to. Pamiętasz, jak szukałeś na mapie Pięści Boga i nie mogłeś jej znaleźć? Wiesz, dlaczego?

Kzin nie odpowiedział.

– Bo jej nie było. Kiedy sporządzano te mapy, po prostu jej nie było. Prill, jesteś tam?

– Jestem. Dlaczego miałoby mnie nie być?

– Dobrze. Zamknij drzwi śluzy. Powtarzam: zamknij drzwi śluzy. Tylko uważaj, żeby nić nie pocięła cię na plasterki.

– To m y wynaleźliśmy tę nić, Louis. – W interkomie zapadła cisza, przerywana jedynie szumem i trzaskami zakłóceń. – Wewnętrzne i zewnętrzne drzwi zamknięte – zameldowała po pewnym czasie Prill.

„Niemożliwy" przechodził właśnie między dwoma ostrymi szczytami.

– Louis, co właściwie chcesz znaleźć w tym kraterze?

– Gwiazdy.

– Nie kpij ze mnie. Moje poczucie...

Znajdowali się już w kraterze. Pięść Boga rzeczywiście była tylko pustą w środku skorupą.

Spadali. I krater był pełen gwiazd.

*

Napowietrzny budynek parł przed siebie niczym potężny parostatek. W żadnym statku kosmicznym nie mieliby do dyspozycji aż tyle miejsca. Także żaden ze znanych im pojazdów poruszających się w obrębie atmosfery nie wytrzymywał porównania; sześć pokładów, po których można łazić! Luksus!

Brakowało za to innych luksusów. Zasoby żywności ograniczały się do mrożonego mięsa i owoców z chłodni oraz cegiełek ze skutera lalecznika. Według Nessusa jego pożywienie nie zawierało żadnych składników odżywczych przyswajalnych przez organizm ludzi lub kzinów, toteż każdy posiłek Louisa wyglądał tak samo: kawałek mięsa upieczonego promieniem lasera i pomarańczowy owoc.

Poza tym, nie mieli wody.

Ani kawy.

Nakłonili Prill, żeby przyniosła kilka butelek miejscowego alkoholu i w zaimprowizowanej sterowni urządzili chrzest statku. Kzin taktownie wycofał się do najdalszego kąta, zaś Prill cały czas kręciła się w pobliżu drzwi. Nikt nie chciał się zgodzić na propozycję Louisa, żeby nadać ich nowemu statkowi imię „Niemożliwy", toteż odbyły się właściwie cztery chrzty, każdy w innym języku.

Alkohol był...no, w najlepszym razie kwaśny. Mówiący nie mógł go przełknąć, zaś Nessus nawet nie próbował. Prill natomiast sama opróżniła jedną butelkę, po czym starannie schowała pozostałe.

Ceremonia chrztu zamieniła się w lekcję języka, podczas której Louis przyswoił sobie kilka podstawowych pojęć języka Inżynierów. Mówiący czynił postępy o wiele szybciej od niego. Nie było w tym nic niezwykłego, przecież zarówno kzin, jak i lalecznik znali już kilka ludzkich języków, a co za tym idzie, byli obeznani z narzuconymi przez nie sposobami formułowania i wyrażania myśli. Tutaj mieli do czynienia niemal dokładnie z tym samym.

Zrobili przerwę na obiad. Nessus jadł sam, korzystając z regeneratora żywności swego skutera, żeby nie widzieć, jak Louis i Prill spożywają pieczone, Mówiący zaś surowe mięso.

Po posiłku lekcja trwała dalej. Louis zaczynał powoli mieć tego dosyć. Inni byli już tak zaawansowani, że on sam czuł się jak kretyn.

– Ależ, Louis, przecież m u s i s z się nauczyć! Przemieszczamy się bardzo wolno i nieraz będzie trzeba kontaktować się z tubylcami w celu zdobycia żywności.

– Wiem, wiem. Nigdy nie miałem smykałki do języków.

Zapadła ciemność. Chociaż znajdowali się jeszcze daleko od Oka, niebo było całkowicie zasnute chmurami i noc była czarna niczym wnętrze brzucha olbrzymiego smoka. Louis zażądał przerwy. Był zmęczony, poirytowany i najczęściej w ogóle nie wiedział, o co chodzi. Pozostała trójka wyszła, pozwalając mu położyć się spać.

Za mniej więcej dziesięć godzin mieli mijać Oko.

*

Znajdował się na krawędzi snu, kiedy wróciła Prill. Poczuł gładzące go dłonie i sięgnął do niej. Cofnęła się o krok.

– Ty jesteś wódz? – zapytała w swoim języku, maksymalnie uproszczonym dla potrzeb Louisa.

Louis zastanowił się przez chwilę.

– Tak – powiedział wreszcie, bowiem rzeczywista sytuacja była zbyt skomplikowana, żeby mógł się pokusić o jej wyjaśnienie.

– Każ dwugłowemu dać mi jego maszynę.

– Jego co?

– Jego maszynę, która robi mi szczęście. Chcę ją. Zabierz mu.

Louis roześmiał się.

– Chcesz mnie? Zabierz ją – powtórzyła niecierpliwie Prill.

Lalecznik miał coś, na czym jej zależało. Nie miała na niego żadnego wpływu, gdyż nie był człowiekiem. Jedynym człowiekiem w pobliżu był Louis Wu. Mogła go zmusić do zrobienia tego, co chciała; do tej pory zawsze tak się działo. Czyż nie była boginią?

Być może zwiodły ją włosy Louisa. Sądziła pewnie, że jest członkiem zarośniętej klasy niższej, no, może pół-Inżynierem, jako że nie miał brody, ale nikim więcej. Oznaczało to, że urodził się już po Upadku Miast. Nie zażywał eliksiru. Był naprawdę młody.

– Masz zupełną rację – powiedział Louis w interworldzie. Jej pięści zacisnęły się z wściekłością, bowiem nie trzeba było się specjalnie wysilać, żeby usłyszeć kpinę w jego głosie. – W twoich rękach każdy trzydziestolatek zmiękłby jak wosk. Ale ja jestem trochę starszy. – I roześmiał się znowu.

– Maszyna. Gdzie ona jest? – Jej uroczy, kształtny cień pochylił się w jego stronę. Naga skóra na czaszce błyszczała słabo. Czarne włosy spadały na jedno ramię. Poczuł ciepło jej oddechu.

Louis z trudem znalazł odpowiednie słowa.

– Guz w środku, na kości. Głowa.

Prill wydała wściekły pomruk. Z pewnością zrozumiała; tasp był wszczepiony chirurgicznie. Odwróciła się i wyszła bez słowa.

Louisowi przemknęła myśl, czy by przypadkiem za nią nie pójść. Pożądał jej bardziej, niż ośmieliłby się nawet sam przed sobą przyznać. Ale ona mogła nim całkowicie zawładnąć, a motywy i cele, ku którym oboje dążyli wcale nie były takie same.

*

Świst wiatru przybierał stopniowo na sile. Louis przymknął oczy... i wpadł w objęcia płytkiego, erotycznego snu.

Niebawem obudził się.

Prill klęczała na nim niczym demon w kobiecym przebraniu, niespiesznie przesuwając palce po skórze na jego piersi i brzuchu. Po chwili raz i drugi poruszyła biodrami i Louis nie mógł powstrzymać się, żeby nie odpowiedzieć w ten sam sposób. Grała na nim jak na jakimś instrumencie.

– Kiedy skończę, będziesz mój – wyszeptała. Jej głos drżał z rozkoszy, ale nie była to rozkosz kobiety kochającej się z mężczyzną, tylko rozkosz kogoś, kto dysponuje nieograniczoną władzą.

Dotknięcie jej ciała było słodkie i ciężkie jak syrop. Już dawno zdążyła poznać jeden z najstarszych sekretów świata: każda kobieta od urodzenia ma w sobie potężny tasp; jeżeli nauczy się z niego korzystać, nie będzie dla niej nic niemożliwego. Mogła działać nim tak długo, aż wreszcie Louis błagałby ją na kolanach o to, żeby móc jej służyć...

Nagle coś się w niej zmieniło. Nie można tego było dostrzec na twarzy, ale Louis usłyszał miękki jęk rozkoszy i odczuł zmianę w jej ruchach, coraz szybszych, coraz gwałtowniejszych, aż wreszcie razem doszli do szczytowego punktu. Stłumiony, daleki odgłos jakby gromu wydał się Louisowi nierzeczywistym produktem jego wyobraźni.

Została przy nim przez całą noc. Od czasu do czasu budzili się, kochali, i znów szli spać. Jeżeli nawet Prill odczuwała jakiś niedosyt czy niezaspokojenie, to nie dawała mu tego odczuć, a on nie potrafił nic takiego dostrzec. Wiedział tylko, że nie był już bezwolnym instrumentem; teraz grali w duecie.

Coś jej się stało. I Louis chyba wiedział, co.

*

Poranne niebo było szare i zachmurzone. Wiatr świstał w załomach starej budowli, a deszcz zalewał strumieniami panoramiczne okno, zacinając do środka przez powybijane szyby na innych piętrach. „Niemożliwy" znajdował się już bardzo blisko Oka.

Louis ubrał się i wyszedł ze sterowni.

W holu zobaczył drepczącego dokądś Nessusa.

– Ej, ty! – krzyknął.

– Tak, Louis?

troską Louisa było, żeby nie uległy zniszczeniu żadne elementy układu podtrzymywania życia. Żółta farba miała oprócz tego uchronić ich przed utratą palców, albo i czymś gorszym.

Louis wyszedł na zewnątrz, zaczekał, aż dołączy do niego Mówiący-do-Zwierząt, po czym zamknął zewnętrzne drzwi śluzy.

– Czy dlatego właśnie wróciliśmy? – zapytał kzin.

– Zaraz ci wyjaśnię – odparł Louis. Przeszedł ostrożnie wzdłuż kadłuba, podniósł oblepiony plastykiem zaczep i pociągnął. Nić ani drgnęła. Pociągnął mocniej. To samo. Drzwi śluzy trzymały ją mocno.

– Nie mam jak lepiej tego wypróbować – powiedział. – Nie byłem pewien, czy docisk drzwi okaże się wystarczający. Nie byłem pewien, czy nić nie rozetnie samego kadłuba. Ciągle nie jestem pewien. Ale tak, właśnie dlatego wróciliśmy.

– Co teraz zrobimy?

– Otworzymy drzwi śluzy. – Po chwili były już otwarte. – A teraz zaniesiemy zaczep z powrotem na „Niemożliwego" i umocujemy do ściany.

Nić ciągnęła się tysiące mil za latającym budynkiem. Być może sięgała aż do miasta, nad którym unosił się zamek zwany Niebem.

Teraz przechodziła także przez wnętrze kadłuba „Kłamcy", zaś jej koniec był przytwierdzony garścią plastyku do ściany „Niemożliwego".

– Jak na razie, wszystko w porządku – stwierdził Louis. – Teraz będę potrzebował Prill... Niezas! Zupełnie zapomniałem, że ona nie ma skafandra!

– Skafandra?

– Lecimy „Niemożliwym" na Pięść Boga, a przecież ta ruina nie jest hermetyczna. Będziemy musieli ją tutaj zostawić.

– Na Pięść Boga – powtórzył Mówiący. – Louis, silnik skutera ma za mało mocy, żeby wciągnąć tam „Kłamcę". Może odmówić posłuszeństwa.

– Wcale nie mam zamiaru go ciągnąć. Chcę tylko przeprowadzić przez „Kłamcę" czarną nić.

– To powinno się udać – stwierdził po chwili namysłu Mówiący. – Jeżeli zabraknie mocy, będziemy mogli odciąć jeszcze kilka pięter. Ale... po co to robisz? Co spodziewasz się znaleźć na szczycie?

– Mógłbym ci powiedzieć – to tylko jedno słowo. Ale ty mógłbyś wtedy roześmiać mi się w twarz. Jeżeli okaże się, że nie miałem racji, to przysięgam, nigdy nie dowiesz się, co planowałem.

Będę musiał wytłumaczyć Prill, czego od niej oczekuję, pomyślał. I zatkać plastykiem ten otwór w rufie „Kłamcy".

„Niemożliwego" w żaden sposób nie można było uznać za statek kosmiczny. Siła utrzymująca go w powietrzu była pochodzenia elektromagnetycznego i działała odpychając go od podłogi Pierścienia. Na szczęście podłoga ta wznosiła się cały czas ku górze, bowiem Pięść Boga była pusta w środku. Tyle tylko, że latająca budowla wykazywała tendencję do ześlizgiwania się wstecz. Silnik skutera lalecznika miał nie tylko ją przed tym powstrzymać, ale i pchać naprzód.

Musieli coś zrobić, żeby ułatwić mu to zadanie.

Jeszcze przed rozpoczęciem właściwej podróży zamieszkali na stałe we wnętrzu swoich skafandrów. Louis pociągał markotnie odżywczą papkę z tubki i myślał tęsknie o upieczonym promieniem lasera befsztyku. Mówiący pociągał sztuczną, podgrzaną krew, o czym myślał, nie wiadomo.

Nie potrzebowali już kuchni, więc odcięli mieszczącą ją część budynku. Odcięli także piętra, na których znajdowała się aparatura wentylacyjna i najróżniejszy sprzęt policyjny, łącznie z generatorami pól elektromagnetycznych, które kiedyś schwytały ich w swe sidła. Odcięli większość stropów i ścian. Zostały tylko te, których cień był niezbędny dla normalnego życia.

Z każdym dniem zbliżali się do ziejącego na szczycie góry krateru, w którym swobodnie zmieściłaby się większość asteroidów, jakie Louisowi zdarzyło się kiedykolwiek widzieć. Krawędź krateru wyglądała dosyć niezwykle: można było odnieść wrażenie, że materiał konstrukcyjny Pierścienia został wypchnięty od wewnątrz...

projektowali go tak, żeby potrafił poradzić sobie nawet z najtrudniejszym przypadkiem. Czy jednak przewidzieli dekapitację?

Przewidzieli. W banku narządów znajdowały się dwie zapasowe głowy, a oprócz tego tyle najróżniejszych organów, że można by złożyć z nich kilka kompletnych lalecznikÓw. Najprawdopodobniej wszystkie te „części" otrzymano drogą klonowania z komórek ciała Nessusa – twarze obydwu głów wydawały się dziwnie znajome.

Prill zeszła na „Kłamcę" i oczywiście wylądowała na głowie. Louis chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś równie zdumionego. Zupełnie zapomniał ją ostrzec.

Przez chwilę panowała cisza, którą przerwał nagle przeraźliwy wrzask Louisa:

– Kawa! Prysznic! – popędził do kabiny, którą zajmował wspólnie z Teelą. Zaraz potem z jej wnętrza rozległ się kolejny wrzask – Prill!

I Prill poszła.

*

Nie znosiła kawy. Uważała, że Louis musi być szalony, wlewając w siebie gorącą, gorzką ciecz i nie omieszkała mu tego powiedzieć.

Kiedy Louis wyjaśnił jej, jak należy posługiwać się prysznicem, w jej pamięci obudziło się wspomnienie tego kiedyś posiadanego, a potem na długo utraconego luksusu.

Najbardziej podobały się jej antygrawitacyjne łóżka.

Mówiący świętował powrót do domu na swój własny sposób. W pewnym momencie Louis zaczął się obawiać, że kzin pęknie z przejedzenia.

– Mięso! – ryczał w przerwach między potężnymi kęsami Mówiący-do-Zwierząt. – Nareszcie świeże mięso!

– To, co jesz, pochodzi z przetworzonych... – usiłował mu delikatnie przypomnieć Louis.

– Wiem. Ale smakuje jak świeże!

Prill spędziła noc na kanapie w „mesie". Była zachwycona bezgrawitacyjnymi łóżkami, ale uważała, że powinny służyć do innych celów niż do spania. Louis nie mógł odmówić sobie przyjemności spędzenia nocy w stanie nieważkości.

Obudził się po dziesięciu godzinach, głodny niczym wilk. Pod jego stopami pełnym blaskiem świeciło słońce.

*

Wrócił na „Niemożliwego" i promieniami lasera odciął przymocowaną do ściany końcówkę czarnej nici. Zostało na niej jeszcze trochę twardego niczym skała plastyku.

Nie odważył się zwyczajnie zanieść ją na „Kłamcę". Przecinająca wszystko nić stanowiła zbyt wielkie zagrożenie, a szara powierzchnia była zbyt śliska. Louis pełzł na czworakach, ciągnąc za sobą oklejony plastykiem zaczep.

Mówiący w milczeniu przyglądał mu się z drzwi śluzy.

Louis wszedł na górę po drabince sznurowej, przecisnął się obok pomarańczowego cielska kzina i skierował się na rufę statku. W jej najwęższym miejscu, na samym końcu, znajdował się otwór o średnicy może stopy, przez który wychodziła wiązka kabli, łączących sterownię z zamocowanymi na skrzydle urządzeniami i silnikami. Teraz, kiedy skrzydło nie istniało, otwór był zamknięty metalową plombą. Louis wypchnął ją i wyrzucił na zewnątrz końcówkę nici.

Ruszył na dziób, od czasu do czasu sprawdzając położenie nici. Robił to, tnąc na plasterki zaoferowane mu przez autokuchnię pęto kiełbasy i malując odcinki niemal niewidocznego przewodu żółtą, odblaskową farbą.

Kiedy nić się napnie, z pewnością przetnie część przegród i niektóre elementy wyposażenia. Główną

– Co zrobiłeś Prill?

– Powinieneś być wdzięczny, Louis. Chciała cię sobie podporządkować, zmusić do posłuszeństwa. Wszystko słyszałem.

– Użyłeś taspu!

– Kiedy byliście zajęci działalnością reprodukcyjną, dałem przez trzy sekundy małą moc. Teraz to ona jest uwarunkowana, nie ty.

– Ty potworze! Ty cholerny, egoistyczny potworze!

– Nie zbliżaj się, Louis.

– Prill jest człowiekiem, tak jak ja i ma prawo do wolnej woli!

– A co z twoją wolą?

– Nie bój się, nic jej nie groziło. Prill nie dałaby rady mnie omotać.

– Czy jeszcze coś cię martwi? Louis, nie byliście pierwszą parą ludzi, którą obserwowałem podczas działalności reprodukcyjnej. Musieliśmy przecież dowiedzieć się o was wszystkiego. Powtarzam, nie podchodź bliżej.

– Nie miałeś prawa! – Louis, rzecz jasna, nie miał zamiaru zaatakować lalecznika. Z wściekłości zacisnął co prawda pięści, ale w żadnym wypadku by ich nie użył. Zrobił krok naprzód...

... i znalazł się w trudnej do opisania ekstazie.

W sercu najczystszej rozkoszy, jakiej nie dane mu było jeszcze nigdy zaznać, zdawał sobie doskonale sprawę, że Nessus użył swego taspu. Nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami tego, co czyni, zamachnął się z całej siły nogą.

Obezwładniony cudownym uczuciem nie miał tej siły zbyt wiele, ale wystarczyło jej w zupełności, żeby kopnąć Nessusa w krtań, tuż pod lewą szczęką.

Konsekwencje tego czynu były zadziwiające. Nessus powiedział „Głup!", zatoczył się do tyłu i wyłączył tasp.

W tej samej chwili na barki Louisa Wu zwaliły się troski i zmartwienia całego świata. Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie patrząc dokąd idzie. Chciało mu się płakać, ale jeszcze bardziej chciał ukryć przed lalecznikiem swoją twarz.

*

Szedł na oślep, mając przed oczami panującą w jego duszy ciemność. Przypadkiem trafił na klatkę schodową.

Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, co zrobił Prill. Nawet kiedy balansował nad dziewięćdziesięciostopową przepaścią miał mieszane uczucia, kiedy Nessus używał na niej swego taspu. Kiedyś widział, jak wyglądają ci, którzy pozostają dłużej pod jego wpływem.

Uwarunkowana! Jak doświadczalne zwierzątko! W dodatku zdawała sobie z tego sprawę! Tej nocy dokonała ostatniej, nieudanej próby wyrwania się spod przerażającego, rozkosznego czaru.

A teraz Louis poczuł na sobie to, z czym walczyła.

– Nie powinienem był tego robić – powiedział na głos. – Cofam to.

Było to śmieszne, nawet w czarnej rozpaczy, w jakiej się znajdował. Niczego nie można cofnąć.

Przypadkiem skierował się po schodach na dół, a nie na górę. Przypadkiem albo jego podświadomość zarejestrowała jednak ów głuchy grzmot sprzed kilku godzin.

Kiedy stanął na platformie, dopadł go szalejący wiatr, zacinając ukośnymi strumieniami deszczu. Nieprzyjemne uczucie sprawiło, że skierował część uwagi na to, co działo się poza nim. Powoli dochodził do siebie po czarnej rozpaczy, której doświadczył po wydostaniu się spod działania taspu.

Kiedyś Louis Wu przysiągł sobie, że będzie żył wiecznie.

Teraz wiedział już, że dotrzymanie tej obietnicy wymagało wielu wyrzeczeń i poświęceń.

– Muszę ją uratować – postanowił. Ale jak? Na razie nie przejawiała żadnych objawów depresyjnych... Ale to nie znaczyło, że w każdej chwili nie może wyjść przez wybite okno. A jak mam uratować s i e b i e? Gdzieś w głębi jego duszy ciągle rozlegał się rozpaczliwy krzyk. I nie chciał przestać.

Uwarunkowanie nie było niczym innym jak pamięcią podprogową. Gdyby dać jej dużą dawkę eliksiru, to pamięć ta powinna się zatrzeć...

– Nieżas! Potrzebujemy jej.

Zbyt wiele wiedziała o maszynowni „Niemożliwego". Nikt nie mógł jej zastąpić.

Nie pozostaje mu nic innego, jak zmusić Nessusa, żeby przestał używać taspu. Trzeba będzie przez jakiś czas dokładnie ją obserwować. Z początku będzie pewnie straszliwie przygnębiona...

Do mózgu Louisa dotarło wreszcie to, co jego oczy obserwowały już od dłuższego czasu.

Pojazd, przypominający kształtem niewielką strzałę z wąskimi paskami okien znajdował się jakieś dwadzieścia stóp poniżej platformy. Unosił się w szalejącym wietrze, chwycony więzami elektromagnetycznego pola, którego nikt nie wyłączył.

Louis przyjrzał się dokładnie, żeby upewnić się, że za przednią szybą rzeczywiście majaczy jakaś twarz, potem popędził po schodach na górę, wołając Prill.

Nie znał odpowiednich słów, więc tylko schwycił ją za łokieć i sprowadził na dół. Zobaczywszy, o co mu chodzi, skinęła głową i wróciła do maszynowni.

Po chwili strzała przybiła do krawędzi platformy. Pierwszy pasażer wygramolił się na czworakach, bowiem wiatr dął już jak oszalały.

Była to Teela Brown. Louis nawet specjalnie się nie zdziwił.

Drugi pasażer wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z kart komiksu. Louis nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

Na twarzy Teeli malował się wyraz zdziwienia i urazy.

*

Mijali Oko. Wiatr wciskał się otwartą klatką schodową na pierwsze piętro i hulał po korytarzach. Wyżej, przez powybijane okna zacinał ulewny deszcz.

Teela, jej towarzysz i załoga „Niemożliwego" zebrała się w sterowni, czyli sypialni Louisa. Kompan Teeli rozmawiał w kącie z Prill, która jednak starała się nie spuszczać z oka zarówno Mówiącego-do-Zwierząt, jak i panoramicznego okna. Reszta skupiła się wokół Teeli, słuchając jej opowieści.

Kiedy skuter Teeli dostał się w zasięg policyjnego pola, przestało w nim działać niemal wszystko: lokator, interkom, bariera dźwiękochłonna i regenerator żywności.

Przeżyła tylko dzięki temu, że urządzenie generujące, chroniące ją przed hałasem i wiatrem pole siłowe miało niewielki zapas energii, pozwalający na utrzymanie go jeszcze przez kilkanaście sekund. Przez ten czas prędkość skutera spadła z 2 Macha poniżej maksymalnej szybkości dozwolonej w granicach miasta. Pole elektromagnetyczne natychmiast ją wypuściło, pozostawiając nieuszkodzony silnik.

Ale Teela miała już dosyć. Przecież niedawno otarła się o śmierć w Oku; kolejny atak nastąpił zbyt szybko. Skierowała skuter w dół, usiłując znaleźć w ciemności jakieś miejsce do lądowania.

Dostrzegła coś w rodzaju ulicy, jasno oświetlonej pomarańczowym blaskiem, wydobywającym się z owalnych otworów wejściowych. Skuter wylądował dosyć twardo, ale jej było wszystko jedno; ważne, że bezpiecznie znalazła się na ziemi.

Właśnie zsiadała, kiedy maszyna sama uniosła się w powietrze. Teela wywinęła salto, a kiedy pozbierała się na tyle, żeby spojrzeć w górę, skutera już nie było.

Rozpłakała się.

– Widocznie wylądowałaś akurat tam, gdzie był zakaz postoju – powiedział Louis.

– Nic mnie nie obchodziło, dlaczego tak się stało. Czułam ... – nie mogła znaleźć odpowiednich słów. – Chciałam powiedzieć komuś, że się zgubiłam. Ale nie miałam komu. Usiadłam na jednej z kamiennych ławek i zaczęłam płakać.

Nie wiem, jak długo płakałam. Bałam się stamtąd odejść, bo wiedziałam, że będziecie mnie szukać. A potem.... o n przyszedł – wskazała głową swego towarzysza. – Bardzo się zdziwił, kiedy mnie zoba-

– Jasne. A co potem?

– Potem pożeracze liści wymordowałyby nas do ostatniego kociaka. Louis, nic nikomu nie powiem ani o gwiezdnych nasionach, ani o eksperymentach lalecznikow. Czy mogę liczyć na to, że postąpisz tak samo?

– Tak.

– Czy właśnie to miałeś na myśli mówiąc, że będę musiał jeszcze raz odegrać rolę boga, tym razem na mojej ojczystej planecie?

– Właśnie to. I jeszcze coś: „Szczęśliwy Traf". Ciągle zamierzasz go zagarnąć?

– Może.

– Nie uda ci się. Ale przypuśćmy, że jednak tak się stało. Co wtedy?

– Wtedy kzinowie będą dysponować napędem hiperprzestrzennym kwantum II.

– I...?

Prill wyczuła, że spokojna z pozoru rozmowa rozstrzyga o niezwykle ważnych sprawach. Wstała, jakby szykując się do rozdzielenia ich, gdyby skoczyli sobie do gardeł.

– Wkrótce mielibyśmy flotę statków zdolną przebyć odległość jednego roku świetlnego w ciągu minuty i piętnastu sekund. Opanowalibyśmy cały poznany Kosmos podporządkowując sobie wszystkie zamieszkujące go rasy.

– A potem?

– Nie ma żadnego „potem", Louis. Na tym kończą się nasze ambicje.

– Nieprawda. Nie zaprzestalibyście podbojów. Dysponując takim napędem rozprzestrzenialibyście się we wszystkich kierunkach, obejmując we władanie każdą planetę, na jaką zdołalibyście trafić. Zagarnęlibyście więcej, niż moglibyście utrzymać... aż kiedyś, gdzieś w tej olbrzymiej przestrzeni trafilibyście na coś naprawdę groźnego: na przykład flotę lalecznikow, inny Pierścień, bandersnatche z rękami; kdatlyno na potężnie uzbrojonych krążownikach.

– Mało prawdopodobne.

– Widziałeś przecież Pierścień. Widziałeś planety lalecznikow. Skąd wiesz, że na tym koniec?

Kzin nic nie odpowiedział.

– Nie śpiesz się – powiedział Louis. – Przemyśl to sobie. Zresztą, i tak nie możesz ukraść „Szczęśliwego Trafu". Zabiłbyś wszystkich, także i siebie.

Nazajutrz „Niemożliwy" odnalazł wyraźną, ciągnącą się, mogłoby się zdawać, w nieskończoność bruzdę. Zakręcili, kierując się wzdłuż niej prosto na Pięść Boga.

*

Wydawało się, że góra urosła wcale się do nich nie zbliżając. Większa od jakiegokolwiek asteroidu, niemal dokładnie stożkowa, przypominała zwykłą górę o pokrytym śniegiem szczycie, tyle że rozdętą do rozmiarów z koszmarnego snu. Ze snu, z którego nie można było się obudzić, bowiem Pięść Boga nadal rosła.

– Nie rozumiem – powiedziała Prill. Było wyraźnie widać, że jest zaniepokojona i zdenerwowana. – Nigdy tego nie widziałam. Dlaczego to zbudowano? Takie góry są potrzebne tylko na krawędzi, bo tam zatrzymują powietrze.

– Tak właśnie myślałem – mruknął Louis Wu. Nie odezwał się więcej ani słowem.

Tego samego dnia ujrzeli małą, szklaną butelkę, porzuconą przez kogoś w miejscu, gdzie kończyła się bruzda.

„Kłamca" leżał tak, jak go zostawili: niemal do góry nogami na gładkiej, pozbawionej prawie tarcia powierzchni. Louis stłumił w sobie uczucie ulgi – nie byli jeszcze w domu.

Prill zatrzymała „Niemożliwego" tak nisko nad „Kłamcą", że mogli przejść bezpośrednio na jego pokład. Louis bez problemów otworzył zarówno zewnętrzne, jak i wewnętrzne drzwi śluzy, nie potrafił natomiast na stałe wyrównać ciśnienia między wnętrzem kabiny a otoczeniem. Musiałby zająć się tym Nessus, ale lalecznik wedle wszelkich oznak był martwy.

Niemniej jednak włożyli go do koi autolekarza. Inżynierowie i technicy lalecznikow z pewnością za-

– Potrafiłbyś znaleźć jądro galaktyki? – zapytał Louisa.
– Po co? Przecież i tak wiemy, gdzie jesteśmy.
– Jednak spróbuj.
Louis odnalazł kilka znajomych gwiazd i konstelacji, do których zdążył się przyzwyczaić w ciągu długich miesięcy, jakie spędził pod tym niebem.
– Chyba tam. Za Łukiem.
– Otóż to. Jądro galaktyki znajduje się w płaszczyźnie Pierścienia.
– Właśnie to powiedziałem.
– A materiał, z którego jest wykonany, zatrzymuje większość neutrinów. Najprawdopodobniej zatrzyma także inne rodzaje promieniowania. – Kzin najwyraźniej do czegoś zmierzał.
– Masz rację! Pierścień jest zabezpieczony przed skutkami eksplozji jądra! Kiedy na to wpadłeś?
– Przed chwilą. Wcześniej nie byłem pewien, gdzie dokładnie jest jądro galaktyki.
– A trochę promieniowania jednak się przedostanie, szczególnie w pobliżu krawędzi.
– Możesz być pewien, że kiedy dotrze tutaj fala uderzeniowa, szczęście Teeli Brown umieści ją tak daleko od krawędzi, jak to tylko będzie możliwe.
– Dwadzieścia tysięcy lat... – wyszeptał Louis. Na uśmiech finagla! Jak można myśleć w takiej skali?
– Choroba i śmierć nie należą do najszczęśliwszych wydarzeń, Louis. Biorąc to pod uwagę, Teela powinna żyć wiecznie.
– Ale... Masz rację. Ona tak nie myśli, tylko jej szczęście. Wielki, patrzący na nas z góry Marionetkarz.

*

Nessus ostatnie dwa miesiące spędził w charakterze przechowywanych w temperaturze pokojowej zwłok, a mimo to nie zaczął się rozkładać. Światełka na jego zestawie pierwszej pomocy migotały bez przerwy. Był to jedyny znak świadczący o tym, że lalecznik żyje.
Louis przyglądał mu się właśnie, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl.
– Laleczniki... – powiedział z namysłem.
– Słucham? – kzin spojrzał na niego ze zdziwieniem.
– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie nazwano ich tak dlatego, że usiłowały manipulować wszystkimi, którzy się z nimi stykali. Ludzi i kzinów traktowali właśnie jak pozbawione własnej woli lalki.
– Ale szczęście Teeli zrobiło taką lalkę z Nessusa.
– Każdy z nas odgrywał kiedyś rolę boga. – Louis skinął głową w stronę Prill, która przysłuchiwała się rozmowie, wychwytując może co trzecie słowo. – Ona, ty i ja. Jak się czułeś, Mówiący? Byłeś dobrym bogiem, czy złym?
– Nie wiem. Byłem bogiem dla obcych. Trzy tygodnie temu nie dopuściłem do wybuchu wojny. Pamiętasz, udowodniłem obydwu stronom, że każda z nich musi przegrać.
– Tak. Tyle tylko, że to był mój pomysł...
– Oczywiście.
– Będziesz musiał odegrać tę rolę jeszcze raz. Na Kzinie.
– Nie rozumiem.
– Laleczniki hodowały ludzi i kzinów dla swoich celów. Doprowadziły do sytuacji, w której dobór naturalny będzie preferował kzinów łagodnych i pokojowo nastawionych, zgadza się?
– Tak.
– Co by się stało, gdyby dowiedział się o tym Patriarcha?
– Wojna – odparł krótko Mówiący-do-Zwierząt. – Natychmiast wyruszyłaby potężna flota, żeby po dwóch latach podróży uderzyć na planety laleczników. Być może przyłączyliby się do nas także ludzie. Laleczniki naraziły się zarówno nam, jak i wam.

czył. Zapytał mnie o coś, ale ja nie zrozumiałam. Próbował mnie pocieszyć. Byłam szczęśliwa, że jest, chociaż nie mógł mi w żaden sposób pomóc.
Louis skinął głową. Teela zaufałaby komukolwiek. Oczekiwałaby pomocy i opieki od każdego, na kogo by natrafiła. I nic by jej nie groziło.
Trzeba przyznać, że jej opiekun robił spore wrażenie.
Był bohaterem; wystarczył jeden rzut oka, żeby to stwierdzić. Nawet nie trzeba było widzieć, jak walczy ze smokami – dość było spojrzeć na niesamowite mięśnie, posturę, czarny, krótki miecz i ostre, silne rysy twarzy, podobe do drucianej rzeźby z sali bankietowej Nieba. Do tego kurtuazja, z jaką odnosił się do Prill, nie akcentując wcale faktu, że jego rozmówczyni jest kobietą. Czy dlatego, że była kobietą innego mężczyzny?
Był dokładnie ogolony. Nie, to wydawało się raczej niemożliwe. Już prędzej w jego żyłach płynęła krew Inżynierów. Miał długie, jasnopopielate włosy – nawiasem mówiąc, niezbyt czyste – i wyniosły, szlachetny zarys brwi. Cały jego strój stanowiła krótka spódniczka ze skóry jakiegoś zwierzęcia.
– Nakarmił mnie – mówiła dalej Teela. – Zaopiekował się mną. Wczoraj napadło na nas czterech mężczyzn, a on rozprawił się z nimi tym swoim mieczem! I nauczył się sporo interworldu.
– Naprawdę?
– Bardzo łatwo uczy się języków.
– To już cios poniżej pasa.
– Proszę?
– Nieważne. Mów dalej.
– Jest stary, Louis. Dawno temu wziął dużą dawkę czegoś w rodzaju naszego utrwalacza. Twierdzi, że zdobył ją od złego czarownika. Jest tak stary, że pamięta, jak jego dziadkowie opowiadali o Upadku Miast.
– Wiesz, czym się zajmuje? – uśmiechnęła się figlarnie. – Jest w trakcie wielkiej wędrówki. Dawno temu złożył przysięgę, że dotrze do podstawy Łuku. Właśnie to robi. Robi to od kilkuset lat.
– Do podstawy Łuku?
Teela skinęła głową. Uśmiechała się cały czas, najwyraźniej bawiąc się doskonale tym, co powiedziała. Ale w jej oczach było coś więcej.
Louis widział już kiedyś miłość w oczach Teeli Brown, ale nigdy nie widział czułości.
– Zdaje się, że jesteś z niego dumna! Ty mała idiotko, czy nie wiesz, że nie ma żadnego Łuku?
– Wiem, Louis.
– Więc dlaczego mu nie powiesz?
– Jeśli ty mu powiesz, znienawidzę cię na zawsze. Robi to przecież niemal całe życie! Inni także mają z tego pożytek: potrafi robić różne rzeczy i uczy tych, których spotka podczas swojej wędrówki.
– Co on może wiedzieć? Nie wygląda na zbyt inteligentnego.
– Bo nie jest. – Sądząc ze sposobu, w jaki to powiedziała, nie miało to dla niej większego znaczenia. – Ale gdybym szła wraz z nim, mogłabym nauczyć wielu ludzi wielu pożytecznych rzeczy.
– Wiedziałem, że coś takiego nastąpi – powiedział Louis Wu. Niemniej, to bolało.
Czy Teela zdawała sobie z tego sprawę? Unikała jego wzroku.
– Siedzieliśmy na tej uliczce cały dzień, aż uświadomiłam sobie, że przecież będziecie szukać mojego skutera, nie mnie. Opowiedział mi o Hal... Hal... o bogini i o latającej wieży, która wciągała wszystko, co się porusza. Poszliśmy tam.
Dotarliśmy do samego ołtarza i wypatrywaliśmy naszych skuterów, ale wieża zaczęła się nagle rozpadać. Potem Poszukiwacz...
– Poszukiwacz?
– Tak się nazywa. Kiedy ktoś spyta go, dlaczego, może opowiedzieć mu o swojej pielgrzymce do podstawy Łuku i o przygodach, jakie przeżył po drodze... Rozumiesz?
– Aha.
– Zaczął uruchamiać silniki w starych pojazdach. Powiedział, że kiedy wpadały w pole policyjne, kierowcy wyłączali silniki, żeby nie zostały zniszczone.

Louis, Mówiący i Nessus spojrzeli po sobie. Połowa rzekomych wraków mogła być jeszcze na chodzie!

– Znaleźliśmy jeden, który działał – ciągnęła Teela. – Ruszyliśmy w pogoń, ale pewnie minęliśmy was w nocy. Na szczęście przekroczyliśmy dozwoloną szybkość i zostaliśmy złapani.

– Rzeczywiście. W nocy wydawało mi się, że coś słyszę, ale nie byłem pewien.

Poszukiwacz zakończył rozmowę z Prill i oparł się swobodnie o ścianę sypialni, z lekkim uśmiechem przyglądając się Mówiącemu-do-Zwierząt. Kzin odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Louis odniósł wrażenie, że obydwaj zastanawiają się nad tym, jak by to było, gdyby przyszło im się ze sobą zmierzyć.

Prill spojrzała za okno. Kiedy się odwróciła, na jej twarzy malowało się przerażenie. Zadrżała, gdy wraz z mocniejszym podmuchem rozległo się zawodzenie wiatru.

Z pewnością widziała już nieraz tego typu zjawiska, powstające nad małymi kraterami po meteorytach. Ale te kratery były błyskawicznie zasklepiane, działo się zaś to zawsze gdzieś daleko, tak daleko, że dowiadywała się o tym z wiadomości i zdjęć w stereowizji, czy czymś w tym rodzaju. Niemniej, zawsze budziło to dreszcz strachu – rycząca, huraganowa ucieczka powietrza w otwierającą się po drugiej stronie bezdenną pustkę.

Wiatr znowu przybrał na sile.

– Mam nadzieję, że ten budynek jest wystarczająco wytrzymały – zmarszczyła brwi Teela.

Louis zaniemówił ze zdumienia; jakże się zmieniła! Chociaż przecież na własnej skórze doświadczyła niebezpieczeństw, jakie czyhały na Oku.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała. – Chcę być z Poszukiwaczem.

– Aha.

– On też chce być ze mną, ale ma zupełnie pokręcone poczucie godności. Próbowałam mu o tobie powiedzieć, a on zrobił się jakiś dziwny i przestał ze mną sypiać. Uważa, że jestem twoją własnością.

– Niewolnictwo?

– Tylko dla kobiet, jak mi się zdaje. Powiesz mu, że tak nie jest?

Louis poczuł nieznośny ucisk w gardle.

– Byłoby chyba prościej, gdybym cię mu sprzedał. Jeśli tego chcesz, oczywiście.

– Masz rację. Chcę, Louis. Chcę wędrować z nim po Pierścieniu. Kocham go.

– Oczywiście. Zostaliście przecież dla siebie stworzeni i musieliście się spotkać. Tych kilkaset miliardów innych par...

Spojrzała na niego nieufnie.

– Chyba nie starasz się być... sarkastyczny?

– Jeszcze miesiąc temu nie odróżniłabyś sarkazmu od tranzystora. Nie, najśmieszniejsze jest to, że wcale nie mówię tego z sarkazmem. Kilkaset miliardów innych par nie ma żadnego znaczenia, ponieważ nie były częścią cholernego eksperymentu laleczników.

Zapadła kompletna cisza. Wszyscy patrzyli prosto na niego. Nawet Poszukiwacz spojrzał w tę stronę, chcąc zobaczyć, co też takiego przykuło uwagę pozostałych.

Ale Louis widział tylko Teelę Brown.

– Roztrzaskaliśmy się na Pierścieniu – powiedział łagodnie – ponieważ tutejsze środowisko jest jakby specjalnie stworzone dla ciebie. Musiałaś nauczyć się rzeczy, których nie mogłabyś nauczyć się na Ziemi ani gdziekolwiek w poznanym Kosmosie. Z pewnością istniały też inne przyczyny, na przykład ten ich eliksir młodości czy gigantyczna przestrzeń, ale najważniejszym powodem, dla którego tutaj się znalazłaś była nauka.

– Nauka? Czego?

– Bólu. Strachu. Niepewności. Jesteś teraz zupełnie inną kobietą niż w chwili, kiedy się tu zjawiłaś. Przedtem byłaś ... abstrakcją. Czy kiedykolwiek przedtem zdarzyło ci się uderzyć mocniej w palec?

– Nie wiem... Chyba nie.

– A poparzyć stopy?

Spojrzała na niego. A więc jednak pamiętała.

Louis patrzył na nią z szeroko otwartymi ustami. Prill zaśmiała się melodyjnie, po czym dotknęła go tutaj... i tutaj...

*

Interkomy spisywały się znakomicie, pomimo tego, że ich słuchawki dostosowane były raczej do kształtu małżowin człowieka, a nie kzina. Louis wykształcił w sobie umiejętność błyskawicznego myślenia i udzielania odpowiedzi takich, jakich można było oczekiwać od potężnego boga wojny. Pomagała mu w tym świadomość, że nawet w razie jakiegoś błędu mogli przemieścić się szybciej od wiadomości o nim. Każde spotkanie było pierwsze.

Mijały miesiące.

Od jakiegoś czasu teren wznosił się w górę, zamieniając się powoli w pustkowie. Przed sobą widzieli już wyraźnie Pięść Boga – z każdym dniem była większa. Louis tak wpadł już w rutynę codziennego życia, że dopiero po dłuższym czasie uświadomił sobie, co to oznacza.

Pewnego dnia poszedł do Prill.

– Czy słyszałaś kiedyś o prądzie indukcyjnym? – zapytał, po czym wyjaśnił, o co mu chodzi. – Jeżeli oddziałuje się bezpośrednio na mózg prądem o niewielkim napięciu, można wywoływać w nim uczucia rozkoszy lub bólu. Tak właśnie działa tasp.

Mówił dalej, w sumie co najmniej dwadzieścia minut.

– Wiedziałam, że ma maszynę – przerwała mu Prill. – Po co ją teraz opisujesz?

– Opuszczamy cywilizację. Nie napotkamy już żadnych wiosek. Najbliższe źródło żywności znajduje się na naszym statku. Chciałem, żebyś wiedziała wszystko o taspie, zanim podejmiesz decyzję.

– Jaką decyzję?

– Czy chcesz wysiąść w najbliższej wsi? Czy chcesz lecieć z nami do „Kłamcy" i tam przejąć „Niemożliwego"?

– Na „Kłamcy" jest dla mnie miejsce – stwierdziła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Oczywiście, ale...

– Mam dosyć barbarzyńców. Chcę wrócić do prawdziwej cywilizacji.

– Możesz mieć kłopoty z przystosowaniem. Na przykład, prawie wszyscy mają włosy, takie jak ja. – Podczas podróży Louisowi wyrosła gęsta czupryna. – Będziesz musiała nosić perukę.

Prill skrzywiła się.

– Jakoś dam sobie radę. – Niespodziewanie roześmiała się. – Czy chciałbyś wracać sam, beze mnie? Ten duży, pomarańczowy nie zastąpi kobiety.

– To jedyny argument, który jestem gotów zawsze uznać.

– Pomogę wam, Louis. Wy tak mało wiecie o seksie.

Louis roztropnie zmienił natychmiast temat.

Rozdział XXIV

Pięść Boga

Okolica stawała się coraz bardziej sucha, a powietrze coraz rzadsze. Pięść Boga zdawała się uciekać przed nimi. Skończyły się zapasy owoców, a mięsa też nie zostało zbyt wiele. Znajdowali się nad wznoszącym się nieprzerwanie w górę, pustynnym stokiem, którego powierzchnia, według oceny Louisa, musiała być większa od powierzchni Ziemi.

Wiatr świszczał nieustannie w zakamarkach „Niemożliwego". Nad nimi, na nocnym niebie ostro i wyraźnie odcinał się swoim błękitem Łuk Nieba, gwiazdy świeciły twardym, niewzruszonym blaskiem.

Mówiący spojrzał w górę przez wielkie, panoramiczne okno.

Zaczęła odzyskiwać zainteresowanie innymi rzeczami: seksem, lekcjami języka, roztaczającym się za oknem widokiem. Natrafili na szkółkę słoneczników. Prill nigdy przedtem ich nie widziała. Nie zwracając uwagi na niezdarne próby młodych roślin, usiłujących spalić ich słabym blaskiem swoich nie w pełni rozwiniętych kwiatów, wykopali małą siewkę i zasadzili ją w dużej donicy na dachu „Niemożliwego", po czym ominęli szerokim łukiem obszar, na którym występowały pola dorosłych słoneczników.

Kiedy skończyła im się żywność, Prill zupełnie straciła zainteresowanie dla lalecznika. Louis uznał, że została wyleczona.

W najbliższej wiosce Prill i Mówiący spróbowali gambitu boga. Louis czekał z niepokojem, mając nadzieję, że kzin utrzyma nerwy na wodzy. Chciał ogolić sobie głowę i iść z nimi, ale jego wartość jako akolity była niewielka – ciągle zbyt słabo znał język.

Wrócili z darami. Mieli co jeść.

Dni łączyły się w tygodnie, a oni powtarzali to samo. Byli w tym naprawdę dobrzy. Futro kzina odzyskało dawną świetność, toteż znowu przypominał olbrzymią, pomarańczową panterę, prawdziwego boga wojny. Louis poradził mu tylko, żeby nie rozpościerał swoich wachlarzowatych uszu.

Odgrywanie roli boga wiązało się jednak z pewnymi obowiązkami. Pewnego wieczoru kzin przyszedł do Louisa z problemem.

– Nie mam kłopotów z byciem bogiem – powiedział. – Ale nie chcę nim być źle.

– Co przez to rozumiesz?

– Oni zadają pytania, Louis. Kobiety zadają pytania Prill i ona na nie odpowiada, a ja zazwyczaj nie rozumiem ani pytań, ani odpowiedzi. Mężczyźni też powinni pytać Prill, bo ona jest człowiekiem, ja zaś nie. Ale oni pytają właśnie mnie. Mnie! Dlaczego ode mnie, obcego, oczekują pomocy w rozwiązywaniu ich problemów?

– Jesteś bogiem – powiedział Louis. – Bóg wojny, nawet jeśli jest jak najbardziej realny, przede wszystkim jest symbolem. Symbolem męskości.

– Męskości? Śmieszne. Przecież nawet nie mam zewnętrznych narządów rodnych. Ty, jak przypuszczam, masz.

– Ale jesteś duży i budzisz strach. To automatycznie czyni z ciebie symbol męskości. Jest nierozerwalnie związane z twoją boskością.

– W takim razie potrzebujemy jakiegoś systemu łączności, żebyś mógł odpowiadać za mnie na te pytania.

Prill zadziwiła ich. „Niemożliwy" stanowił kiedyś siedzibę władz policyjnych. W jednym z magazynów Prill znalazła zestaw przenośnych interkomów, zasilanych bezprzewodowo z głównego źródła energii w budynku. Nie wszystkie co prawda były sprawne, ale po drobnych naprawach dwa działały bez zarzutu.

– Jesteś sprytniejsza, niż myślałem – powiedział jej w nocy Louis. Zawahał się, ale nie znał wystarczająco dobrze języka, żeby powiedzieć to w sposób bardziej taktowny. – Sprytniejsza, niż spodziewałem się po dziwce.

Prill roześmiała się.

– Głupie dziecko! Sam mi mówiłeś, że wasze statki latają bardzo szybko, prawie tak szybko, jak nasze.

– Dużo szybciej. Szybciej niż światło.

– Powinieneś poprawić tę opowieść – roześmiała się ponownie. – Według naszej teorii to niemożliwe.

– Może stosujemy się do różnych teorii.

To ją zastanowiło. Louis nauczył się odczytywać jej uczucia raczej z napięcia mięśni, niż z wyrazu jej najczęściej pustej twarzy.

– Podczas długich podróży, kiedy statek leci z planety na planetę, nuda może być bardzo groźna – powiedziała. – Rozrywki muszą być różne i łatwo dostępne. Dziwka musi znać medycynę ciała i duszy, musi umieć kochać i rozmawiać. Musi wiedzieć, jak działa statek, żeby nie powodować wypadków. Musi być zdrowa. Musi grać na jakimś instrumencie.

– „Kłamca" rozbił się po to, żebyś mogła stanąć na powierzchni Pierścienia. Potem przebyliśmy kilkaset tysięcy mil wyłącznie po to, żebyś mogła spotkać Poszukiwacza. Twój skuter zaniósł cię do niego, a pole elektromagnetyczne przechwyciło w jedynym, właściwym momencie, ponieważ jest to właśnie człowiek, którego miałaś pokochać.

Teela uśmiechnęła się. Louis nie.

– Musiałaś mieć czas, żeby go lepiej poznać, dlatego Mówiący i ja wisieliśmy ponad dwadzieścia godzin głowami na dół...

– Louis!

– ... nad dziewięćdziesięciostopową przepaścią. Ale nie to jest najgorsze.

– Zależy od punktu widzenia – mruknął kzin.

Louis nie zwrócił na niego uwagi.

– Pokochałaś mnie, ponieważ zyskałaś dzięki temu powód, dla którego przyłączyłaś się do wyprawy. Teraz już mnie nie kochasz, ponieważ tego nie potrzebujesz. Już jesteś tutaj. Ja kochałem cię dla tego samego powodu, ponieważ szczęście Teeli Brown uczyniło ze mnie bezwolną marionetkę...

Ale prawdziwą marionetką jesteś ty. Do końca życia będziesz tańczyła na sznureczkach swojego własnego szczęścia. Wątpię, czy kiedykolwiek odzyskasz wolność. A nawet gdyby tak się stało, to nie będziesz wiedziała, co z nią zrobić.

Teela, z pobladłą twarzą, stała bez ruchu wyprostowana niemal na baczność. Jeżeli nie płakała, to tylko dlatego, że z najwyższym trudem udało jej się opanować. Jeszcze niedawno z pewnością by tego nie potrafiła.

Co do Poszukiwacza, to klęczał pod ścianą, spoglądając to na jedno, to na drugie, wodząc palcem po ostrzu swego krótkiego miecza. Nie mógł nie zauważyć, że Teeli dzieje się krzywda. Ale ciągle myślał, że dziewczyna należy do Louisa Wu.

Louis zwrócił się do lalecznika. Nie zdziwił się zbytnio zobaczywszy, że Nessus schował pod siebie obie głowy i zwinął się w ciasną kulę, zawieszając tym samym na czas nieokreślony swoje funkcjonowanie we Wszechświecie.

Ujął go za kolano tylnej nogi i odkrył, że bez większego wysiłku może go przetoczyć na grzbiet. Lalecznik z pewnością nie ważył więcej, niż on sam.

I z pewnością bardzo się bał. Kolano dygotało w dłoni Louisa.

– A to wszystko stało się za sprawą twojego monstrualnego egotyzmu – powiedział. – Ten egotyzm przeraża mnie niemal tak samo, jak błędy, które popełniałeś. Nie jestem w stanie pojąć, jak można być jednocześnie tak potężnym, zdecydowanym na wszystko i tak głupim. Czy rozumiesz wreszcie, że wszystko, w s z y s t k o co nas spotkało jest po prostu efektem ubocznym działania szczęścia Teeli?

Ciepła, miękka kula zacisnęła się jeszcze bardziej. Poszukiwacz przyglądał się, zafascynowany.

– Możesz wrócić na planety laleczników i powiedzieć im, że hodowlane eksperymenty na ludziach mogą się źle skończyć. Kilka takich Teeli i nic by nie zostało z rachunku prawdopodobieństwa. Nawet podstawowe prawa fizyki to nic innego jak działający na poziomie atomowym rachunek prawdopodobieństwa. Powiedz im, że Wszechświat jest zbyt niebezpieczną zabawką dla tak ostrożnych i delikatnych stworzeń.

Powiesz im to, kiedy wrócimy do domu. A na razie rozwijaj się, ale to już! Potrzeba mi nici łączącej czarne prostokąty i ty musisz mi ją znaleźć. Jesteśmy już prawie za Okiem. No, na co czekasz?

Lalecznik wyprostował się i wstał na swoje trzy nogi.

– Wstyd mi, Louis... – zaczął.

– Śmiesz to t e r a z mówić?

Lalecznik zamilkł. Odwrócił się do okna i z zainteresowaniem zaczął przyglądać zostającemu już w tyle Oku.

Rozdział XXIII

Gambit boga

Tubylcy czczący Niebo mieli teraz nagle dwie latające wieże.

Tak jak poprzednio, plac z ołtarzem zaroił się ludźmi. Usiłował odszukać w tłumie łysego kapłana, ale nigdzie nie mógł go dostrzec.

Nessus spoglądał tęsknie na unoszący się obok nich zamek. Sterownia „Niemożliwego" znajdowała się na tym samym poziomie, co komnata map.

– Za pierwszym razem nie miałem okazji zbadać tego miejsca – powiedział. – Teraz nie mogę się tam dostać.

– Możemy zrobić otwór przy użyciu dezintegratora i opuścić cię na linie – zaproponował Mówiący-do-Zwierząt.

– Mimo wszystko, nie skorzystam.

– Robiłeś już dużo bardziej niebezpieczne rzeczy.

– Tak, dążąc do wiedzy. Teraz wiem już tyle, ile mi trzeba. Jeżeli podejmę jakieś ryzyko, to tylko po to, żeby powrócić z tą wiedzą do tych, którzy mnię wysłali. Louis, masz swoją nić.

Louis w milczeniu skinął głową.

Nad częścią miasta unosił się jakby gęsty, rozciągnięty w długą smugę dym. To właśnie musiała być nić. Nagromadziła się jej niesamowita ilość.

– Ale jak mamy to zabrać?

– Nie mam pojęcia – przyznał Louis. – Musimy się dokładniej przyjrzeć.

Posadzili „Niemożliwego" niedaleko od głównego placu.

Nessus nie wyłączał silników. Gdyby budynek osiadł całym swym ciężarem, zmiażdżyłby platformę obserwacyjną, która teraz służyła jako rampa.

– Musimy coś wymyśleć – stwierdził Louis. – Może jakieś rękawice? Albo szpula z materiału konstrukcyjnego Pierścienia?

– Nic takiego nie mamy – odparł Mówiący-do-Zwierząt. – Będziemy musieli dogadać się z tubylcami. Mogą mieć jakieś stare legendy, narzędzia, czy relikwie. Poza tym, mieli trzy dni na oswojenie się z tym zjawiskiem.

– W takim razie, będę musiał zejść z wami – stwierdził z wyraźną niechęcią lalecznik. – Mówiący, zbyt słabo władasz ich językiem. Musimy zostawić Prill, żeby mogła w razie potrzeby szybko wystartować. Chyba że... Louis, czy miejscowy kochanek Teeli mógłby prowadzić pertraktacje w naszym imieniu?

Louisa zabolało trochę, że lalecznik w ten sposób mówi o Poszukiwaczu.

– Nawet Teela nie uważa go za geniusza – odparł cierpko. – Chyba nie ufałbym mu aż tak bardzo.

– Ani ja. Louis, czy naprawdę potrzebujemy tej nici?

– Nie wiem. Jeżeli nie zwariowałem, to tak. Jeśli nie...

– W porządku, Louis. Pójdę.

– Wcale nie musisz wierzyć mi na...

– Pójdę. – Przez aksamitną skórę lalecznika przebiegł nagły dreszcz. Najdziwniejsze w jego głosie było to, że potrafił być tak wyraźny, czysty, a jednocześnie nie odzwierciedlał żadnych uczuć. – Wiem, że będzie nam potrzebna. Przecież przypadek sprawił, że spadła na naszej drodze, a wszystkie przypadki mają jakiś związek z Teelą Brown. Gdybyśmy jej nie potrzebowali, nie spadłaby tutaj.

Louis odprężył się. Nie dlatego, żeby wypowiedź lalecznika miała jakiś sens, bo nie miała żadnego. Po prostu słowa Nessusa potwierdziły słuszność wniosków, do których doszedł Louis. I dlatego właśnie przyjął je za dobrą monetę, nie uświadamiając lalecznika, że wygaduje wierutne bzdury.

Schodzili w dół po prowadzących na platformę schodach – Louis ze swoim laserem, Mówiący-do-Zwierząt z dezintegratorem Slavera. Mięśnie kzina poruszały się ze sprężystą, płynną gracją, odznacza-

Louis nawet nie próbował jej tego wyperswadować. Wolał usunąć się jej z drogi tak samo jak usunąłby się z drogi szarżującemu bandersnatchowi.

– Jeżeli będziecie mieli jakieś kłopoty z uruchomieniem silników, po prostu naciśnij pierwszy guzik, jaki nasunie ci się pod rękę – poradził jej.

– Zapamiętam – uśmiechnęła się. – Zaopiekujcie się Nessusem – dodała poważniej.

Kiedy w dwadzieścia minut później Poszukiwacz wraz z Teelą opuszczali pokład „Niemożliwego", obyło się bez pożegnań. Louis nawet i miałby sporo do powiedzenia, ale nie odezwał się ani słowem. Czy miał jej uświadamiać, jaką dysponuje mocą? Będzie musiała sama się uczyć metodą prób i błędów, podczas gdy jej szczęście zatroszczy się o to, żeby nie spotkało jej nic złego.

*

W ciągu kilku następnych godzin ciało lalecznika stygło coraz bardziej, aż wreszcie stało się zimne jak zwłoki. Światełka na jego zestawie pierwszej pomocy mrugały tajemniczo. Najprawdopodobniej wszystkie zachodzące w jego ciele procesy zostały spowolnione do minimum.

„Niemożliwy" ruszył w drogę, ciągnąc za sobą to napinającą się, to znów zwisającą bezwładnie nić. Dziesiątki, a potem i setki budynków runęły w gruzy, przecięte niczym olbrzymim nożem. Przytwierdzony do ściany uchwyt nawet nie drgnął.

Miasto nie mogło zniknąć za horyzontem, bo go po prostu nie było. Widzieli je jeszcze przez kilka dni, coraz mniejsze, aż wreszcie jego kontury zatarła sama odległość.

Prill siedziała u boku Nessusa. Nie mogła mu pomóc, ale nie chciała od niego odejść. Najwyraźniej bardzo cierpiała.

– Musimy coś dla niej zrobić – powiedział Louis. – Została uwarunkowana taspem, a teraz, kiedy go nie ma, zabije albo siebie, albo Nessusa, albo mnie!

– Chyba nie oczekujesz w tej sprawie rady ode m n i e?

– Nie. Chyba nie.

Chcąc pomóc cierpiącemu człowiekowi odgrywa się rolę cierpliwego, wyrozumiałego słuchacza. Louis spróbował tej metody, ale po pierwsze zbyt słabo znał język, a po drugie Prill nie chciała mówić. Kiedy był sam, zagryzał bezsilnie zęby; kiedy był z Prill, próbował po raz kolejny.

Miał ją ciągle przed oczami i koło siebie. Gdyby mógł się jakoś od niej oddzielić, odseparować, jego sumienie może by się uspokoiło. Ona jednak ani na moment nie opuszczała sterowni.

Stopniowo uczył się języka i stopniowo Prill zaczynała mówić. Próbował opowiedzieć jej o Teeli, o Nessusie, o gambicie boga...

– Naprawdę myślałam, że jestem bogiem – powiedziała. – Naprawdę. Dlaczego? Przecież nie ja zbudowałam Pierścień. On jest dużo starszy ode mnie.

Ona także się uczyła. Używała prostych zdań i jeszcze prostszych słów. Dwa czasy, prawie żadnych określników, przesadnie staranna wymowa.

– Tak ci powiedziano.

– Ale ja czułam. Wiedziałam.

– Każdy chce być bogiem. – Każdy chciałby mieć władzę, nie będąc za nic odpowiedzialnym.

– Potem on się zjawił. Dwugłowy. Miał maszynę?

– Miał tasp.

– Tasp – powtórzyła starannie. – Wiedziałam. Tasp zrobił go bogiem. Stracił tasp, nie jest bogiem. Czy Dwugłowy nie żyje?

Trudno było powiedzieć.

– Dla niego głupio być martwym – odparł Louis.

– Głupio dać sobie uciąć głowę. – Żart. Spróbowała zażartować.

Właśnie dlatego znalazła się tutaj. Na Pierścieniu może doświadczyć wszystkich przeżyć, które pozwolą jej stać się człowiekiem. Wątpię, czy jest więcej takich, jak ona. Musieliby też znaleźć się na pokładzie „Kłamcy".

Chociaż... Może być i tak, że są ich tysiące. Zaczną się dziać dziwne rzeczy, kiedy przekonają się, jak bardzo są potężni. Będziemy musieli możliwie szybko usunąć im się z drogi.

– Co zrobimy z głową pożeracza liści? – spytał kzin.

– Nie potrafiła nikomu współczuć – kontynuował Louis. – Musiała więc zobaczyć, jak jej przyjaciela spotyka nieszczęście. Nieważne, że mogło to kosztować życie Nessusa.

Wiesz, czym zahamowałem upływ krwi? Jej apaszką. Dała mi ją, domyślając się, co zamierzam zrobić. Po raz pierwszy zachowała się w obliczu niebezpieczeństwa tak, jak powinna.

– Po co to robiła? Przecież j e j i tak nic by się nie stało.

– Nie wiedziała do tej pory, że stać ją na coś takiego. Nie była nigdy zmuszona do działania.

– Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

– Uświadamianie sobie własnych ograniczeń stanowi część procesu dorastania. Teela nie mogła stać się dorosłą, dopóki nie stanęła twarzą w twarz z autentycznym, fizycznym niebezpieczeństwem.

– To musi być coś właściwego wyłącznie ludziom – stwierdził Mówiący. Louis słusznie uznał, że stwierdzenie to stanowi przyznanie się do absolutnej bezradności i niemożności zrozumienia.

– Zastanawiam się, czy dobrze zrobiliśmy, zatrzymując „Niemożliwego" wyżej od zamku, który tubylcy nazywają „Niebem" – dodał kzin. – Być może zaatakowali nas dlatego, że uznali to za świętokradztwo. Chociaż to i tak nie ma znaczenia, skoro wszystko dzieje się tak, jak tego chce szczęście Teeli Brown...

Louis ciągle nie mógł dostrzec, co Mówiący tak ostrożnie trzyma w swoich dłoniach.

– Wróciłeś po głowę? Jeśli tak, to traciłeś tylko czas. Nie damy rady odpowiednio jej przechować.

– Nie, Louis. – I Mówiący pokazał, co trzyma w dłoni. – Nie dotykaj tego. Mógłbyś stracić palce.

Był to jakby podłużny uchwyt, rozszerzający się na jednym końcu, a zwężający na drugim. Węższy koniec przechodził w cienką, czarną nić.

– Widziałem, że tubylcy potrafią jakoś nią manipulować, skoro urządzili zasadzkę, więc wróciłem, żeby zobaczyć, jak to robią.

Po prostu znaleźli jeden koniec. To widocznie zaczep, łączący nić z czarnym prostokątem. Mieliśmy szczęście, że udało nam się go znaleźć.

– Jasne! Teraz możemy ją za sobą ciągnąć. Nie powinna się o nic zaczepić, bo wszystko przecina!

– Dokąd lecimy, Louis?

– Z powrotem. Do „Kłamcy".

– Oczywiście. Musimy ratować Nessusa. A potem?

– Zobaczymy.

*

Pozostawił Mówiącego na platformie, a sam poszedł na górę, żeby sprawdzić, czy zostało jeszcze choć trochę supertwardego plastyku. Zostało. Za jego pomocą przytwierdzili koniec nici do ściany. Plastyk stwardniał i kzin mógł spokojnie opuścić swój posterunek na świeżym powietrzu.

*

Teelę, Poszukiwacza i Prill znaleźli w maszynowni.

– Udajemy się w innym kierunku – powiedziała od razu Teela. – Ta kobieta mówi, że może zbliżyć się do latającego zamku. Powinniśmy dać radę przejść tam przez jakieś wybite okno.

– I co dalej? Zginiecie, jeżeli nie uda wam się ruszyć go z miejsca.

– Poszukiwacz twierdzi, że zna trochę czarów. Jestem pewna, że da sobie radę.

jąc się wyraźnie pod półcalowej grubości futrem. Nessus nie miał ze sobą żadnej broni. Najbardziej ufał taspowi i swojemu instynktowi ucieczki.

Poszukiwacz trzymał w gotowości krótki, ostry miecz. Cały jego strój stanowiła zawiązana dokoła bioder żółta skóra jakiegoś zwierzęcia. Mięśnie grały mu pod skórą tak samo, jak kzinowi.

Teela szła z pustymi rękami.

Tych dwoje czekałoby zapewne na pokładzie „Niemożliwego", gdyby nie transakcja handlowa, która miała miejsce rano. Wszystko przez Nessusa. Louis, korzystając z jego usług jako tłumacza, zaproponował Poszukiwaczowi kupno Teeli Brown.

Poszukiwacz skinął poważnie głową i zaoferował kapsułkę eliksiru młodości, stanowiącą równowartość około pięćdziesięciu lat życia.

– W porządku – zgodził się Louis. Uważał, że była to uczciwa propozycja, chociaż nia miał nawet zamiaru brać tego specyfiku do ust. Działanie, jakie mógł wywrzeć na kimś, kto od stu siedemdziesięciu lat zażywał ziemski utrwalacz mogło znacznie różnić się od tego, jakie przewidywali jego twórcy.

– Nie chciałem go obrazić ani dopuścić, żeby pomyślał, że sprzedajesz Teelę za bezcen – wyjaśnił później lalecznik. – Zażądałem więcej. Teraz on ma Teelę, a ty kapsułkę, której zawartość będziesz mógł po powrocie na Ziemię poddać szczegółowej analizie. Oprócz tego do czasu, kiedy wejdziemy w posiadanie wystarczającej ilości nici z czarnych prostokątów, Poszukiwacz będzie pełnił rolę naszej ochrony.

– Czym ma nas niby chronić? Tym scyzorykiem?

– Chodziło mi tylko o to, żeby go dobrze do nas nastawić.

Teela, rzecz jasna, uparła się, żeby mu towarzyszyć. Był przecież jej mężczyzną i narażał się na niebezpieczeństwo. Teraz Louis zastanawiał się, czy przypadkiem Nessusowi nie chodziło właśnie o to. W końcu Teela była starannie wyhodowanym przez laleczniki, ..hodzącym szczęściem...

Tak blisko Oka niebo musiało być zasnute chmurami. W szarym świetle wiszącego w zenicie słońca ruszyli w stronę wznoszącej się ku górze smugi dymu.

– Nie dotykajcie jej – powiedział ostrzegawczo Louis, przypomniawszy sobie, co mówił mu kapłan o dziewczynce, która chciała ją podnieść.

Nawet z bliska zwały czarnej nici ciągle wyglądały jak półprzezroczysty dym. Widać było przez nie zrujnowane miasto; gdzieniegdzie wznosiły się trochę lepiej zachowane, duże budynki o elewacjach wykonanych z materiału przypominającego nieco szkło. Na Ziemi lub na którejkolwiek z innych, zamieszkanych przez ludzi planet, mogły się w nich mieścić na przykład domy towarowe.

Sama nić była tak cienka, że można ją było dostrzec dopiero z odległości mniej więcej cala. Louisowi przyszło na myśl skojarzenie z molekularnym włóknem Sinclaira.

– Spróbuj przeciąć ją dezintegratorem – polecił Mówiący-do-Zwierząt.

W chmurze czarnego dymu pojawił się błyszczący oślepiająco punkt światła.

Być może zostało to uznane za bluźnierstwo. *Walczycie światłem?* Bardziej prawdopodobne było jednak, że tubylcy już dużo wcześniej postanowili rozprawić się z obcymi. Kiedy błysnęło światło, z wielu stron odezwały się wściekłe okrzyki i z otaczających ich budynków zaczęły wysypywać się odziane w łachmany sylwetki, uzbrojone w... W co? W miecze i pałki?

Biedacy, pomyślał Louis, ustawiając promień lasera na dużą moc i małą średnicę.

Świetlne miecze i przenośne lasery były używane niemal na wszystkich zamieszkanych planetach. Co prawda Louis przeszedł przeszkolenie bojowe ponad sto lat temu, zaś wojna, do której go przygotowywano, w końcu nie wybuchła, ale zasady były zbyt proste, żeby je zapomnieć.

Im dłuższe działanie promienia, tym głębsze cięcie.

Louis przesuwał lufę w lewo i w prawo szybkimi, płynnymi ruchami. Napastnicy cofali się, chwytając dłońmi za krwawiące brzuchy, ale ich zarośnięte twarze nie zdradzały nawet śladu bólu. *W razie ataku przeważających sił nieprzyjaciela należy wykonać szybkie, płynne poruszenia, tnąc płytko, żeby powstrzymać impet atakujących.*

Louis czuł żal i niesmak. Nieszczęśni fanatycy byli uzbrojeni tylko w miecze i pałki. Nie mieli żadnych szans...

Jeden z nich dosięgnął jednak swoim mieczem uzbrojonej w dezintegrator ręki kzina. Mówiący wypuścił broń. Porwał ją od razu inny napastnik, ale w tej samej chwili już nie żył, bowiem zdrowa ręka Mówiącego dosłownie wyszarpnęła mu kręgosłup z grzbietu. Trzeci mężczyzna chwycił dezintegrator i rzucił się do ucieczki. Nie próbował nawet go użyć, po prostu uciekał. Louis nie mógł dosięgnąć go promieniem swego lasera, bowiem właśnie zaczęło do niego docierać, że walczy o swoje życie.

Zawsze celuj w tułów.

Jak dotąd, nikogo jeszcze nie zabił. Teraz, korzystając z chwilowej przerwy w ataku, rozprawił się z dwoma najbliższymi przeciwnikami. *Nie dopuść do zbyt bliskiego kontaktu z nieprzyjacielem.*

Mówiący-do-Zwierząt mordował gołymi rękami, zdrową drąc i rozszarpując, zranioną posługując się jak pałką. Potrafił jakoś uniknąć pchnięcia mieczem, sięgając po wymachującego nim człowieka. Był otoczony ze wszystkich stron, ale tubylcy nie mogli się zdecydować na zmasowany atak; w ich oczach kzin był pomarańczową, olbrzymią śmiercią z wyszczerzonymi zębami.

Poszukiwacz, z ociekającym krwią mieczem, stał oparty plecami o mur. Przed nim leżały trzy nieruchome ciała. Przyczajona u jego boku Teela wyglądała jak typowa bohaterka fantastycznych komiksów.

Nessus, z jedną głową nisko pochyloną, a drugą wysuniętą maksymalnie w górę, pędził w kierunku „Niemożliwego". Dolna głowa rozglądała się czujnie na boki, górna zaś służyła do panoramicznego ujęcia sytuacji.

Louis jak dotąd nie został nawet draśnięty. Oczyszczał teren wokół siebie, w miarę możliwości pomagając także swoim kompanom. Laser poruszał się płynnie w jego dłoni, siejąc wokół zieloną śmiercią.

Nigdy nie celuj w zwierciadło. Odblaskowa zbroja może sprawić posługującemu się laserem żołnierzowi bardzo przykrą niespodziankę. Tutaj jednak najwyraźniej zapomniano już o tym sposobie.

Tuż przed Louisem wyłonił się jak spod ziemi jakiś okryty zielonym kocem człowiek z potężnych rozmiarów młotem w dłoni. Wymachując swą groźnie wyglądającą bronią ruszył prosto na niego. Louis ciął go przez brzuch. Mężczyzna ciągle szedł dalej.

Ubranie tej samej barwy, co promień twego lasera jest równie niebezpieczne, jak odblaskowa zbroja. Na finagla, dobrze, że tylko ten jeden! Louis skierował promień na odsłonięty, owłosiony kark.

Jakiś tubylec stanął na drodze Nessusa. Musiał mieć nie lada odwagę, skoro zdecydował się zaatakować tak niesamowitego potwora. Louis nie mógł dobrze wycelować, ale napastnik i tak zginął od kopnięcia tylnej nogi lalecznika. Nessus popędził dalej i wtedy...

Louis dokładnie widział, jak to się stało. Lalecznik właśnie skręcił w wąski przesmyk, kiedy jego uniesiona w górę głowa oddzieliła się nagle od tułowia i potoczyła po ziemi. Nessus zatrzymał się i przez chwilę stał bez najmniejszego poruszenia.

Z przeciętego z chirurgiczną precyzją karku pulsującym strumieniem płynęła czerwona, niczym nie różniąca się od ludzkiej krew.

Druga głowa Nessusa wydała przeraźliwy, żałosny jęk.

Tubylcy wpędzili go w pułapkę z nici z czarnych prostokątów.

Louis miał już dwieście lat. Kilka razy oglądał już śmierć swoich przyjaciół. Walczył dalej, kierując instynktownie promień lasera tam gdzie padło jego spojrzenie. „Biedny Nessus. Ale zaraz może być moja kolej..."

Tubylcy ustąpili pola. Straty, jakie ponieśli, musiały być przerażające.

Teela szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w umierającego lalecznika. Bezwiednie uniosła do ust zaciśnięte kurczowo pięści. Mówiący i Poszukiwacz wycofali się w kierunku „Niemożliwego".

Chwileczkę! Przecież on ma jeszcze jedną!

Louis podbiegł do lalecznika. Mijając Mówiącego-do-Zwierząt rzucił mu swój laser. Teela wyciągnęła coś w jego stronę: apaszka. Wyrwał ją z jej ręki. Schylił się, żeby uniknąć rozciągniętej między dwiema ścianami nici i uderzył mocno w bok Nessusa, przewracając go na ziemię. Wydawało się, że jeszcze chwila, a jednogłowy lalecznik rzuci się do ucieczki.

Louis sięgnął do paska.

Nie miał go!

A przecież m u s i go mieć!

Apaszka Teeli. W kieszeni.

Louis wyciągnął ją i zawiązał ciasno wokół krwawiącego kikuta. Nessus wpatrywał się z przerażeniem w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się jego druga głowa, po czym pojedyncze oko zamknęło się i lalecznik zemdlał.

Louis zacisnął jeszcze bardziej węzeł, wstrzymując upływ krwi, po czym wziął lalecznika na plecy i pobiegł ciężko w ślad za Poszukiwaczem, który był gotów w razie ponownego ataku utorować mu drogę. Tubylcy przyglądali im się, ale żaden nie wykonał najmniejszego ruchu.

Teela ocknęła się i ruszyła za Louisem. Ostatni zjawił się Mówiący-do-Zwierząt. Zatrzymał się przy rampie, poczekał aż Teela zniknie we wnętrzu „Niemożliwego", po czym zawrócił i pognał w kierunku, z którego przyszli.

Po co?

Louis nie miał czasu na zastanawianie, wspinając się po schodach. Kiedy dotarł do sterowni, miał wrażenie, że lalecznik waży co najmniej pięć razy więcej niż na początku. Położył go przy zatopionym w plastiku skuterze, sięgnął do wnętrza maszyny, wydobył zestaw pierwszej pomocy i przyłożył go do zakończonego krwawym kikutem karku. Zestaw ten, w przeciwieństwie do tego, który miał Louis, był połączony wiązką przewodów z tablicą kontrolną skutera. Po kilkunastu sekundach z podajnika żywności wystrzelił długi, giętki przewód i zagłębił się w skórę na szyi lalecznika. Wyglądało to dosyć niesamowicie. Louis wstrząsnął się... Odżywianie dożylne. Najwidoczniej lalecznik jeszcze żył.

*

„Niemożliwy" był już w powietrzu. Byli tak zaaferowani, że nie zauważyli nawet chwili startu. Mówiący siedział na służącej jako rampa platformie, trzymając coś ostrożnie w dłoniach.

– Czy lalecznik umarł? – zapytał.

– Nie. Ale stracił masę krwi. – Louis usiadł ciężko obok kzina. Był wykończony i przygnębiony. – Czy laleczniki mogą doznać szoku?

– Skąd mam wiedzieć? Sam mechanizm szoku nie jest jeszcze dokładnie zbadany. Potrzebowaliśmy kilku stuleci badań, żeby dojść wreszcie dlaczego torturowani ludzie tak szybko umierają. – Kzin najwyraźniej myślał o czymś innym. – Czy to też sprawka szczęścia Teeli Brown? – zapytał wreszcie.

– Tak mi się wydaje.

– Ale dlaczego? W jaki sposób może skorzystać na tym, co spotkało pożeracza liści?

– Musiałbyś spojrzeć na to moimi oczami – powiedział Louis. – Kiedy ją poznałem, była taka... jednostronna. Jak w tej historii...

Występowali w niej dziewczyna i bohater. Bohater był kompletnym cynikiem i wyruszył na jej poszukiwanie tylko dlatego, że otaczał ją Mit.

Kiedy ją znalazł, wcale nie był przekonany, że Mit jest prawdą. Do chwili, kiedy odwróciła się do niego plecami. Wtedy zobaczył, że z tyłu jest zupełnie pusta. Była tylko maską, niezwykle wierną maską przedstawiającą całą postać, a nie tylko twarz. Nie można jej było w żaden sposób skrzywdzić ani dotknąć. O to właśnie chodziło bohaterowi. Wszystkie kobiety, z jakimi miał do tej pory do czynienia prędzej czy później czuły się skrzywdzone, a on myślał, że to jego wina. Miał już tego dosyć.

– Nic z tego nie rozumiem, Louis.

– Kiedy Teela się tutaj zjawiła, była tylko maską. Nie wiedziała, co to ból. Jej osobowość nie była osobowością człowieka.

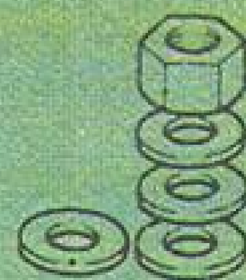
– Czy to źle?

– Źle, bowiem miała być człowiekiem, zanim Nessus uczynił z niej coś innego. Nieżas! Rozumiesz, co on zrobił? Chciał stworzyć boga na swój obraz i podobieństwo, a otrzymał Teelę Brown.

Ona jest tym, czym chciałby być każdy lalecznik. Nie może jej być źle. Nie może jej być niewygodnie, chyba, że sama tego zechce.

Romans kosmiczny

ciąg dalszy ze strony 26

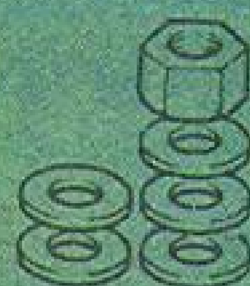


..bawił się subrzeźbami..

...lub zatrzymywał się drogich sobie miejscach i tam, w spokojnym powietrzu dźwięczał jego śpiew...

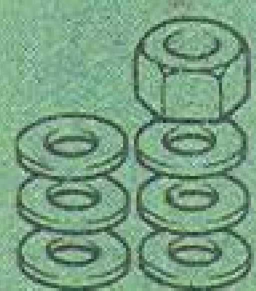
Spotkania ich stawały się coraz rzadsze... Guarda-la-luna coraz bardziej pogrążała się w swojej pracy...

Romans kosmiczny



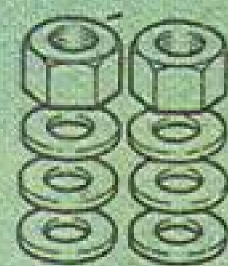
Aż wreszcie zamknęła się w swoim laboratorium i skupiła wyłącznie na swoim dziele...

Semley oczekiwał długo. Jego żal i smutek ogarniał małą planetę, lecz Guarda-la-luna zapomniała o nim, zbyt zajęta, by dostrzec jego obecność...



Niewielka planeta stała się dla Semleya rzeczywiście zbyt mała i sucha…

Romans kosmiczny



W ten oto sposób można dopisać nowy szczegół długiej teorii wędrujących rzeźb kosmicznych…

KONIEC

OPUS
NA TRZY POCISKI

ciąg dalszy ze strony 22

– Mam ci coś do powiedzenia, cudzoziemcze – powoli cedziła słowa – czy jesteś już w stanie mnie wysłuchać?

– Tak, ależ... naturalnie – czułem ogromną ulgę, skurcz lęku puszczał stopniowo, oddychałem prawie swobodnie.

– Mój czas jest bardzo ograniczony, poprzestanę więc na minimum informacji. Chyba zdajesz sobie sprawę z faktu, że u nas każdy musi zasłużyć na życie?

– Zasłużyć? – właśnie w tej chwili przestałem rozumieć.

– Tak. Zasłużyć. Inaczej nie ma racji bytu.

– Aha, wiem. Masz na myśli społeczny wysiłek, pracę dla struktur nadrzędnych.

– Przebywasz w Fantasmagorii. Musisz zasłużyć sobie na ten pobyt.

– Ja?

– A czy potrafisz podać chociaż jeden powód, dla którego mielibyśmy tolerować twoją obecność – za nic?!

– Wystarczy, że wy nie potraficie go podać – z niepokojem spojrzałem na zamaskowaną farbami twarz, na próżno usiłując odgadnąć intencje tej kobiety.

– Dobrze, że to rozumiesz. Wiesz już także zapewne, że źródłem wszystkich naszych sukcesów jest Wszechharmonia Dźwięku.

– Ładna nazwa – uśmiechnąłem się, łowiąc dalekie akordy nieustającego monotonnego marsza.

– Więcej szacunku!! – krzyknęła przeraźliwie, że aż zakłuło w uszach. – Mówisz o najwspanialszym odkryciu człowieka, ty... nędzny przybłędo.

– Dobrze – schyliłem głowę również po to, aby ukryć uśmiech. – Nie musisz mnie jednak obrażać.

– Ale mogę – odparła, władczo potrząsnąwszy wysoko upiętymi włosami. – Każdy tutaj może cię zabić i nie poniesie za to żadnej kary.

– Nie radzę próbować – starałem się mówić spokojnie, nie zdradzając lęku.

– Jesteś jak robak, wijący się pod butem – prychnęła z pogardliwym grymasem umalowanych karminowo ust. – Nie usiłuj wychodzić poza swoją rolę, bo zginiesz.

Z fałdów krótkiego płaszcza wyjęła pistolet i przez chwilę ważyła go w dłoni, po czym położyła na marmurowej płycie sarkofagu i pchnęła w moją stronę.

– To będzie twoje narzędzie pracy.

– O co ci chodzi? – nie rozumiałem.

– Widzisz, Sol – mówiła teraz nieprzyjemnie przymilnym głosem – nie wszyscy mieszkańcy Fantasmagorii myślą i rozumują poprawnie, istnieją jednostki cierpiące na zaburzenia...

– To leczcie je – wpadłem jej w słowo.

– Nie przerywaj – poprosiła takim tonem, że przeszły mnie ciarki. – To są uporczywe dolegliwości, nie ustępujące łatwo. A jednak taki dysonans może zafałszować czyste współbrzmienie głosów dużej części społeczności, to jak łyżka dziegciu w beczce miodu. Lub zgrzyt pękniętej struny w symfonii na orkiestrę. Tych ludzi – mówiła przechadzając się wzdłuż spękanej ściany grobowca – należałoby izolować, skazać lub usunąć. Lecz nie możemy tego uczynić.

– Dlaczego? – nie wytrzymałem przedłużającej się ciszy.

– Ponieważ obowiązuje u nas Kodeks Sprawiedliwości. Każdy obywatel jest wolnym człowiekiem i postępuje zgodnie ze swoim sumieniem.

– Wiem coś o tym – wyrwało mi się.

– Publiczne obrażanie uczuć ogółu jest karalne – zatrzymała się i przygwoździła mnie wzrokiem. – Dobro większości jest wartością nadrzędną, zapamiętaj to sobie. Nie wolno nigdy i o nic oskarżać defensora, wykonującego swoje obowiązki.

– Masz rację – ustąpiłem. – A więc czym zawinili ci ludzie?

– Oni – Wisan głęboko nabrała powietrza i dodała cicho, jakby obawiała się, że jej głos dotrze na zewnątrz – oni nie lubią muzyki.

Znów pochyliłem głowę, aby nie zdradzić wyrazu twarzy. Sytuacja stawała się groteskowa.

– W jaki sposób mam im pomóc? Gwałtem uczynić ich muzykalnymi?

Wisan obeszła sarkofag i stanęła tuż przede mną, wpijając się wściekłym wzrokiem w moją twarz.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz kpić, rozwalę ci twój głupi łeb – wysyczała.

– Chcę tylko znać instrukcje – powiedziałem pojednawczo, wycofując się w kierunku schodów.

– Słuchaj uważnie: nikomu nie masz pomagać. Ani im, ani nam. Masz po prostu zasłużyć na życie. Masz ich zabić.

– Co mam zrobić?!

– Powiedziałam: masz ich zabić. Gdy zgładzisz trzech z nich, zasłużysz na swoje istnienie. Zostaniesz pełnoprawnym obywatelem, mającym normalne obowiązki.

– A jeśli się nie zgodzę? – powoli cofałem się wzdłuż muru ku schodom.

– Sam zginiesz – ledwie dostrzegalnie uśmiechnęła się pod grubą warstwą szminki.

Skoczyłem na wysokie stopnie, biegłem jak szalony, nie chcąc ryzykować lotu w ciasnym pomieszczeniu o niskim stropie. Obejrzałem się tylko raz – Wisan stała nieporuszona, nienaturalnie wydłużony, smukły posąg strzegący grobowca. Nawet nie usiłowała mnie ścigać.

Chociaż wyjście bielało nieregularnym prostokątem tuż ponad moją głową, nie byłem w stanie dotrzeć tam tak szybko, jakbym chciał. Wysokie stopnie utrudniały bieg, potykałem się, padałem na dłonie i kolana, tłukąc je boleśnie. Otwór wyjściowy przysłonił szary welon, zrobiło się mroczno. Głowa i ramiona ciążyły, musiałem oprzeć się o kamienne bloki. Już nie wokół, ale wewnątrz, w środku mózgu rozbrzmiewał powolny rytm bębnów na zawodzącym organowym tle, które rozlewało się szeroko jak morze, ogarniało mnie zewsząd, zatapiało ciemną tonią ostatnie wyspy świadomości. Przez to dalekie, basowe granie przebijał zrazu cichy, lecz wzmagający się głos, coraz śmielej przekrzykujący pomruk ciężkich fal, natarczywym dyszkantem wołający tuż nad uchem, wyciągający mnie z bezdennej wodnej otchłani.

– Podnieś głowę! Spójrz w górę!

Nareszcie poczułem, że mam ciało, bezwładnie rozłożone na stromiźnie kamiennych schodów. Przez chwilę było mi dobrze jak w bezpiecznym łóżku na moment przed zaśnięciem; marmurowe bloki przytulały, dawały solidne oparcie. Potem podniosłem głowę.

Wełniasty mrok wylatywał z wnętrza katakumby tak szybko, jakby w zadymionym pomieszczeniu zerwał się wiatr. Moje ciało przeszywały tysięczne igły chłodu.

Wisan stała w tym samym miejscu, wciąż podobna do białego smukłego posągu. Mówiła coś, patrząc na mnie, jej chropawy głos odbijał się bełkotliwym echem od ścian, lecz wciąż nie rozumiałem słów. Wytężałem uwagę, skupiałem się aż do bólu.

– ... jesteś zależny, całkowicie zależny. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Nieznaczne skinienie głową to było wszystko, na co mogłem się zdobyć.

– Spójrz w górę! – poleciła, wskazując kierunek.

Pod sklepieniem pulsowała ogromnych rozmiarów aorta.

Półprzejrzysty, rozwodniony obraz żył, fragmenty tkanek poruszały się, falowały, rosły, szybko wypełniając całe pomieszczenie, przestrzeń nade mną i po bokach. Byłem już wewnątrz tętnicy, w strudze napływającej falami krwi, a wokół wzmagało się niepokojące dudnienie serca. Organiczne ściany ogromniały, krew przewalała się rzeką zawiesiny rosnących, pęczniejących tworów. Pośród mrowia plastrowatych czerwonych ciałek płynęły wielkie żółte talerze i lepkie, ameboidalne masy galaretowatej substancji.

– To ty – głos Wisan dotarł do mnie cichy, jakby z innego świata. – To twoje wnętrze, twoja tętnica i krew – mówiła dalej, nie doczekawszy się odpowiedzi. Obserwujesz na bieżąco procesy zachodzące we własnym ustroju. Czy odbierasz obraz? – w dalekim głosie dało się wyczuć zniecierpliwienie.

– Tak... tak, odbieram – z największym trudem poruszyłem zdrętwiałym językiem. Lawina wrażeń zaczynała przerastać chłonność mojego umysłu.

– Czy dostrzegasz błękitne kule, unoszące się w osoczu?

Rzeczywiście były tam: niewielkie, z trudem przepychające się pośród innych napierających na siebie ciał.

Skinąłem głową.

– Pytam, czy je widzisz? – krzyknęła Wisan.

– Widzę.

Byłem zmęczony. Z największym wysiłkiem wstałem, opierając się dłonią o chropowatą ścianę, której niewyraźny zarys widziałem przez półprzezroczyste drobiny krwi. Z trudem łapałem powietrze i moim jedynym pragnieniem było wyjść na zewnątrz.

Nagle w otaczającym mnie obrazie zaszła widoczna zmiana. Jedna z błękitnych kul eksplodowała, niszcząc okoliczne krwinki i rozsnuwając pośród innych pasma czarnej, szybko rozprzestrzeniającej się w osoczu cieczy.

Natychmiast poczułem się źle. Szara mgła przygasiła wszystkie barwy, głowa zdawała się ważyć dziesiątki kilogramów, nogi nie wytrzymały ciężaru ciała i ugięły się w kolanach. Osunąłem się na kamienne stopnie, szukając dłońmi oparcia, lecz nie znalazłem go i zwaliłem się ze schodów, niezdarnie osłaniając twarz ramionami.

W ostatniej chwili przed upadkiem ktoś chwycił mnie za ręce, zwlókł z ostatniego stopnia i posadził pod ścianą, o którą boleśnie uderzyłem potylicą. Zrobiła to Wisan.

– Otworzyłam tylko jeden procent spośród liczby kapsułek znajdujących się w twojej krwi. Dziesięciokrotnie większa dawka zabije cię natychmiast – jej głos stawał się coraz wyraźniejszy w miarę jak wracałem do przytomności.

– Po co... te eksperymenty? – wykrztusiłem.

– To nie eksperymenty, to była ilustracja do twojej obecnej sytuacji. Możesz dopasować się lub... zginąć. Masz swobodę wyboru.

– U nas tego rodzaju postępowanie nazywa się szantażem i jest karalne.

– Po pierwsze: twój świat nie interesuje mnie w najmniejszym nawet stopniu. Również dla ciebie w tej chwili ważne jest tylko to, co dzieje się w Fantasmagorii. Po drugie: podporządkowywanie indywidualnych zachcianek nadrzędnej racji społecznej nie jest szantażem, lecz nieodłączną cechą wszystkich rozwiniętych i sprawnych systemów grupowych. Twoja ignorancja jest zdumiewająca – wydęła wargi w pogardliwym grymasie. – Na szczęście do wykonania zadania nie potrzeba szczególnej inteligencji.

– Przed chwilą dowiedziałem się, że nikogo nie można u was skazać lub usunąć.. – spróbowałem inaczej.

– Źle mnie zrozumiałeś – przerwała. – Nie nikogo, tylko odszczepieńców, których przewinieniem jest brak wiary w Wszechharmonię Dźwięku. Brak wiary nie demonstrowany publicznie.

– Tych trzech ma przecież tylko to na sumieniu. A Kodeks zabrania...

– Zabrania nam, obywatelom Fantasmagorii. Nie zapominaj, że jesteś tu obcy, nigdzie nie rejestrowany i nikt nie będzie cię szukał – urwała nagle w pół zdania, jakby spostrzegła, że powiedziała o kilka słów za wiele.

– A więc to tak?! Potrzebujecie mordercy, nikomu nie znanego zbira, żeby załatwił za was ciemne sprawy...

– Milcz!! – jej oczy błyszczały wściekłością. – Powinnam była cię zabić, przybłędo. Nie jesteś wart możliwości, które ci oferuję. Będzie lepiej, jeśli zrobię to teraz, zanim jeszcze nie jest za późno.

Sięgnęła pomiędzy fałdy białego płaszcza, lecz zdążyłem podbiec i chwycić ją za rękę.

– Zgadzam się! Nie rób tego! – nie czułem już nic więcej ponad zwierzęcy strach o życie.

Spojrzała na mnie z odrazą, wyswobodziła rękę i wytarła ją o ubranie. Twarz płonęła mi ze wstydu.

– Poszukiwania i akcje przeprowadzisz całkowicie samodzielnie, bez jakiejkolwiek pomocy z naszej strony. Spotkamy się dopiero po wykonaniu zadania, jako wolni obywatele Fantasmagorii.

– Nigdy nie widziałem tych ludzi, jak więc mam ich odnaleźć?

– Zostałeś sztucznie uczulony na ich cechy osobnicze. Twoja psychika posłuży ci za detektor. Bardzo szybko nauczysz się nią posługiwać, do tego także nie trzeba być geniuszem.

Podszedłem do marmurowego wieka grobu, zważyłem w dłoni pistolet. Pasował tak dobrze, jakby był robiony na miarę. A może wpakować tej kobiecej kreaturze w brzuch cały magazynek i uciec z przeklętego miasta, biec dzień i noc przez wezbrany czerwoną opuchlizną las, dotrzeć aż tam, dokąd nie będą dochodziły dźwięki muzyki, zaszyć się w gęstwinie i czekać, czekać...

– Nie łudź się, że uda ci się jakaś sztuczka – Wisan chyba czytała w myślach – pamiętaj, w twoich żyłach płynie śmierć, a ja przez cały czas trzymam w ręku jej wyzwalacz. Poza tym kapsułki z jadem są trwałe tylko w granicach Fantasmagorii. Rozpoczynaj więc akcję!

– Jak.. w jaki sposób?

– Teraz to już tylko twoja sprawa. Ja nie wiem o niczym, działasz na własną rękę. Na pierwszego daję ci czterdzieści osiem godzin. Jeśli do tego czasu nie wykonasz zadania, zginiesz. Dokładnie to samo dotyczy pozostałych dwóch dewiantów społecznych. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

– Owszem, tylko wciąż nie wiem, jak...

– Mówiłam już, że to mnie nie obchodzi – przerwała ostro. – Zapamiętaj również, że broń, którą trzymasz w ręku, powinna strzelać tylko do celów jej przeznaczonych. Załadowana jest trzema pociskami, wrażliwymi na myśl strzelca. Nie wolno ci chybić! Idź więc wykonać swoje dzieło, które stanie się uwerturą do prawdziwego życia!

Przeszła obok mnie śmiejąc się ochryple, ciągnąc za sobą smugę ostrego zapachu kosmetyków i trudnej do zamaskowania woni potu.

Zostałem sam ze swoją nową przyszłością. Może już lepiej być kimś innym niż nie być w ogóle?

Czy po wykonaniu zadania rzeczywiście zostanę przyjęty do społeczności Fantasmagorii? Na to pytanie nie było odpowiedzi. Czy w ogóle warto starać się o przynależność do tej społeczności? Nie miałem możliwości wyboru.

Stary cmentarz żarzył się wokół mnie jak hałdy dogasających ruin: na naturalną czerwień wieczorne słońce nałożyło pomarańczowordzawe desenie. Na tle bezchmurnego, cielistego nieba płynęły strumienie dalekich iskier – to ludzie spieszyli do swoich codziennych zajęć, które były mi obce i obojętne.

Uniosłem ramiona i poleciałem pionowo w górę, gdzie widniały ażurowe skupiska zalanych różowym blaskiem sześcianów. Dotarłem tam w ciągu kilku minut. Nad głową miałem już tylko czyste niebo, natomiast w dole, aż do poziomu naziemnych ogrodów, spowitych teraz mgłą sinego mroku, płynęły w rudym świetle setki kotwiczących na różnych wy-

sokościach budowli. Przestrzeń między nimi szczelnie wypełniała muzyka.

W dzielnicy sześcianów królowały wesołe wiolonczele, a w tym wszędobylskim dźwiękowym oparze ludzie uwijali się jak pszczoły wokół setek sczepionych w najdziwniejsze figury uli. Wylądowałem na jednym z tłocznych tarasów.

Mieszkańcy Fantasmagorii byli śniadzi i czarnowłosi; młode kobiety malowały twarze czerwoną szminką, a biel luźnych ubrań ożywiały rożnobarwnymi cekinami. Mężczyźni nosili prostsze w kroju, obcisłe spodnie i kurtki.

Trafiłem na poziom handlowy, gdzie wszystkie sklepy okazały się sklepami muzycznymi. To było nawet ładne: za kryształowymi taflami świetlne refleksy przemykały po giętych niklowanych wykończeniach i profilowanych klawiszach, z każdego wejścia dobiegało piękne granie, ale ja byłem zwyczajnie głodny. Zostawiłem więc ten nieco nużący dźwiękowy raj i udałem się na inny poziom.

Znów uwijający się ludzie, co chwila wzlatujący i opadający jak wielkie białe ptaki. Rozdęte banie wystaw, a w ich szklistych wnętrzach setki starannie ułożonych instrumentów muzycznych. Przez głowę przemknęła mi szalona myśl, że mieszkańcy Fantasmagorii odżywiają się muzyką!

Mało kto wchodził do sklepów, ale ci, którzy zdecydowali się, odprawiali przed drzwiami ciekawe misterium. Przystawali, starannie wybierali jeden z kilku instrumentów, wystawionych na zewnątrz, i dawali krótki solowy koncert. Niektórzy dysponujący widocznie dobrym głosem, śpiewali pieśni. Dopiero wtedy, po zademonstrowaniu przez klientów możliwości muzycznych lub wokalnych, podwoje sklepów stawały dla nich otworem.

Cóż miałem począć ja, niemuzykalny wyrodek, w tym kraju gdzie wytrychem do każdych drzwi, a przede wszystkim najwyższą racją stanu był dobry słuch? Nie mogłem czekać z decyzją zbyt długo, głód i pragnienie zmuszały mnie do działania. Pełen determinacji podszedłem do szklanych drzwi i spróbowałem je otworzyć. Na darmo.

Wtedy zaczerpnąłem głęboko tchu i zaśpiewałem. Było to pożałowania godne: chropowaty, mamroczący głos bezlitośnie fałszował melodię popularnej kołysanki, jedynej zapamiętanej przeze mnie piosenki. Musiałem być czerwony ze wstydu, gdy kilku przechodniów przystanęło, aby wysłuchać tego kuriozalnego popisu, lecz nie dawałem za wygraną, dopóki drzwi nie otworzyły się powoli, jak gdyby z pewnym wahaniem. Jednym skokiem znalazłem się wewnątrz; wolałem nie czekać, aż ktoś lub coś rozmyśli się.

Bezradnie przeciskałem się pomiędzy gęsto ustawionymi kolumnami, obwieszonymi błyszczącym sprzętem muzycznym. Każda z nich wypiętrzała się aż pod wysokie sklepienie, wyglądając w snopach różnobarwnego światła jak trójwymiarowy obraz z kalejdoskopu. Dyskretny rytm tamburynów i towarzyszący im jękliwy głos nieznanego mi instrumentu były tutaj wreszcie na miejscu.

Niespodziewanie poczułem lekki niepokój, coś na kształt poczucia zagrożenia. Wrażenie to tak bardzo nie pasowało do zacisznego, pełnego ciepłych barw i dźwięków wnętrza, że zignorowałem je i poszedłem dalej.

W samym końcu pomieszczenia, w niszy jakby wstydliwie odgrodzonej drewnianą kratką od głównej, pełnej przepychu sali, sprzedawano produkty spożywcze, kosmetyki i drobne przedmioty codziennego użytku. Płacono grą na skrzypcach lub mandolinie; sprzedawca pobierał należność za pomocą podręcznej kasety zapisującej z wbudowanym kierunkowym mikrofonem.

Gdy przyszła moja kolej, zachłannie wybrałem wiktuały w ilości wystarczającej na solidny posiłek dla przynajmniej dwóch osób. Sprzedawca zabębnił palcami po klawiaturze urządzenia nagrywającego i podsunął mi mikrofon.

Sięgnąłem po któryś ze stojących na podorędziu instrumentów, ale nie ważyłem się na dotknięcie strun. Przecież nigdy nie miałem w ręku mandoliny. Odetchnąłem parę razy i zaśpiewałem jeszcze raz tę samą kołyskanę, którą już popisywałem się przy wejściu. Powtórzyłem ją dwukrotnie, zanim zapłonęła zielona lampka i sprzedawca dał mi znak, abym wreszcie przestał. Chwyciłem swoją torbę z prowiantem i chciałem uciec, lecz on nachylił się ku mnie ponad kontuarem.

– Pańska waluta nie jest zbyt mocna – powiedział cicho, lecz nie aż tak cicho, aby stojący za mną w kolejce nie mogli go słyszeć.

Skinąłem głową, wzruszając jednocześnie ramionami. Lecz nie dał mi odejść.

– Posłuchaj pan dobrej rady: nie ma co czekać na defensorów. Ich kontrole nie są przyjemne. Zresztą resocjalizacja nie trwa długo.

Jeszcze raz spojrzał na mnie ojcowsko–karcącym wzrokiem. Oczy miał wyłupiaste, a obrzmiałą twarz błyszczącą od wilgoci.

– Dziękuję. Może to i dobry pomysł. – Czułem, że czekał na odpowiedź. Rzeczywiście zaraz potem dał mi spokój i zajął się następnym klientem.

Usiadłem przy jednym z kilku stolików tuż przy drewnianej kratce i rzuciłem się na jedzenie. Nigdy w życiu nie byłem tak głodny.

Wtedy ponownie poczułem niepokój. Rozejrzałem się, lecz nie spostrzegłem niczego co mogłoby stanowić zagrożenie. Chyłkiem usunąłem resztki żywności do torby i pośpiesznie ruszyłem ku wyjściu.

Niepokój wzmógł się, gdy znalazłem się w tym samym miejscu, w którym lęk dopadł mnie po raz pierwszy. Czy to tylko skutek zmęczenia, nieustannego stresu psychicznego, czy też może jestem pod działaniem nieznanej mi siły? Może Wisan uruchomiła swoją broń lub zastosowała inne sposoby presji psychicznej?

Obejrzałem się. W prześwicie między piramidami lśniących jak klejnoty instrumentów, na bladej bieli ściany widniał znak. Równie dobrze mógłby to być jakiś szalony motyw dekoracyjny: jakby ktoś chlusnął na mur czerwoną farbą. Środek rozbryzgu drażnił intensywnym karminem, natomiast jego spiralnie rozwiane ramiona zmieniały kształty, różowiały i bladły, jakby wsiąkały w podłoże.

To nie była dekoracja. Gdy patrzyłem na plamę, przypominającą teraz monstrualną karykaturę róży, niepokój powoli przełamywał się we mnie; lęk pozostał, ale coraz bardziej dominował odruch agresji, przywoływał mnie daleki zew łowców, dobiegający z atawistycznych mroków dawno zapomnianej przeszłości. Potrząsnąłem głową, zamknąłem oczy. Doświadczałem dziwnych, nie znanych mi wrażeń. Były obrzydliwie obce, a jednak ukazywały wyraźnie, jaki monotonny ład dotychczas wypełniał moją doskonale zabezpieczoną egzystencję.

Otworzyłem oczy – ściana była biała i czysta. Odetchnąłem z ulgą, lecz lęk powrócił spiętrzoną falą, a daleki prześwit znów wypełnił się czerwienią.

Pobiegłem ku wyjściu, lecz drzwi nie chciały mnie wypuś-

Andrzej ZIMNIAK

Urodzony w 1946 roku w Warszawie, doktor nauk chemicznych, pracownik naukowy Politechniki Warszawskiej, autor dwu zbiorów: „Szlaki istnienia" („Nasza Księgarnia", 1984) i „Homo determinatus" (Wyd. Poznańskie, 1986). Prezentowany na łamach „Fantastyki" czterema już opowiadaniami – „Umarł w butach", „List z Dune" (nagroda miesięcznika za rok 1984), „Najdłuższa podróż poślubna" i „Ornitologia". Oczekuje na druk w „Iskrach" kolejnego zbioru „Opus na trzy pociski", a w Wydawnictwie Poznańskim powieści „Marcjanna i aniołowie" oraz w „Naszej Księgarni" tomików „Spotkanie z wiecznością" i „Otchłanie szczęścia". Zimniak od lat porusza się w SF prywatną drogą – nie wyrzeka się związków z nauką, nie przesadza z konwencjami rozrywkowymi. Pisze spokojną, elegancką prozę, w której stawia rzeczywistości zasadnicze pytania, dotyczące natury świata i moralnych racji zachowań człowieka.

(mp)

cić. Zachrypniętym głosem wyśpiewałem dwie zwrotki i znalazłem się na zewnątrz.

Wyszedłem w granatowy mrok, atramentowe niebo obsypały już gwiazdy. Zdawało się, że to od nich płynie powolna, monumentalna muzyka, w której zawierały się wszystkie tajemnice Wszechświata.

Głęboko zamyślony nie zauważyłem, kiedy wszedłem w obszar przestrzennych pastelowych obrazów. Wokół zaroiły się szklanki i kieliszki, napełnione napojami, przemieszczały się półmiski i wazy pełne jadła. Zatrzymałem się i poprzez półprzezroczyste brzuchy ozdobnych butelek dostrzegłem gościnnie otwarte drzwi restauracji. Wraz z grupą młodych ludzi przedostałem się do obszernego holu i tam w jakiejś mrocznej wnęce, otoczony zielonymi taflami akwaryjnych okien, pomimo sączącego się znikąd klawesynowego grania, usnąłem jak włóczęga w jednym z obszernych, klubowych foteli. Bo w istocie byłem teraz włóczęgą.

Tutaj się nie śpi! – zniekształcony głos przenikał z bardzo daleka jak przez szczelną osłonę. Ktoś targał mnie za ramię, lecz nie chciałem przyjąć tego do świadomości, pragnąłem za wszelką cenę spać dalej, znów pogrążyłem się w bezwładzie i odprężeniu.

– Tutaj nie wolno spać!

Otworzyłem oczy. Ostatnie widziadła senne powoli rozpuszczały się w powietrzu, przedmioty wyostrzyły swoje kontury. Przestronny hol, jeszcze wczoraj wieczorem przytulny i ciepły, w ostrym świetle wczesnego dnia sprawiał wrażenie groty wyciosanej w szarym bazalcie.

– Obywatelu, swoim zachowaniem naruszyliście harmonię tego miejsca. Zasłużyliście na...

– Zaraz, proszę zaczekać – zerwałem się z fotela, usłużnie zginając grzbiet. Tuż obok stał rosły defensor; jego twarz była maską, z której nie mogłem odczytać niczego.

Rozpaczliwie szukałem wyjścia z sytuacji. Dotychczas dwukrotnie spotykałem na swojej drodze defensorów, i za każdym razem wyszedłem z opresji tylko dzięki akcji Statku. Teraz nie mogłem liczyć na jego pomoc, a każda stracona minuta zmniejszała moje szanse.

Skoczyłem w kierunku baru i chwyciłem poczerniałą od częstego używania lutnię; grą na niej płacono pewnie za koktajle. Powróciłem na miejsce, w którym wciąż stał bez ruchu defensor i uśmiechnąłem się pojednawczo, lecz żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Niespiesznie podniósł rękę i kciukiem wcisnął czarny guzik mikrofonu.

Palce mi drżały, bo wiedziałem, że gram o dużą stawkę. Dotknąłem strun raz i drugi, oswajając instrument. Potem była już tylko beznadziejna improwizacja.

W gardle mi zaschło, czułem szorstkość warg i języka. Raz po raz rzucałem szybkie spojrzenie na defensora, którego twarz wreszcie zaczęła wyrażać jakieś uczucia. Najpierw było to graniczące z osłupieniem zdumienie, a potem złość. Gdy jednak uparcie nie zaprzestawałem gry, mój słuchacz zaczął okazywać oznaki niepewności. Splatał i rozplatał krótkie palce, przechadzał się, opuszczał i unosił wysoko głowę. Widząc to wzmogłem jeszcze tempo, przymknąłem oczy i starałem się sprawiać wrażenie solisty, na którego spłynęło objawienie. Na zakończenie szarpnąłem mocno struny i odstawiłem instrument. Czekałem.

Defensor wyłączył rejestrator i milczał nieskończenie długą chwilę.

– No tak, obywatelu. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

– Na pewno nie – schyliłem lekko głowę, aby ukryć wrażenie niesmaku i radości zarazem.

– Potwierdzenia nie trzeba?

– Dziękuję, nie.

Nie czekając na odpowiedź odchodził kołyszącym krokiem, władczą postawą podkreślając pełnioną funkcję.

Za jedne półtorej zwrotki zjadłem skromne śniadanie, a potem wyszedłem na zewnątrz.

Natychmiast dopadł mnie lęk, w niewytłumaczalny sposób budzący drapieżną namiętność łowcy. Daleko w dole, na tle płynącego tuż ponad szklanymi tarasami, pysznego zamku, na tle jego pokrytych spatynowaną łuską murów rozwijał się znak róży. Polowanie było rozpoczęte.

Wiedziałem, że muszę działać, że nie mam innego wyjścia. Trzeba prowadzić tę grę, obserwując wszystko z największą uwagą i czekając na dogodny moment, aby umknąć. Myśl o tym, co nastąpi jeśli ten moment nie nadejdzie w ogóle, odsuwałem od siebie z obrzydzeniem. Przecież nie zamorduję z zimną krwią. Ale... również nie nadaję się na szlachetnego bohatera dramatu, jestem zwykłym człowiekiem.

Skoczyłem z krawędzi płyty w otchłań przepaści. Chłodny wiatr zaśpiewał mi koło uszu, a ubranie napełniło się cyrkulującym powietrzem. Zawieszone na różnych wysokościach budowle poruszyły się, powoli popłynęły w szarosinej przestrzeni. Zlepek białych sześcianów, połączonych tarasami lądowniczo–spacerowymi, malał gwałtownie, aż zamienił się w ażurową srebrną maskotkę. W drodze towarzyszyły mi grzmiące symfoniczne akordy, jedne goniące drugie w tak zawrotnym tempie, że chciałoby się w ich dźwięczącej kaskadzie lecieć jeszcze szybciej, zlać się w jedno z wyjącym, huraganowym wichrem.

Gdy już traciłem oddech, jakaś siła zaczęła powstrzymywać mój pęd, bolesny nacisk zgęstniałych strug powietrza zmalał, orkiestra zwolniła, grała teraz spokojnie, nawet z pewnym dostojeństwem. Na bezustanną muzykę, wypełniającą każdą sekundę trwania i każdy haust powietrza tej krainy, teraz nie zwracałem już takiej uwagi jak na początku. Więcej: zacząłem uważać muzyczne wszechtło za coś normalnego i jedynie zbyt ostre wejścia były czasami drażniące.

Pęd powietrza ustał zupełnie, a z orkiestrowego chóru pozostał jedynie głęboki śpiew grających unisono wiolonczeli. Stałem na schodach zamku, którego główna wieża wznosiła się nade mną jak olbrzymi jaszczurowy łeb.

Podszedłem do dwuskrzydłowych wrót pokrytych metalową łuską. Położyłem dłoń na chłodnym uchwycie.

„Co zrobić, gdy ten człowiek pojawi się nagle przede mną? Zabić, ratując siebie? Czy skazać siebie, darowując mu życie? Naiwne w swojej prostocie pytania, będące jednak kwintesencją problemu. Na proste pytania najtrudniej jest znaleźć odpowiedź".

Pchnąłem uchwyt, lecz wierzeje ani drgnęły. Naparłem z całych sił i wtedy jedno skrzydło cofnęło się nieco, otwierając wąskie przejście w ciemność. Przez szczelinę wpadł wiatr, hucząc i świszcząc na ostrych metalowych krawędziach.

„On może być uzbrojony. Jeśli rozpocznie walkę, nie będę miał skrupułów: zabiję go, ratując się z dwóch opresji jednocześnie. Lecz jeśli jest uzbrojony, równie łatwo może zabić mnie".

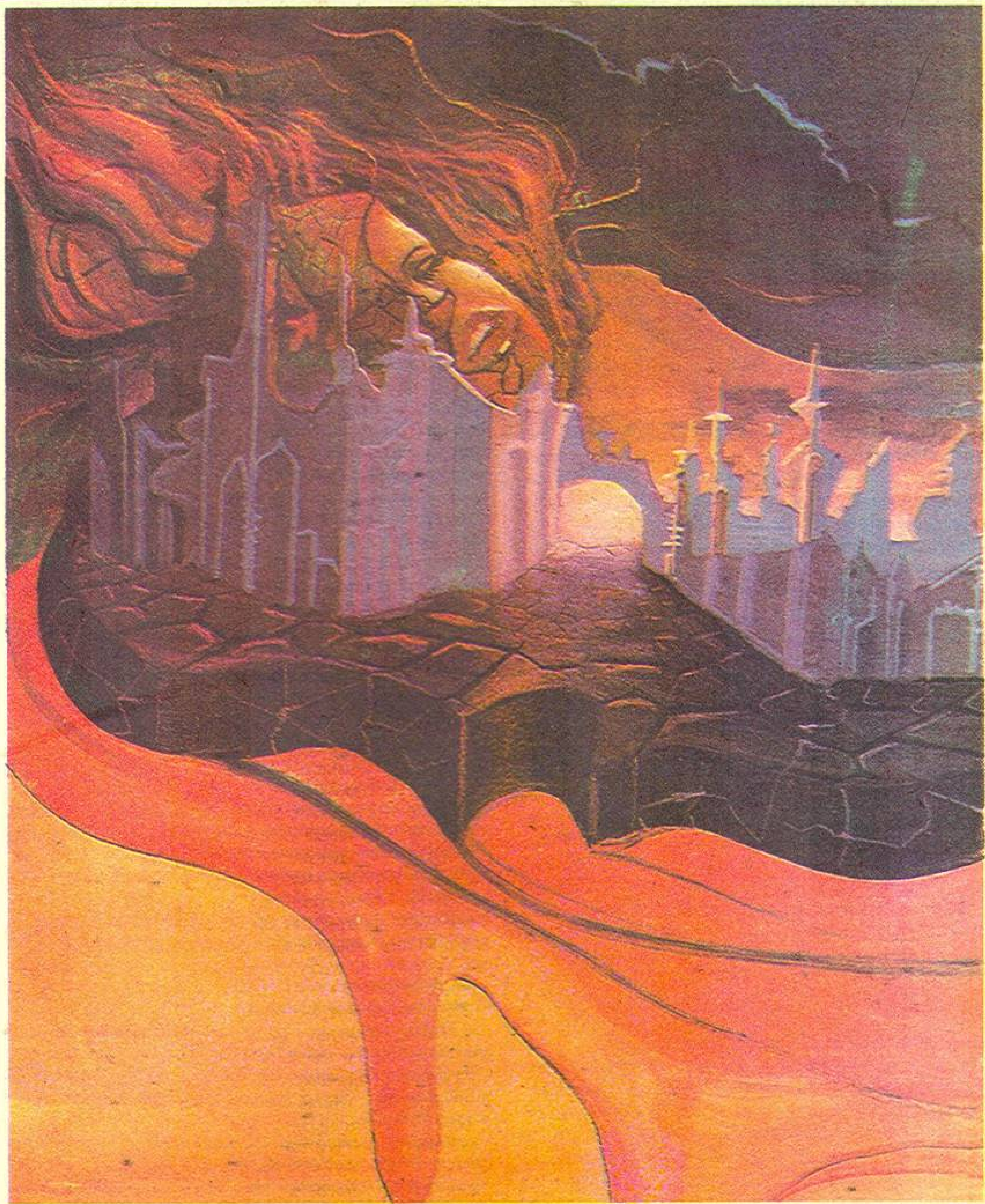
Narastający strach zagłuszyło podniecenie myśliwego, idącego świeżym tropem. Gdzieś daleko, na wnętrzu zamczyska, widziałem mroczny znak róży. Czując na piersiach ciężar broni szybko wsunąłem się w szczelinę wejścia.

Obronnym gestem osłoniłem oczy przed gwałtownie rozpalającym się światłem. Gdy osiągnęło ono pełne natężenie, usłyszałem głos.

– Muzeum Współczesne wita zwiedzających. Pierwsza sala zawiera...

Odetchnąłem z ulgą. Muzeum! Cóż mnie obchodzi zawartość jego sal? Przecież dokładnie wiedziałem, czego szukam.

Biegłem marmurowymi korytarzami, pomieszczeniami pełnymi szklanych gablot, kluczyłem pośród złoconych kolumn, goniąc za widmową, wsiąkającą w mury czerwienią. Wzmagające się podniecenie nie dało się stłumić rozumowaniem ani siłą woli – było fizjologiczne jak bicie serca, choć zdawałem sobie w pełni sprawę z faktu, że to obce mi uczucie zostało wszczepione sztucznie.



Beata Maruszewska

Zgromadzone w poszczególnych salach eksponaty nie interesowały mnie w najmniejszym nawet stopniu. Byłem już blisko: fragmenty wiodącego mnie znaku rozwiewały się w długie, przejrzyste treny, jak różowa mgła rozpływały się w powietrzu, przenikając przez kryształowe ściany i białe mury jak przez nierzeczywiste przeszkody.

Powietrze drgało od muzyki, lecz nie zwracałem już na nią uwagi, stała się częścią tła.

Przypadłem plecami do ściany, czułem pod palcami jej szorstki dotyk. Głośny, świszczący oddech zdradziłby mnie z pewnością, gdyby ktokolwiek jeszcze przebywał w tej sali. Tutaj nie było nikogo, tylko ogromne skorupy i włochate pająki wielkości dłoni spoglądały na mnie z zastygłą nienawiścią spod kryształowych kloszów.

Małe, służbowe drzwi przy końcu ciągu ekspozycji na pewno nie zwracały uwagi zwiedzających. Właśnie dzięki swojej niepozorności były zagadkowe: w tym pysznym pałacu każde pomieszczenie i przejście musiało wyglądać monumentalnie. Więc skąd te drzwi, spoza których przeciekają strużki czerwonego blasku?

Tak, to musi być już tutaj. Człowiek, którego ścigam ukrył się za tak cienką warstwą dykty, że aż wydaje się śmieszny. Taka przeszkoda ma mnie powstrzymać?

„Spokojnie, tylko spokojnie. Na razie jeszcze nic się nie stało, możesz w każdej chwili odwrócić się i wyjść, aby wszystko przemyśleć od nowa".

Wyjąłem pistolet; leżał w dłoni jak ulał.

„Nie jesteś w strzelnicy, nie wiem, czy dociera do ciebie pełen sens słów, to nie jest strzelnica! Masz strzelać do żywego człowieka..."

Chciałem wyciszyć ten wewnętrzny monolog, lecz nie miałem dość siły. Schowałem broń i wtedy poczułem się wydany na łaskę przeciwnika. Ująłem więc twardą kolbę, trzymając rękę w kieszeni. Nie wiem, czy było to rozwiązanie połowiczne, czy złoty środek, lub może zwykłe tchórzostwo.

Gwałtownie szarpnąłem klamkę, uskakując w bok. Drzwi poddały się łatwo; nie były zamknięte. W małym pomieszczeniu panował nieład: kryształowe szkatuły piętrzyły się pod ścianą, na półkach i w słojach kłębiły się setki monstrualnych owadów, zastygłych dawno temu w połowie swojego ostatniego ruchu, w chwili zetknięcia z preparatem konserwującym. Dalej stały stłoczone obrazy, modele, rzeźby.

Pomimo bałaganu od razu odnalazłem swój cel. Włożyłem pistolet do kieszeni na piersiach, poruszyłem zdrętwiałymi palcami, parę razy głęboko wciągnąłem powietrze. Dopiero potem podszedłem do niego.

Stał w najdalszym kącie pomieszczenia, częściowo schowany za zwojami starych map, lecz otaczająca go szkarłatna aura oświetlała strop i część ścian ponurym, pełzającym blaskiem. Patrzył dziwnym wzrokiem w dal, jakby daleko poza zagraconym schowkiem dostrzegał inny, ciekawszy świat. Twarz, mimo że niezbyt precyzyjnie wyrzeźbiona w zielonym marmurze, pełna była trudnej do ukrycia tęsknoty. Poszukiwanie musiało być celem życia tego człowieka.

Podszedłem bliżej i rękawem starłem kurz z mosiężnej tabliczki z napisem:

Alej Meeijn. Filozof, myśliciel, humanista.

Wyprostowałem się nie mogąc pozbierać myśli. Dlaczego jego popiersie jest tutaj, w schowku rzeczy zapasowych lub niepotrzebnych? I dlaczego mam wykonać wyrok na znanym i szanowanym człowieku?

Było cicho. Takiej ciszy nie zaznałem ani przez chwilę po katastrofie Statku w czerwonej dżungli. W tym ustronnym pomieszczeniu, nie przeznaczonym dla żywych ludzi, nie grała żadna orkiestra, nie dźwięczała nawet pojedyncza struna!

Znów spojrzałem na zastygłą w kamieniu twarz Aleja, jeszcze raz wzbudzając w sobie pierwotną namiętność łowcy, lecz także sympatię, płynącą zapewne z niezmodyfikowanej części mojej osobowości. Nie mogłem nie lubić tego człowieka, lecz musiałem go zabić. Po to, żeby ocalić siebie.

Dziwne to społeczeństwo, które pozbawia się swoich wybitnych jednostek. Jedynie władza, będąca sama dla siebie celem lub obłędna idea, usiłująca kreować mityczną rzeczywistość, mogą stać się siłą sprawczą tego rodzaju samounicestwiających poczynań, które są wyraźnym symptomem dekadentyzmu epoki wielkości.

I nagle przypomniał mi się defensor, wymierzający krwawe razy za publicznie okazaną niechęć do muzyki, i ten drugi z baru powtarzający, że tu się nie śpi. Tak, w tym kraju nie należało już niczego poszukiwać, skoro każdy wiedział, co ma robić, a czego robić mu nie wolno. Tutaj udało się już osiągnąć idealny i nienaruszalny stan Wszechharmonii, więc bezsensowne, a nawet szkodliwe byłyby jakiekolwiek dalsze penetracje.

Odczułem niepokój; gdzieś daleko zza pokrytych łuską murów zamku znowu wzywał mnie świetlisty znak róży. Tam pracuje lub odpoczywa niczego nie spodziewający się człowiek. Jego żywa postać, a nie rzeźbiarska imitacja, woła mnie teraz. Nieświadomie przyzywa śmierć.

„Nie możesz przecież go zabić. Staniesz przed nim, on zwróci do ciebie swoją zamyśloną twarz, a ty wpakujesz w jej środek morderczy pocisk. Nie!! Pójdziesz do niego, aby porozmawiać. Może wyjawi ci sekret Fantasmagorii".

– Tutaj sekrety są jawne – odpowiedziałem swoim myślom – ponieważ tutaj nikt nie ma prawa się dziwić. Zaś mrocznych tajemnic nikt nie będzie śmiał wypowiedzieć, bo przeklnie siebie i swoich bliskich.

Nie spieszyłem się w drodze powrotnej, lecz w końcu wyszedłem przez uchylone wrota i zatrzasnąłem je za sobą. Jeśli nie żywym, to chociaż mumiom i posągom należy się chwila spokoju.

Uniosłem ręce i pomknąłem wskroś chłodych i na przemian cieplejszych fal powietrza, a za mną jak sfora ujadających psów rzuciły się grzmiące organowe fugi.

„Coś tutaj nie jest w porządku. Miej się na baczności".

Pomieszczenie było pełne ludzi. Wyglądało to jak zaawansowane przyjęcie: goście siedzieli na niewidocznych poduszkach lub stali grupkami, ostrożnie popijając z małych kubków gorący, parujący płyn. Czerwona szminka na spoconych twarzach kobiet rozmazała się, puszczone w nieładzie włosy lepiły się do policzków.

„Czegoś tu brak lub czegoś jest za dużo. Bądź opanowany, nie daj poznać po sobie zdenerwowania".

– Witam Przedstawiciela – młoda, rozczochrana kobieta zgięła się przede mną w wymyślnym ukłonie. Poczułem zapach rozgrzanego ciała i olejków kosmetycznych. Jej kaftan był rozsunięty, tak że przy pochyleniu tułowia małe, sprężyste piersi tańczyły niczym nie osłonięte w zasięgu mojej ręki.

– Jakiego.... Przedstawiciela? – cofnąłem się nieco. Dopiero teraz dotarł do mnie sens słów, wypowiedzianych przez dziewczynę.

Podniosła lśniącą wilgotną twarz z ponaklejanymi na skórę barwnymi cekinami i spojrzała badawczo. Jej twardy, nienawistny wzrok tworzył nieprzyjemny dysonans z jeszcze dziecięcą, chciałoby się rzec: niewinną buzią.

– Nie znam cię. Nie jesteś z naszej grupy rekreacyjnej. Gdybyś miał jeszcze jakieś wątpliwości, to przeczytaj!

Sięgnęła za połę kaftana i wyjęła prostokąt ze sztywnej folii, na którym wykaligrafowany był krótki tekst.

Dobrowolnie i na krótko przerwaliśmy
muzyczną edukację. Nikt spośród tutaj
obecnych nie ma tego nikomu za złe.

Pod ostatnim wyrazem widniał odręczny podpis.

„Ależ tak! W pomieszczeniu brak było muzycznego tła i to właśnie spowodowało twój niepokój. Nie demonstracyjnie swobodne zachowanie zgromadzonych, lecz brak dźwięków, kreujących Wszechharmonię".

– Kartki! – krzyknęła młoda kobieta głosem tak przeraźliwym, że odruchowo drgnąłem i wciągnąłem głowę w ramiona.

Każdy z obecnych niespiesznym ruchem wyciągnął identyczny prostokąt z folii i uniósł go do góry.

– Możesz przejść się i poczytać – wysyczała kobieta jak podrażniona kotka – wszędzie zobaczysz to samo. U wszystkich! Każdy z nas dobrowolnie zgodził się na chwilowe wyłączenie dźwięku, więc nie postępujemy aspołecznie. Nikt nie chce teraz słuchać!

– Uspokój się, Heeli! – młody mężczyzna, właściwie wyrośnięty chłopiec, położył jej dłoń na ramieniu. – Jeśli ten człowiek jest przyjacielem, nie zasłużył na podobne traktowanie. Jeśli jest wrogiem, odsłaniasz się tylko przed nim. Uspokój się więc.

Kobieta ochłonęła tak nagle, jak gdyby ktoś przekręcił magiczny wyłącznik. Opuściła ręce, przygarbiła się.

– Może pójdziesz już stąd – powiedziała zmęczonym głosem. – Twoja obecność jest irytująca.

Przez chwilę myślałem, że zwraca się do młodzieńca, lecz podniosła głowę gestem nieskończonego znużenia i spojrzała na mnie pustym wzrokiem.

– Powiedziałam: odejdź. Nic tu po tobie. Zachowujesz się i wyglądasz tak, jakbyś był nikim.

– Jak to: nikim? – rzuciłem trochę ostrzej niż zamierzałem. – Jeśli nie jestem jednym z was lub defensorem, od razu staję się nikim?

Spojrzała czujnie. Jej towarzysz także przyglądał mi się badawczo z zastygłym na twarzy zdawkowym uśmiechem.

– A nawet – ciągnąłem w zacietrzewieniu – nawet gdybym

pochodził spoza Fantasmagorii, gdybym był – wyakcentowałem to słowo – obcym?! Dlaczego wtedy miałbym być nikim?

Obydwoje cofnęli się, jakby zobaczyli widmo. Gwar rozmów poza nimi ucichł, tylko jacyś zajęci sobą mężczyźni w odległym kącie dyskutowali nadal, aż wreszcie i oni zamilkli, i w zadymionym powietrzu zastygła pełna napięcia cisza, mająca za tło jedynie płytkie oddechy stłoczonych tu ludzi.

„Wykonałeś fałszywy ruch. Możesz za to drogo zapłacić. Zamaskuj się lub natychmiast dojdź przyczyn piorunującego wrażenia, wywartego przez słowo: obcy".

Nie byłem już pewny, czy są to rzeczywiście tylko moje myśli, czy może Statek w swojej agonii usiłuje jeszcze mi pomóc. Podświadomie uchwyciłem się tej nadziei, chociaż równocześnie powtarzałem sobie, że prawie w niczym nie zmieniłoby to sytuacji.

W stężałe lękiem rysy swojej twarzy siłą spróbowałem wtłoczyć uśmiech.

– Nikt z was nie chce słuchać muzyki – powiedziałem głośno – lecz może ja miałbym na to ochotę?

Nagle wybuchł tumult, każdy miał coś do powiedzenia.

– A nie mówiłam?! – dziewczyna o imieniu Heeli przyskoczyła do towarzyszącego jej młodzieńca, jakby to on był wszystkiemu winien. Potem dotknęła zawieszonego na szyi kolibra, zwracając się do mnie z nieszczerym uśmiechem.

– W imię Wszechharmonii, szanowny Przedstawicielu.

Salę wypełnił głuchy łoskot bębnów, do którego zrazu jakby nieśmiało, potem coraz pewniej, dołączyły szarpane dźwięki jakichś instrumentów strunowych. I znów było normalnie.

Wszedłem trochę głębiej do pomieszczenia, rozglądając się czujnie. Powietrze przesycone było różem, czerwień rozmytymi plamami wykwitała na ścianach, smużyła się pod sufitem. Zmuszałem się do spokoju, ale dłonie mi drżały. Gdzie on jest?

Młody człowiek, towarzysz Heeli, nie odstępował mnie ani na krok, natomiast ona gdzieś znikła, wtopiła się w luźno stojące grupy. Nikt nie rozmawiał, zresztą w muzycznym zgiełku byłoby to pewnie i tak niemożliwe: wszystkie oczy zwrócono na mnie, obserwowano mnie jak groźne egzotyczne zwierzę: z zaciekawieniem i obawą.

Jakiś człowiek przepychał się przez ciżbę. Eskortujący mnie młodzieniec wyskoczył naprzód, gestykulując gwałtownie, wreszcie usiłował powstrzymać tamtego, chwytając go za luźny rękaw. Mężczyzna tłumaczył mu coś z uśmiechem, na koniec niecierpliwym gestem uwolnił się od gorliwego opiekuna i ruszył w moją stronę.

Krew napłynęła mi do twarzy, potem uciekła z niej, aż skóra stała się zimna, a wokół warg dziesiątki igieł poczęły nakłuwać ciało.

To był on. Miałem wrażenie, że jego rzeźba ożyła i wymknęła się z opancerzonego łuską muzeum, aby wziąć udział w wesołej zabawie pośród przyjaciół. Fantazja ani trochę nie poniosła artysty przy kształtowaniu kamiennej bryły.

Czerwona aura pełzających płomieni otaczała całą jego sylwetkę, zupełnie jakby był świętym lub jakby złożono go już na ofiarnym stosie wedle jakiegoś starożytnego obrzędu. Spostrzegłem, że moje zimne, wilgotne palce zaciskają się mimowolnie na kolbie pistoletu.

Alej podszedł i uśmiechnął się do mnie, lecz jego oczy pozostały poważne i zatroskane.

– Witaj. Jak mam cię nazywać?

– Sol – nie przychodziło mi do głowy żadne kłamstwo.

– Wiem, że jesteś obcym – wskazującym palcem dotknął swojego kolibra i porywająca końcówki słów muzyka przycichła nieco. – Wiem także i to, że przyszedłeś mnie zabić.

Skurczyłem się, jakbym został smagnięty batem. Młody towarzysz Heeli doskoczył do nas, w jego oczach pojawiła się zaciętość.

– To jego należy zabić – wskazał na mnie. – Jeśli jest obcym, każdemu z nas wolno to zrobić.

– Młody i porywczy Eijo – mężczyzna położył mu dłoń na ramieniu. – Bez takich jak ty świat stanąłby w miejscu. Lecz tutaj lepsza jest chłodna rozgrywka, uspokój się więc i uważnie popatrz na Sola. Spójrz na jego dłonie, na jego twarz. On musi wykonać zadanie, nie tylko dlatego, że jest stymulowany, lecz dlatego, że chce je wykonać. Stymulacja pomaga mu bardzo, to jest pewne, lecz strach i przyzwyczajenie do akceptowania woli opiekunów grają większą rolę...

– Nieprawda! – przerwałem mu, musiałem mu przerwać.

– Prawo nie zabrania zabijania takich jak on – rozdrażnienie Eija wzrastało.

– Przedstawiciele tylko na to czekają. On im pomaga, jeśli nawet nie jest człowiekim, to jest ich przedmiotem, własnością. Wiedz, że jego zabójstwo wykorzystają bez skrupułów. Ono jest wkalkulowane w grę.

– Więc co robić? Wypędzić go?

– Mój drogi Eijo, w każdej grze trzeba oddawać figury. Ja jestem pod szachem i jedyną rzeczą, nad którą należy się teraz zastanawiać, to najkorzystniejszy wariant rozgrywki. Po prostu: sprzedać figurę jak najdrożej, jeśli nie można jej dłużej zachować.

– Alej – młody człowiek pobladł – nie myślisz chyba o...

– Właśnie o tym myślę, więcej: już podjąłem decyzję. Idź, Eijo, i powiedz o tym innym. I niech się bawią, bo ten rodzaj balu, który wydajemy, wymaga ofiar, i ofiary te trzeba traktować jako rzecz normalną. Ja tymczasem pójdę z naszym nowym znajomym odetchnąć świeżym powietrzem.

Wolę być z wami – chłopięcą twarz Eija po raz pierwszy przyoblekła maska strachu.

– Nie – Alejo był zdecydowany. – Chcę porozmawiać z nim sam na sam. On boi się tłumu – ujął mnie pod ramię i z uśmiechem pociągnął ku wyjściu. Był to uśmiech człowieka, który zdążył się przygotować. Zapewne nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego symulacyjna rozgrywka już dawno przekroczyła i tak wąski margines bezpieczeństwa? A może... on znalazł w sobie dość siły, aby przeciwstawić się determinującej prawidłowości, rzeczywiście zapanował nad instynktem zachowania życia?

Przebiegł mnie wewnętrzny, zimny dreszcz. Lodowatymi palcami sięgnąłem po broń.

Nie. – Alej gwałtownie wyciągnął rękę, osłaniając się rozwiniętą dłonią. – Jeszcze nie, Sol.

Cofnąłem się o pół kroku, żeby nie mógł mnie dosięgnąć. Dygotałem.

– Czy... czy naprawdę myślałeś... że... ja... cię zabiję? – usiłowałem wydusić z gardła śmiech, lecz z zaciśniętej krtani wydobył się tylko nieartykułowany dźwięk.

– Pytasz m n i e? – Alejo był na pozór spokojny.

– Przecież... nie siebie.

– Ach tak. Więc odpowiem: zabijesz mnie. Lecz chciałbym sam wybrać miejsce. Chyba spełnisz tę moją jedyną prośbę? – jego stanowczy ton nie dopuszczał sprzeciwu.

– Więc gdzie? – spytałem, jakby sprawa już była przesądzona, chociaż wiedziałem z całą pewnością, że nigdy nie będę mógł zabić człowieka.

– Na pierwszym szlaku handlowym.

– Kiedy?

– Zaraz. Lećmy tam – zacisnął wargi, z trudem panował nad sobą.

– Tam... jest pełno ludzi. Tłum!

– Właśnie o to chodzi – wycedził, zbliżając się. Cofałem się przed nim jak dzikie zwierzę przed pogromcą.

– Nie! Nie zrobię tego. Nie chcę, rozumiesz?

– Musisz, bo inaczej umrzesz. A dla mnie to obojętne, czy dziś, czy za miesiąc. Rzecz rozegra się na oczach wszystkich, będą o tym szeptać starzy i młodzi, wielcy i mali, mądrzy i głupi. I gra potoczy się dalej.

– Co to może obchodzić mnie? Lub ciebie?

– Chodź już! – rzucił niecierpliwie, drżącym z napięcia głosem.



GALERIA

Ian Miller



Odwrócił się i szedł spokojnym, równym krokiem, a potem uniósł ramiona, aby wzbić się płaskim lotem i pomknąć w kierunku dalekiej szczeliny gasnącego dnia.

Wyszarpnąłem pistolet i mierzyłem w tył jego głowy. Mierzyłem długo, a on jakby zastygł w pół kroku, wykonywał zwolnione, taneczne ruchy.

Jak można zabić człowieka, unicestwić cały Wszechświat, przerwać czyjąś jedyną drogę? Nie, jeszcze nie teraz...

„A więc wolisz zburzyć własny Wszechświat, przerwać swoją drogę? To także mord, tyle że popełniony na sobie".

Jeśli zabiją mnie, odpowiedzialność spadnie na nich. Jeśli ja zabiję, spadnie ona tylko na mnie!

„Istnienie odpowiedzialności jest warunkowane przez istnienie Trybunału. Dopóki żyjesz, masz go w sobie. Skąd pewność, że istnieje Trybunał zewnętrzny?"

Życie bez wiary jest bezrozumną, bezlitosną fizjologią.

Jego głowa latała na wszystkie strony, zdrewniałe palce, zakleszczone na kolbie pistoletu, dygotały jak w febrze.

Mogę nie trafić.

Uniósł ramiona, za ułamek sekundy wzbije się w powietrze jak strzała.

Przecież mogę nie trafić!!

Skierowałem broń w bok, tak aby pocisk minął go w bezpiecznej odległości, i nacisnąłem spust. Ognisty wąż opuścił lufę, wykonał podniebne salto i szybko jak myśl spadł z góry na głowę Aleja. Tak szybko jak moja myśl.

Padł jak podcięty, podkulił nogi. Znieruchomiał.

Krew odpłynęła mi z twarzy. Strach paraliżował, pazurami wczepiał się w pierś, lecz jednocześnie odczułem coś na kształt ulgi, wzbierającej jak brudna, lepka ciecz. Mam to za sobą, żyję. Nie musiałem przecież pamiętać wszystkiego, o czym mówiła Wisan. Broń załadowana jest pociskami, wrażliwymi na myśl strzelca. Któż by wierzył w takie bzdury! Zaledwie w minutę po zbrodni włączył się mechanizm samooczyszczania.

Trzy ćmy zatrzepotały pod zielonym słońcem i zbliżały się nurkowym lotem. Jeszcze zanim wylądowały, rozpoznałem białe mundury defensorów.

– Twój własny Trybunał okazał się za mały, oto przybywa wsparcie – powiedziałem do siebie głośno. Nie czułem już nawet lęku, moja miara zdążyła się przebrać.

„Jestem z tobą. Nie obawiaj się, wszystko będzie dobrze. Nic ci nie grozi".

To był Statek. Odwróciłem się i ujrzałem tuż obok jego wielkie oczy.

– Więc żyjesz?! – w moim okrzyku była cała radość z ocalenia.

– Udało się nam obu – odpowiedział zwykłym, głębokim głosem, rezygnując na chwilę z telepatycznej drogi przekazu. Jego słowa wtopiły się w bezustanne organowe granie, które sączyło się jak deszcz z czarnego nieba.

Wszedłem do ciepłego wnętrza swojego Statku, dotknąłem wiernych ust i oczu na powitanie. Z ulgą zrzuciłem białe ubranie i cisnąłem je pomiędzy defensorów, zastygłych w wielkich szklistych bryłach jak drapieżne owady zatopione w kroplach zestalonej żywicy, które miały otworzyć się dopiero po naszym bezpiecznym odlocie.

– Pełna transfuzja krwi – zaordynowałem, układając się wygodnie.

„Niepotrzebna" – jego odpowiedź odcisnęła się w moich myślach.

– We krwi mam pęcherzyki jadu. Wisan zabije mnie! – krzyknąłem. – Pospiesz się!

„To mistyfikacja. Twoja krew jest czysta. Ogłuszano cię promiennikiem".

– A obraz aorty? – za wszelką cenę pragnąłem go przekonać.

„Kontrolowane złudzenie".

Zacisnąłem zęby. Wszystko było takie płaskie i głupie. Unosiliśmy się płynnym ruchem.

– Zaczekaj! – krzyknąłem. – Czy on – wskazałem na skurczoną sylwetkę Aleja – nie żyje?

„On umarł na zawsze".

Chwyciłem pistolet i wyrzuciłem go na zewnątrz, jakbym w ten sposób mógł pozbyć się piętna swojego czynu. Opadał coraz niżej, aż w końcu miękko wylądował obok mojej ofiary.

To on go zabił – usiłowałem przekonać sam siebie. Pocisk sterowany myślą! W ludzkiej głowie kłębią się najpotworniejsze myśli, ale większość pozostaje tam na zawsze. Tylko dzieci albo obłąkani mogli ważyć się na otwarcie tej klatki demonów.

Zabiła go Wisan – ona była mocodawczynią, organizatorką i szantażystką. Ona, pozostająca bezkarną!

Zabiła go muzyka, masowy narkotyczny obłęd tego społeczeństwa, uśmierciła go Wszechharmonia dźwięku!

Zabił się sam, bo był nieudacznikiem, niedostosowanym, dewiantem. Wziąłby lepiej skrzypce i zaczął grać!

Zabiłem go ja. Zabiłem go, choć mierzyłem gdzie indziej. Uśmierciła go moja myśl. Tak naprawdę to chciałem tego, by nie narazić swojego własnego Wszechświata, danego mi na tak krótko.

– Lećmy już! – rozkazałem.

„Dokąd?"

Właśnie, dokąd? Nagle zobaczyłem wszystko inaczej niż dawniej, pojawiły się dziesiątki pytań. Jakiej katastrofie uległ Statek? Czy także trafił go sterowany myślą pocisk przy akompaniamencie zwycięskiej muzyki, a może zestrzeliła go sama muzyka, huraganowy strumień podstępnie zmodulowanego dźwięku? A może tych wydarzeń nie należy nazywać katastrofą? Dlaczego potem Statek wysłał mnie wprost do Fantasmagorii? Czemu zjawił się w ostatniej chwili, a właściwie o minutę za późno, zupełnie jakby oczekiwał na ten moment? Czy świadomie wywołanym efektem było wzbudzenie we mnie wątpliwości, których nigdy przedtem nie miałem?

Pozostawiałem za sobą świat zniewolony mitem o Wszechharmonii Dźwięku, świat pełen ludzi brutalnie egzekwujących swoje rzeczywiste i zmyślone prawa. Gdy przeminie era muzyki, ich brutalność pozostanie i będzie wyzwalała się w podobny sposób w imię jakichś innych ideałów. To był zły świat, bo zniewolenie podniesiono w nim do rangi prawa.

A jak wyglądał mój świat? Nie mogłem istnieć bez Statku, który mi służył, lecz postępowałem zawsze zgodnie z jego instrukcjami, bo to gwarantowało nasze wspólne bezpieczeństwo. U nas nie było otwartej brutalności, ale ja szukałem głębszych, fundamentalnych różnic. Znajdowałem wciąż nowe, lecz ciągle nie były to te, o które mi chodziło.

Pełen gorzkiej satysfakcji odkryłem trudną do zaakceptowania prawdę, że ja także zawsze żyłem w wygodnym, lecz bezwarunkowym zniewoleniu. Nie mając punktu odniesienia, nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Nie chciałem wracać, ale też nie miałem wyboru. Jedynym naprawdę dostępnym dla mnie światem był mój świat, zostałem na niego skazany dawno temu.

Połączony ze Statkiem popędziłem przez przestrzeń, pozostawiając Fantasmagorię jej własnemu losowi. Po kilku minutach poczułem się nieswojo, lecz mój opiekun milczał, widocznie wszystko było w porządku.

Uśmiechnąłem się do siebie. Wokół trwała cisza, której nie zakłócił żaden akord.

– Daj trochę muzyki – powiedziałem do Statku.

Luty 1985

Andrzej Zimniak

19 lipca 1988 roku mija trzeci rok od śmierci Janusza A. Zajdla, najwybitniejszego przedstawiciela polskiej fantastyki socjologicznej, w ostatnich latach życia niekwestionowanego lidera polskich autorów i czytelników science fiction. Przedstawiamy dziś z tej okazji zapis rozmowy jaką w dniu 30 czerwca 1985 r., kilkanaście dni przed śmiercią, przeprowadził z Zajdlem Roman Lipčik. Wywiad ten ukazał się po raz pierwszy w Czechosłowacji w piśmie „Mladý Svět" nr 26/1986. Ponadto na stronie 54 Marek Oramus omawia wznowienie najwybitniejszej według krytyków powieści Janusza A. Zajdla, „Limes inferior".

Oglądane z trzyletniej perspektywy dzieło Zajdla sprawia wrażenie zwartej i przemyślanej struktury, w ramach której odważnie stawia autor czoło ważnym problemom naszego świata.

Toteż będziemy na naszych łamach wracać do tej twórczości w miarę jak wchodzić będą na rynek wznowienia prozy Zajdla przygotowywane w „Alfie", Wydawnictwie Literackim, „Książce i Wiedzy".

(mp)

Ponury raj Janusza A. Zajdla

Roman Lipčik

Nie tak łatwo zabłysnąć w dziedzinie literatury fantastyczno–naukowej w ojczyźnie Stanisława Lema. Przez ponad dwadzieścia lat jego wyjątkowa pozycja była niezagrożona i prawie monopolistyczna.

Lata osiemdziesiąte przyniosły zmianę. Lem praktycznie definitywnie porzucił gatunek, a nadejście nowej fali twórców było tak gwałtowne, że nie dało się go nie zauważyć.

Jednym z nich był dzisiaj czterdziestoośmioletni Janusz A. Zajdel. Chociaż początek jego twórczości przypada jeszcze na lata sześćdziesiąte, to jednak dopiero lata osiemdziesiąte powitał w rozkwicie talentu i nagle znalazł się na wierzchołku piramidy tworzonej przez wielu znakomitych polskich autorów.

- **„Cylinder van Troffa" – najlepsza książka SF w Polsce w 1980 roku (nagroda min. Kultury i Sztuki).**
- **„Limes inferior" – według oceny czytelników, członków Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, numer 4 na liście najlepszych książek SF wydanych w Polsce w latach 1945–1984.**
- **„Wyjście z cienia" – według plebiscytu miłośników fantastyki najlepsza książka lat 1983–1984, a również książka roku 1983 według oceny profesjonalnego jury, powołanego przez redakcję polskiego miesięcznika „Fantastyka".**
- **„Cała prawda o planecie Ksi" – 3 miejsce w plebiscycie miłośników fantastyki obejmującym lata 1983–1984.**
- **I wreszcie – jeszcze nie nagrodzona, nie włączana do wykazów i list przebojów, ale ciesząca się bardzo dużym powodzeniem „Paradyzja" (w wolnym przekładzie „Rajski zakątek"), wzbudzająca lęk wizja tego, co można zrobić z człowiekiem jeśli całkowicie pozbawi się go wolności i podporządkuje interesom władzy.**

W każdym z ostatnich utworów Zajdla społeczeństwo jest na swój sposób chore. A kiedy odwiedziłem go w Warszawie chory był również i autor. Nasza rozmowa przebiegała w nieprzyjaznym pokoju szpitalnym. W tym momencie wydało mi się to symboliczne.

Roman Lipčik: – *Porozmawiajmy przez chwilę o Pana ostatniej powieści – „Paradyzji".*

Janusz A. Zajdel:– Niedawno był u mnie w szpitalu pewien amerykański tłumacz. Fantastyka go nie interesowała, ale ktoś dał mu do przeczytania właśnie „Paradyzję". Był zachwycony i chciał przełożyć ją i wydać w USA jako przykład wykorzystania konwencji literatury fantastyczno–naukowej do tłumaczenia pewnych ogólnych prawd i treści, które w innym opracowaniu nie byłyby tak czytelne.

– *W książce tej podporządkowanie jednostki ludzkiej władzy jest doprowadzone do absurdu. Czy myśli Pan, że jest to realna groźba? Nieodwracalne przeznaczenie? A może to tylko zły sen antyutopistów?*

– Przeznaczeniem ludzkości na pewno to nie jest. Jeśli tylko zaczniemy żyć z tym przeświadczeniem, łatwo będzie nami manipulować. Nic nie jest nieodwracalne. Niebezpieczeństwo jednak istnieje zawsze. Myślę tu o książce, w której chciałbym w formie powieści fantastyczno–naukowej pokazać pojedynek dwóch sposobów kierowania społeczeństwem w postaci starcia społeczeństwa kierowanego centralnie, twardą ręką, ze społeczeństwem, które w znacznym stopniu samo sobą kieruje. I tę walkę wygra społeczeństwo manipulowane. Ten sposób rządzenia jest łatwiejszy, kosztuje mniej trudu i eliminuje wiele niebezpieczeństw. Dlatego ku niemu skłania się władza, która nie jest pewna, że opanowałaby każdą sytuację. W książce „Paradyzja" motyw ten także występuje. Wypuszczenie ludzi na wolność niesie ze sobą określone ryzyko. Mogą zrobić coś złego. Może nie, ale kto wie? Taki eksperyment wymaga dużej odwagi i pewności siebie. Chciałbym, aby moja nowa książka była książką uniwersalną. By nie dawało się jej interpretować w jeden tylko sposób, a mimo to, by pokazywała jasno do jakiego stopnia można manipulować informacjami i społeczeństwem. I jakie uzyskuje się wyniki.

– *Na pewno dałoby się znaleźć wiele źródeł, które Pana inspirowały. Na przykład rosyjski antyutopista Zamiatin także pisze o przezroczystych ścianach mieszkań.*

– To przypadek. Uznałem je za dobry rekwizyt. Moja książka stara się pokazać do czego zmierza nasza cywilizacja – do zapakowania człowieka w paczkę, zawiązania jej... Do stworzenia tak wielkiej zależności od środowiska, że potem przez jedno naciśnięcie guzika można manipulować masami ludzkimi. Zamykać wodę, gaz, prąd lub drzwi. To dobry sposób, jeśli się chce kogoś zmęczyć i uprzykrzyć mu życie. Taka manipulacja jest czasem efektywniejsza niż otwarta represja.

– *Czytając Pana książki wspominam Huxleya, Orwella i innych. W pewnym okresie byli oni niewłaściwie rozumiani. Czy nie boi się Pan, że coś takiego może się zdarzyć i Panu?*

– Moje książki dają tyle możliwości, że każdy tłumaczy je sobie tak, jak potrzebuje. Lektor czy wydawca wybiera wersję, którą chce wybrać i nie czuje się winny. Gdyby posłanie moich książek było jednoznaczne, nie zawsze mógłbym je wydrukować. Jeśli odbiór jest wieloznaczny, wydawca wybiera tę interpretację, która mu odpowiada. W książce „Wyjście z cienia" jest wiele momentów, w których mógłby się on zawahać. Nie zrobił tego. Książka wyszła i podobała się zarówno czytelnikom, jak i krytykom.

– *Pana sukces świadczy o tym, że wybrał Pan dobrą drogę...*

Czasem jednak napotykam przeszkody. Niedawno w jednym z nielegalnie wydawanych czasopism przeczytałem mniej więcej coś takiego: „I fantastyka jest w Polsce w większości skazana na podziemie, choć czasem na oficjalnym rynku pojawiają się tak antysocjalistyczne książki, jak »Paradyzja«". Do zrozumienia prowadzi rzeczywiście nielekka droga.

– *Świat Pana książek jest bardzo smutny. To fantazja, czy przekonanie płynące z własnego doświadczenia?*

– Nie, na szczęście to nie doświadczenie. Po prostu tak to widzę, tak to sobie wyobrażam. I tak piszę. Może po to, by zachęcić moich czytelników do czegoś właśnie odwrotnego, do szukania lepszych wyjść i rozwiązań, do ochrony świata, który mamy. On nie jest znowu aż tak zły. W moich książkach pewne rzeczy nie są prognozą, ale ostrzeżeniem przed nadmiernym napinaniem struny. Dlatego zawsze występują w nich jednostki lub grupy, które myślą inaczej, rozumniej. Oni kiedyś dojrzeją, wzmocnią się na tyle, że swoje myśli przemienią w czyny. Na szczęście żaden świat nie jest nakryty szklanym kloszem, przez który nic nie przenika i nigdy nie przeniknie.

– *W „Paradyzji" jest kilka dość szokujących myśli. Na przykład: Czy naprawdę sądzi Pan, że kiedyś ludzie nie będą wiedzieli co to alfabet?*

– Jeśli będzie tego wymagał interes władzy, może tak się stać. „Alfabetyzm" przeszkadza niekiedy w urzeczywistnianiu celów i idei. Nie ja to odkryłem. Przeczytałem gdzieś, że w przyszłości zadowolimy się pewną liczbą znaków wizualnych, a pisana forma języka zaniknie. Znaki pisarskie umożliwiają przekazywanie myśli w sposób w największym stopniu utrudniający niewłaściwą ich interpretację. Są obiektywne. Obraz czy głos ludzki zawsze nadaje pojęciu specyficzne zabarwienie. Gdy się chce wciąż, na każdym kroku narzucić interpretację rzeczywistości, należy unikać pisma. Wygodniej jest posługiwać się na przykład wizerunkiem zniekształconym przez dodanie rysów szpecących lub idealizujących.

– *A koalang? To analogia orwellowskiego newspeaku, prawda?*

– Tak, ale w mojej książce pełni on zupełnie inną rolę. Newspeak odbierał ludziom niebezpieczne słowa, zubożał język, uniemożliwiając wyrażanie pewnych pojęć. Natomiast mój koalang pozwala porozumiewać się niejako obok potocznej rozmowy. Jest on efemeryczny. W jednej chwili powstaje, a potem znika. Jego słownik nie istnieje. Koalang opiera się na naturalnych cechach inteligencji istot myślących nierutynowo. Policjant, urzędnik, każdy człowiek mający jakąkolwiek władzę, kieruje się najczęściej rutyną. Niekiedy stosunkowo łatwo

można osiągnąć cel przez nieustanne intelektualne napięcie, ciągłe tworzenie nowych sposobów myślenia i myśli tych wyrażania. To właśnie koalang. Chwilami mam wrażenie, że cała „Paradyzja" jest nim pisana.

– Wbrew niektórym krytykom uważam „Paradyzję" za utwór optymistyczny. Chociażby już tylko ze względu na tę pigułkę w zakończeniu. Dzięki niej piramida kłamstw może kiedyś zostać zburzona. Nie poszedł Pan drogą typową dla antyutopisty, drogą nieuchronnie wiodącą do mrocznego końca.

– Chyba dlatego, że jestem optymistą. Książce „Wyjście z cienia" krytyka zarzucała nawet pewną sztuczność happy endu. Tak, jestem optymistą, choć pewnie nie aż takim, jak można by mniemać na podstawie końcowych partii moich książek. Staram się jednak zawsze i we wszystkim znaleźć jakąś jaśniejszą stronę. Mówię jaśniejszą, bo chcę pokreślić, że jest we mnie, wbrew mojej woli, sporo pesymizmu.

– Przez wiele lat był Pan autorem zarówno bardzo oryginalnych, jak i bardzo typowych dla gatunku opowiadań fantastyczno-naukowych. Na debiut powieściowy czekał Pan dość długo, jeśli pominiemy powieść dla dzieci – „Lalande 21 185".

– Tak, nawet i moja druga powieść „Prawo do powrotu" („Právo na návrat" wydana w jęz. czeskim w antologii „Pozemstané a mimozemstané" przez wyd. „Svoboda" w 1981 r. – przyp. R.L.) jest książką fantastyczno-naukową przeznaczoną dla młodego czytelnika. W dodatku powstała ona właściwie z dwóch niezależnych opowiadań tworzących pewną całość. Pierwszą książką, jaką w formie powieści zaplanowałem jest „Cylinder van Troffa" wydany prawie dziewiętnaście lat po moim debiucie („Wynaléz profesora van Troffa", wydana w jęz. czeskim przez wyd. „Mláda fronta" w 1983 r. – przyp. R.L.). Ale i dzisiaj, po następnych czterech powieściach, cenię formę opowiadania. Nie tak dawno wydałem zbiór „Ogon diabła", a w pomysłach, zarysach i notatkach mam ich jeszcze masę.

– Początkowo uważał Pan pewnie, że powieściopisarstwo wymaga większego doświadczenia?

– Nie. W tamtych latach praca zawodowa, a jestem fizykiem jądrowym, pochłaniała mnie tak, że nawet w domu myślałem tylko o niej. Opowiadania powstawały w czasie urlopów, podczas kuracji... Łatwiej jest w krótkim czasie stworzyć zamkniętą całość – opowiadanie, niż fragment powieści. Żeby napisać powieść trzeba przez jakiś czas mieć przynajmniej wolne popołudnia. Jednym słowem, tamte lata sprzyjały opowiadaniom. Później, gdy zmienił się charakter mojej pracy, mogłem już wszystkie popołudnia poświęcić literaturze. Podobnie urlopy, w czasie których powstaje zwykle ostateczna wersja moich książek. Dzisiaj jeszcze chętnie napisałbym opowiadanie, ale mam tyle ambitnych planów, że żal mi i tych paru dni, które bym stracił. To już raczej obmyślam przyszłe intrygi, poprawiam gotowy tekst, notuję pomysły, szkicuję jakieś fragmenty... Dlatego na razie opowiadań nie piszę. Poza tym jest jeszcze jeden, bardzo prozaiczny powód – w Polsce, nie wiadomo dlaczego, chętniej wydaje się powieści niż zbiory opowiadań. Niekiedy szkodzi to utworom, bo ukazują się powieści, które bardzo by zyskały, gdyby zostały „zgęszczone" do opowiadania. Ja staram się nie popełniać tego błędu. Jeśli tylko jakiś fragment wydaje mi się zbyt rozbudowany, wyrzucam go, by w książce nie było dłużyzn. Jeśli można z czegoś zrezygnować nie wpływając na akcję i jej percepcję, to znaczy, że należy tak postąpić.

– Wydaje mi się, że pański zawód silniej wpłynął na wcześniejsze Pana utwory niż na nowe.

– Dzisiaj mój zawód jedynie mnie kontroluje. Nie pozwala za daleko uciec od realności, od „science" do nadmiernej „fiction", a nie daj Boże w tak zwaną fantasy. Tej nie uznaję za podgatunek fantastyki, bo dużo bliższa jest bajce. Wszystko egzaminuję wychodząc z posiadanej wiedzy o świecie fizycznym, a to nie pozwala zbytnio fantazjować. Chcę, aby czytelnik wierzył, że wszystko, co wymyśliłem jest możliwe.

– Fantastyce często zarzuca się, że zapomina iż jest częścią literatury. Do jakiego stopnia, Pana zdaniem, utwór fantastyczno-naukowy musi być jednocześnie dziełem literackim?

– Przede wszystkim nie wolno zapominać o języku. Musi on współbrzmieć z językiem pozostałej współczesnej literatury, nie może sprawiać, by już po pierwszych stronach zniechęcony czytelnik rezygnował z lektury. Nie powinny istnieć zbyt duże różnice w sposobie kreowania świata realnego i wymyślonego. Jednym słowem, fantastyka musi być pisana na poziomie profesjonalnym. Wielu ludzi błędnie sądzi, że łatwiej jest tworzyć fantastykę niż inne gatunki prozy, bo wystarczy mieć tylko dostatecznie nośny pomysł. To dawno już przestało być prawdą.

– Dlaczego o tym mówię, wydaje mi się, że właśnie stronę literacką swojej ostatniej książki potraktował Pan dość lekko. Bardziej przypomina ona literacki scenariusz niż powieść.

– „Paradyzję" pisałem bardzo szybko, a potem już do niej nie wracałem. Można by powiedzieć, że tworzyłem ją jednym tchem od początku do końca, bez jakichkolwiek poprawek czy uzupełnień. Pragnąłem w ten sposób utrzymać specyficzną atmosferę tej książki, a każda przerwa mogłaby ją zniweczyć. Tego nie chciałem. „Paradyzja" powstawała w szczególnym okresie naszej historii, na początku lat osiemdziesiątych. Zgadzam się z pańskim zarzutem. Ma Pan rację. Jest to raczej zarys, szkic, a nie powieść we właściwym tego słowa znaczeniu. Miałem wciąż wrażenie, że widzę opisywane sytuacje. Rzeczywiście, to tak, jakbym tworzył scenariusz.

– A teraz zupełnie inne pytanie: w jakim stopniu fantastyka może lub ma pełnić rolę literatury rozrywkowej? W ostatnich powieściach Lema obserwujemy pewną skrajność – rozrywka prawie zniknęła, a została ciężka, rozmyślająca, dociekająca literatura. Natomiast Pana książki są moim zdaniem bardzo wyważone, trudne myślowo, a przy tym interesujące.

– Literat, który chce swoim czytelnikom powiedzieć coś ważnego i dlatego ucieka się do fantastyki, powinien pamiętać o tym, że udział elementów tworzących rozrywkową warstwę jego książki powinien być znaczny. Inaczej nie będzie ona czytana. Jeśli udział ten jest prawie zerowy i pozostaje tylko traktat filozoficzny, utwór nie mieści się w gatunku, albowiem czytanie fantastyki musi stanowić rozrywkę. I jeszcze jedna rzecz, wcale nie błaha. Nakład takiej książki będzie mniejszy, bo wydawcy muszą liczyć się z tym, że przeciętny czytelnik nie jest nieprzeciętnie wykształcony. W większych nakładach, charakterystycznych dla literatury rozrywkowej, ważne myśli, które autor zawarł w swoim, na pierwszy rzut oka rozrywkowym utworze, dotrą do szerszego grona odbiorców. Nie każdy je zrozumie, ale wraz z nakładem rośnie też prawdopodobieństwo trafienia książki do jej właściwego adresata. Utwór idealny, moim zdaniem, to ten, który oprócz rozrywki daje też pewną inspirację, podnietę do rozmyślań na jakiś temat. Składniki te powinny być wyważone, najpierw zabawa, rozrywka, a potem drugie dno. Niekiedy i trzecie. Drugie dno niesie myśl, a to trzecie występuje wtedy, gdy autor napisze coś, jakby to powiedzieć... w koalangu. Aha, „Paradyzja" początkowo nosiła tytuł „Trzecie dno".

– To są piękne teorie, ale w praktyce jest trochę inaczej. Na Zachodzie króluje fantastyka rozrywkowa, u nas z kolei do niedawna, a po trosze i dzisiaj mentorskie, niestrawne dzieła typu Jefremowa. Ostatnio również Lema. Może i niosą one ważne treści intelektualne, lecz trudno je czytać.

– Fantastyka krajów obozu socjalistycznego, a zwłaszcza fantastyka radziecka, bo od niej wszystko się zaczęło i stamtąd, dosłownie, otrzymaliśmy pozwolenie na wydawanie książek tego typu, wywodzi się z utworów bardzo poważnie opisujących przyszłość świata w kategoriach ściśle ideologicznych. Literatura taka nie otwierała zbyt szerokiego pola dla fantazji. Na to była za silnie ukierunkowana. I dlatego jej sztandarowe utwory są dziś tak mało czytelne. Miały one przecież przede wszystkim nieść ważne posłanie – posłanie ideologiczne. Z czasem wymaganie to zostało złagodzone, być może pod wpływem anglosaskiego nurtu science fiction, który wtedy właśnie zaczął do nas docierać. Ale wciąż jeszcze, chyba mocą jakiegoś bezwładu, przeszłość ciąży na tym nurcie literatury radzieckiej i sprawia, że oprócz nielicznych wyjątków jak Bułyczow ze swoją satyrą czy bracia Strugaccy z filozoficzno-etycznym pojęciem fantastyki, nie potrafi ona łączyć rozrywki z intelektualnym przesłaniem. Nasza, socjalistyczna fantastyka różni się od zachodniej także dlatego, że wywodzi się z odmiennych lęków. Amerykanie boją się nie tego co my i własne obawy przetwarzają w koszmary, jakimi się straszą. Nas nękają inne wizje, wizje problemów, które nam grożą, wydarzeń, przed którymi trzeba ostrzec, zjawiska, które utrudniają lub utrudnią nam życie, a spotęgowane mogą wyrządzić wiele zła.

– Wrócę jeszcze do Lema. Obydwaj macie dużo do powiedzenia, a każdy z panów czyni to w innej formie. Pan stara się zdobyć czytelnika, zainteresować go... Lem chyba wprost przeciwnie. A nie taki był na początku.

– Sytuacja jest paradoksalna. To właśnie dzięki książkom Lema zacząłem interesować się fantastyką. Wychował on całe pokolenia polskich autorów. A z drugiej strony z różnych jego wypowiedzi wynika, że fantastykę uważał zawsze za podrzędny gatunek literacki i najchętniej swojej twórczości do niej by nie zaliczył. Lem, posługując się fikcją, chce być jednocześnie uważany za pisarza głównego nurtu. Znamienne jest chyba to, jak uparcie podkreśla, że najpierw powstała realistyczna powieść „Czas nieutracony". Lecz nie nią debiutował. Choć już istniała, pierwsze ukazały się właśnie jego książki przygodowo–fantastyczne. Jedna z nich ma być wkrótce ponownie wydana. Nie zawiera ona głębszych myśli. Służy tylko rozrywce.

– Powiedział Pan: „Ostatnie utwory Lema wychodzą poza ramy gatunku". Dlatego pytam, moim zdaniem słusznie: Jak się Pan czuje na zwolnionym tronie?

– Przede wszystkim mam wrażenie, że jeszcze na nim nie siedzę. Oczywiście, bardzo byłoby mi miło, gdyby kiedyś tak się stało. Ale z drugiej strony boję się trochę odpowiedzialności, jaka z tym się wiąże. W ogóle, z powodów czysto kondycyjnych, jak to się mówi w żargonie sportowym, najchętniej powstrzymałbym się od komentarzy na ten temat. Mam przygotowane w zarysach trzy, jeśli nie cztery książki. Myślę o nich od dawna, ale żadnego z tych pomysłów nie zacząłem realizować. Po prostu od napisania „Paradyzji" przebywam bądź w szpitalu, bądź wprawdzie w domu, ale słaby i wyczerpany. I boję się, że już nie zdążę...

Przełożył **Sławomir Sączek**

Boże, błogosław spekulantów!

W komiksach najbardziej pociągają mnie sceny uliczne. Frapujące zajęcie: oglądać stroje (lub ich brak), zachowanie, rozrywki, nawet mimikę osobników z dalekiej planety albo równie dalekiej przyszłości. Rysownicy wysilają łby, abym mógł jak przez uchyloną klapkę zajrzeć w inną rzeczywistość. Czy aż tak bardzo inną? Bardzo ciężko oderwać się wyobraźnią od realiów, o tym zaś, jak trudno wykoncypować nowy strój albo fryzurę, świadczy dobitnie wysiłek projektantów mody i fryzjerów doby współczesnej.

Być może właśnie owo kręcenie się w kółko, międlenie motywów, dumanie na siłę, czego by tu jeszcze dodać albo ująć, co zmienić, żeby efekt wydawał się dziwny, odmienny, oryginalny – sprawiły, iż pokazywanie społeczeństw na terenie SF uznane zostało za czynność niewdzięczną, mało obiecującą, poza mordęgą i znojem. Większość autorów usiłuje tę przeszkodę tak czy owak omijać, prześlizgiwać się nad tymi porohami czółnem wyobraźni. O skali trudności świadczy choćby fakt, że sam tytan Lem w „Powrocie z gwiazd" migał się od tej powinności jak umiał; Hal Bregg mało kiedy spotyka więcej niż dwie osoby naraz, przez większość akcji powieści samotnikuje, a nieliczne sceny z udziałem miasta czy tłumu sprawiają wrażenie wciśniętych z musu i rozczarowują. Jest i odwrotna strona medalu: ci, którzy porwali się na opis społeczeństwa, oczywiście z jednym lub kilkoma bohaterami wyeksponowanymi, z reguły dali utwory bardziej satysfakcjonujące. Klasyków antyutopii wymieni każdy; w jakiś sposób dołączył do nich Janusz Zajdel, który z tej supertrudnej dyscypliny socjologicznej uczynił specialité de la maison.

Jak będzie wyglądać społeczeństwo XXI wieku? Żeby je zobaczyć, dość wyjść dziś na ulicę. Dość było wyjść pod koniec lat siedemdziesiątych, gdy Zajdel zaczynał serię swych powieści socjologicznych. Tworzyć je będą w większości dzisiejsi przechodnie. Oczywiście najstarsi z nich wymrą, inni się zestarzeją, dzieci wydorośleją, na ich miejsce pojawią się nowe... lecz pod względem przekroju wiekowego niewiele się zmieni. Sytuacja ekonomiczna? Cóż, minione lata surowo przywołały do porządku tych, którym XXI wiek jawił się na rodzimej ziemi czasem nieprzebranej obfitości – lecz przecież i w skali świata nie rysuje się to tak różowo jak zapowiadano. Janusz Zajdel z tych i podobnych obserwacji (a obserwatorem był bacznym) wyciągnął rewelacyjny w swej prostocie wniosek: społeczeństwo przyszłości można modelować, dozując zmiany w jego kształt teraźniejszy, wszystkim doskonale znany. Od niego należy startować. Dla osiągnięcia fantastycznego efektu nie trzeba wielu przekształceń, ot, pieniądz zastąpić punktami, usankcjonować urzędowo różnice między ludźmi, dowód osobisty i książeczkę oszczędnościową zastąpić Kluczem – i już. Nasza rzeczywistość chętnie poddaje się tego typu zabiegom, sama w sobie wystarczająco fantastyczna, by chciało się nad nią pracować.

To fakt, że w książkach Zajdla znajdziemy do woli elementów z polskiej codzienności, i „Limes inferior" nie jest tu żadnym wyjątkiem. Głowę dam (kto weźmie?), że pomysł tej powieści narodził się z obserwacji cinkciarskiego światka, atakującego przechodniów pod bankami dewizowymi. Istnienie czarnego rynku, nie tylko walutowego, wynika ze słabej przystawalności do życia odgórnych ustaleń, usiłujących normować pewną część działań obywateli. W Argolandzie Zajdla utrzymywanie czarnego rynku, bardzo zresztą potężnego i wszechstronnego, o którym władza doskonale wie, wynika z prostej kalkulacji rządzących: pogodzić się z istnieniem kameleonów, lifterów, downerów i całej reszty tej miejskiej fauny jest łatwiej niż naprostować przepisy. Warunkuje to sytuacja, na którą ludzie mają niewielki wpływ, bo została im narzucona. Nie mogą jej zmienić; próbują się adaptować. Stąd rozziew między oficjalną a nieoficjalną postacią stosunków społecznych; Zajdel posuwa się nawet do tego, że ów znakomicie spisujący się czarny rynek uznaje za niezbędny, by wydumany porządek społeczny nie zawalił się pod ciężarem własnej abstrakcji: *Nielegalni fachowcy nie udawali, że pracują. (...) Tylko bowiem oni – przez zawistnych współobywateli zwani pasożytami – byli w istocie jedynym bezspornie niezbędnym składnikiem społeczeństwa Argolandu, jego florą bakteryjną, ułatwiającą przebieg procesów społeczno-ekonomicznych, smarem umożliwiającym funkcjonowanie tego wymyślonego, sztucznego systemu, który bez nich zgrzytałby o wiele głośniej i zacinałby się katastrofalnie.*

Jakiż to system? Muszę przyznać, że ten pomysł Zajdla jest wielce oryginalny. Przybysze spoza Ziemi narzucili ludzkości model, który podobno sprawdził się u nich (choć jak to wygląda, naprawdę nie wiadomo). Społeczeństwo zbudowane jest na wzór atomu: przestrzeń społeczna została skwantowana, czyli jakby podzielona w nieciągły sposób, na siedem poziomów. Odpowiadają one orbitalom atomowym i określają przydatność umysłową obywateli, od zera do minus sześciu. Poszczególny obywatel – jak elektron w atomie – może przyjąć jedną z klas, bez stanów pośrednich. Poza tą strefą znajduje się obszar continuum, dostępny tylko dla wolnych elektronów, a więc dla najbardziej inteligentnych przedstawicieli społeczeństwa, tak zwanych nadzerowców. System Zajdla, na papierze przyjemny dla oka i względnie spójny, po zastosowaniu rozbiega się, ponieważ lekceważy interesy pojedynczego atomu. Fizyce kwantowej jego los może być obojętny, natomiast system społeczny o podobnym podejściu należy z góry spisać na straty. Utrzymywanie go wymaga dodatkowych zabiegów w postaci permanentnej kontroli, ukrywania prawdy, czasem stosowania siły. Nieustanne balansowanie między aspiracjami obywateli a zasadami narzuconymi przez opaczną teorię stało się zmorą gniotącą pierś władzy w Argolandzie.

Względny dobrobyt, jaki tam panuje, nie ma nic wspólnego z miękkim sercem ministra gospodarki, który dużo łoży na spożycie, a mało na zbrojenia (wszak podbitym broń niepotrzebna). Zawdzięczać go należy wymogom kontroli; innymi słowy jest to po prostu metoda znakowania społeczeństwa. *Każdy krok każdego obywatela znaczony jest kolorowymi punktami zostawionymi na jego drodze: w sklepie, w automacie barowym, w klinie, w bramce metra, na Kluczu dziwki. Zamiast śledzić obywatela, wystarczy przejrzeć zapis bankowy jego wydatków. Jeśli wydaje, to znaczy, że żyje. Jeśli żyje – musi wydawać, brocząc punktami jak ranny zwierz, dopóki wszystkie z niego nie wyciekną. Więc o to właśnie chodzi: by miał zawsze choć trochę, bodaj tych czerwonych, bo inaczej straci się go z oczu.* Ale nawet ta szatańska metoda nie jest stuprocentowo skuteczna. Rzeczywistość społeczna, która się wytwarza w wyniku gry tysiąca czynników, polega na ustaleniu pewnego kompromisu. Jak długo taki kompromis satysfakcjonuje obie strony, tak długo utrzyma się chwiejna równowaga między nimi.

Pewne oznaki wskazują, iż sprzeczności w Argolandzie nasilają się. Liftowanie osiągnęło już takie rozmiary, że mało kto zasługuje na rzeczywistą klasę – z drugiej strony najinteligentniejsi ukrywają swe zdolności, by nie pracować za psi grosz, to jest, chciałem powiedzieć, za psi punkt. „Limes" to poniekąd Bildungsroman, poświęcony dojrzewaniu argolandzkiego liftera, 40-letniego Adi Cherrysona alias Sneera, postaci wzorowanej na osobie, a i losach Adama Wiśniewskiego-Snerga. Sneer zna mechanizmy rządzące społeczeństwem, boć przecież na nich żeruje – lecz dopiero w tak późnym wieku próbuje ogarnąć całość zagadnienia. Nadzerowcy, między których zostaje w końcu powołany, sprawiają z bliska wrażenie dobrotliwych wujaszków, którym tylko dobro szóstaków leży na sercu. Brak mi opisu rozprężenia panującego w continuum, objawów załamania, pijaństwa, aktów desperacji itp. Jedynym sygnałem jest ten o wypisaniu hasła przeciw obcym – dwukilometrowymi literami w ścianie lasu, by było widać z góry. Efekt? *Tego z lasu zamknęli w klinice. A las walą jak leci.* Takich smaczków znajdziemy w powieści bez liku; zwis jest równie powszechny jak wykształcenie wyższe, a odzywki przedstawicieli miejskiej fauny („Czas to punkty", „Póki Klucz w garści, w sercu nadzieja", „Punkty idą do punktów") ubarwiają atmosferę i dodają sytuacjom wiarygodności.

W dyskusji prasowej Krzysztof Boruń nazwał „Limes inferior" fantastyką ekonomiczną. Racja, lecz ekonomia niewiele ma wspólnego z jej centralnym zagadnieniem. Jest nim gra prowadzona przez nadzerowców o uratowanie własnej rasy, o jej przetrwanie. Utrzymują oni system i dozorują, by nie następowały większe odchylenia od stanu równowagi. Otumanienie społeczeństwa, pogrążenie go w pogoni za punktami, w piwno-elektronicznej kulturze, poświęcenie jego morale – służą grze na zwłokę w myśl poglądu, że lepsze społeczeństwo w masie głupsze, zdemolowane, spsiałe i zdziadziałe – od żadnego. Optymistyczne, choć mało realne, wydaje mi się, że w tych warunkach nadzerowcy wciąż podlegają selekcji pozytywnej. Drugim powodem do optymizmu jest dostatek piwa w nieszczęsnym Argolandzie. Wiem z autopsji, że nie jest to wszechświatowa norma.

Marek Oramus

PS. Książka została opatrzona tak infantylną okładką, że nadaje się tylko do zamalowania na czarno. Właśnie tego typu straszydełka pracują na opinię SF jako literatury debilnej, dla „skrajnych szóstaków".

Janusz A. Zajdel: *Limes inferior*. Seria Fantastyka – Przygoda. Iskry, Warszawa 1987. Cena 240 zł.

■

Uśmiech kota

Wydanie przez „Alfę" felietonów Macieja Iłowieckiego, w większości pisanych dla „Fantastyki", stanowi dobrą okazję do zastanowienia się nad pewnymi ogólnymi cechami pisarstwa tego tak popularnego autora.

Maciej Iłowiecki (sam biochemik z wykształcenia) potrafi znajdować we współczesnej nauce pasjonujące tematy i pisać o nich w sposób przystępny i interesujący. To już bardzo wiele, ale specyficzna siła felietonów pana Macieja polega, jak sądzę, na kryjącej się za nimi osobowości autora.

Gdyby pokusić się o próbę scharakteryzowania światopoglądu autora tych felietonów, można by powiedzieć, że jest to ktoś, kto entuzjastycznie akceptuje świat i znajduje szczególną przyjemność w odkrywaniu (sobie i innym) jego dziwności. Zdradza to między innymi wybór tytułu, powołanie się na Alicję, która była w Krainie Czarów i Po Drugiej Stronie Lustra. Dla Macieja Iłowieckiego świat nauki nie jest więc gmachem, jak dla większości popularyzatorów, do których przywykliśmy, lub autorów programów szkolnych. Jest raczej pełnym sprzeczności procesem, wędrówką przez dżunglę na nieznanej planecie. Rezultat tej wędrówki to spis nowych wspaniałych pytań i zagadek. Przypomnijmy „podsumowanie" jednego z felietonów („Barometr meduzy"): *Zastanawiam się czasem, dlaczego rozwiązania techniczne dokonane przez ludzi są często tak zdumiewająco podobne do rozwiązań naturalnych zdziałanych przez ewolucję? Jak to się dzieje, że myśl ludzka wciąż – niezależnie – wpada na te same rozwiązania, jakich dokonała kiedyś natura? Myślę oczywiście o tych przypadkach, kiedy wynalazcy nie znali odpowiednich wzorów biologicznych. Czy więc ludzie, zwierzęta i rośliny stosują te same rozwiązania konstrukcyjne dlatego, że dla podobnych lub tożsamych funkcji istnieją tylko jedne, najlepsze rozwiązania? Czy funkcja aż tak określa strukturę? Chyba nie, bo z kolei właśnie w świecie istot żywych można znaleźć wielką liczbę przykładów zastosowania różnych rozwiązań „technicznych" do spełniania tych samych funkcji.*

Mamy więc jako wynik rozważań pewnego tematu same prawie pytania. Cały pan Maciej! Nawiasem pisząc, św. Tomasz, który przez całe wieki był w naszej cywilizacji największym autorytetem od łączenia teologii ze szczytowymi osiągnięciami nauk przyrodniczych (to znaczy ze starszym o 16 wieków Arystotelesem – czy to nie fantastyka?) wyjaśniłby w odpowiedzi, że chodzimy przecież po śladach Boga.

Wspomniany na początku uśmiech Kota-Dziwaka często wydaje się gościć również na obliczu naszego autora. Nie zawsze jednak jest uśmiechem dobrodusznym. Maciej Iłowiecki ze szczególną satysfakcją wydaje się brać na warsztat te odkrycia, które kwestionują utrwalone poglądy w jakiejś dziedzinie. Jakby mówił: no i co teraz, panowie profesorowie, wasz ruch. Iłowiecki niedwuznacznie daje do zrozumienia, że jest zwolennikiem właśnie ruchu, że jest przeciwnikiem redukcjonizmu, który starając się za wszelką cenę sprowadzać rzeczy nie znane do znanych, prowadzi do zamykania oczu na zjawiska nie poddające się redukcji. Typowym wyrazicielem takiej postawy (można by powiedzieć – obskurantyzmu naukowego) jest cytowany przez autora anonimowo fizyk: *Jest to ten rodzaj rzeczy, w którą nie uwierzę, nawet gdyby istniała naprawdę.*

To nie przypadek, że Maciej Iłowiecki należy do ulubionych autorów właśnie czytelników „Fantastyki". Dynamiczne i romantyczne spojrzenie na świat, nie maskowana uciecha z jego dziwności zbliżają go do ludzi, którzy w literaturze czują szczególny pociąg do science fiction. Na dowód tego podobieństwa można przytoczyć choćby felieton „Szósty zmysł" traktujący między innymi o stwierdzeniu u niektórych ludzi zmysłu magnetycznego. Jeżeli przypomnimy sobie, że osobnik wyposażony w taki zmysł jest bohaterem powieści J. Verne'a, to zaczynamy się zastanawiać, czy stary Francuz nie korzystał z jakichś współczesnych badań, zapomnianych później, bo nie pasujących do wyobrażeń o „naukowości" z przełomu wieków.

Czytając o niesamowitych ilościach informacji zawartych w kodzie genetycznym możemy przypomnieć sobie napis z antycznej świątyni w Delfach: POZNAJ SAMEGO SIEBIE. Czy nie nabiera on nowego i niespodziewanie konkretnego znaczenia? Ale znany kłopot ze słowami wyroczni polega na tym, że stają się one zrozumiałe, kiedy przestają być potrzebne.

Wędrując z Maciejem Iłowieckim wśród odkryć, hipotez i zagadek ocieramy się o Tajemnicę Największą. Jak w felietonie „Kamień do odwrócenia", kiedy jeden z najwybitniejszych biologów radzieckich N.P. Dubinin mówi: *Wydaje mi się, że do powstania życia nie wystarczył sam budulec. Potrzebny był jeszcze jakiś – jak dotąd bliżej nam nie znany – zapłon.*

Nie ulega wątpliwości, że zebrane w książce felietony nie są przypadkowym zbiorem, ale układają się w całość ważną i sympatyczną. Wydawnictwom „Alfa" należy się pochwała za wydanie jej w nakładzie 60 tysięcy i choć szata graficzna sugeruje raczej książkę dla dzieci, to nie stało się nic złego, bo przecież czytelników trzeba łapać za młodu, żeby im skorupka nasiąkła. W starannie opracowanej książce rozbawił mnie kiks na str. 67. „Trzeciorzędna fauna" zasługuje na popularyzację.

Lech Jęczmyk

Maciej Iłowiecki: *Z tamtej strony lustra*. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1987 r. Cena 300 zł.

W dobrym towarzystwie

Zbiór opowiadań Rafała A. Ziemkiewicza – jeszcze jeden debiut, który się ukazuje za późno. Właściwie powinniśmy dostać tę książkę na przełomie sezonów 1984/85; moglibyśmy pospierać się przy jej okazji o parę spraw. Tymczasem, podobnie jak kiedyś Zwikiewicz z „Drugą jesienią" czy Oramus z „Sennymi zwycięzcami", teraz Ziemkiewicz został skarcony za zaciekłość i odwagę. Zupełnie słusznie, niech się młodzi uczą pokory!

W momencie oddawania gotowej książki do „Alfy" Ziemkiewicz był dziewiętnastolatkiem, członkiem warszawskiej grupy TRUST, jednym z ciekawszych i płodniejszych autorów czwartej generacji. Nie sądzę, co prawda, by popełnił dzieło na miarę wspomnianych powieściowych tytułów, ale przyznaję, że piórem operował już sprawnie. Otrząsając się z gatunkowych automatyzmów odsłaniał przed czytelnikami drapieżne wizje skrachowanych społeczeństw, zaludnionych przez zakłamanych pilotów, dwuznacznych detektywów, okrutnych dzieciaków, cynicznych polityków, odmóżdżonych policjantów i wojskowych. W opowiadaniach utrzymanych w konwencji realistycznej rozwijał Ziemkiewicz tę wizję świata, którą przynosiły, oprócz wymienionych, powieści Zajdla, Wnuka-Lipińskiego. Ale robił to bardziej hałaśliwie, w większym stopniu niż tamci zapożyczając się w skarbnicy gatunku. Stłoczył w swej prozie wątki i elementy gotowe, takie jak kosmiczne miasta, uczłowieczone roboty, myślące komnaty, wymóżdżające operacje, zdradzone rewolucje, policyjne intrygi, wędrówki dusz, wielkie role zagrane wbrew woli. Znam jeden z powodów, dla których Ziemkiewicz był od poprzedników ostrzejszy. Oni pisali u schyłku lat siedemdziesiątych, autor „Władcy szczurów" odreagowywał doświadczenia następnej dekady.

Poza tym był młodszy – a więc nieumiarkowany. Szczerze mówiąc poetyka opowiadań zgrupowanych w tomiku brzmi dla mnie odważnie, ale chwilami także nieznośnie. W pewnym wieku człowiek bardziej od akcji ceni emocje, nad zapis barwnych wydarzeń zaczyna przekładać wiarygodne i pogłębione wizerunki charakterów. Oceniane z tego punktu widzenia, dostarczają opowiadania kilkunastoletniego autora mniej satysfakcji. Zdyszana akcja, demaskatorski zamiar wymierzenia policzka podłościom świata, nie pozostawiają często miejsca na introspekcję, półtony i zadumę. Te opowiadania zaadresowane są do rówieśników, współpokoleniowców Ziemkiewicza (autor podkreśla to w dedykacji tomiku), którzy zrozumieją go niejako w pół słowa, nie dostrzegając braku drugiej połowy.

Oto jeden z tematów sporu, który moglibyśmy sobie zafundować cztery lata temu, choć i teraz nie jest pewnie za późno. W którą stronę winniśmy pójść, na co postawić – na wartość i pomysłowy montaż wydarzeń czy głębokość analizy? Na sprawne rozegranie amerykańskich wzorów fantastyki „Złotego Wieku", czy ryzykowny eksperyment literacki? A może generacje i autorzy powinni, zgodnie ze skłonnościami, podzielić się zadaniami?... Sprawa druga, to wybór konwencji. Ziemkiewicz sprzed pięciu lat (przyznaję – z konsekwencją budzącą szacunek) uprawiał tematykę socjologiczną w konwencji realistycznej. W wyniku takiego wyboru miał określone kłopoty. Autorzy zgrupowani w „Trzeciej bramie", a także inni, jak Kochański, Bondel, Kajman, Synowiec wypowiadali się również przy pomocy wizji fantasmagoryjnych, surrealistycznych. Jako młody krytyk Ziemkiewicz zwalczał tę odmianę. Podejrzewam – niesłusznie. Możliwość wcześniejszego porównania jego prozy z tamtą pomogłaby nam lepiej zrozumieć zalety i wady obu konwencji. A więc i granice tego co się da wyrazić w każdej z odmian. Ta fantasmagoryjna nie jest na przykład poręczna do ujawniania sekretów socjotechnicznych gier, Ziemkiewicz robi to lepiej. Z kolei metaforyczni surrealiści mądrzej chyba, mniej plakatowo wchodzą w istotę Dobra i Zła i ich dwoistej obecności w naturze człowieka; ciekawiej kreują egzotyczną Inność. Konwencje awanturnicze i rozrywkowe są pod tym względem mniej pojemne. Powtarzam – moglibyśmy to rozważać już cztery lata temu, zamiast imitować programowe dyskusje głupim sporem o to, kto – „Trzecia brama" czy grupa TRUST – lepiej reprezentuje czwartą generację.

Uważam „Władcę szczurów" za, w połowie, atrakcyjną lekturę i w całości za ciekawy dokument stanu ducha dużej części młodych autorów. Najlepsze w tomie jest według mnie opowiadanie tytułowe (wymienione zarzuty dotyczą go w mniejszym stopniu) i „Hellas III". Teksty dłuższe przekłada autor strzępami tzw. „Notatnika". Są to mądre i zręczne short stories, najciekawsze z tych jakie w polskiej i światowej SF kiedykolwiek czytałem. Przesłanie całego tomu przepisuję z opowiadania tytułowego: *człowiek rodzi się dobry, zła uczy go życie.* Brecht formułował to bardziej poetycko – *człowiek ku dobru dąży nie ku złu / ale warunki przeszkadzają mu.* Z tym dążeniem do dobra różnie bywa, ale tak czy owak Ziemkiewicz obraca się ze swą konstatacją w dobrym towarzystwie.

Maciej Parowski

Rafał A. Ziemkiewicz: *Władca szczurów – opowiadania*. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1987. Cena 260 zł.

Popik Emma

(ur. 1949)

Filolog, autorka fantastyki

Urodziła się 9 marca 1949 r. w miejscowości Skępe. Ukończyła filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim. Była nauczycielką szkoły podstawowej i średniej, asystentką w bydgoskiej WSN. Redaktorka w Wydawnictwie Instytutu Morskiego. Członek amerykańskiego stowarzyszenia „Mutual UFO Network". Autorka wielu artykułów na temat Niezidentyfikowanych Obiektów Latających zamieszczonych w periodykach Stanów Zjednoczonych, Finlandii, Anglii i Chin.

Jako autorka fantastyki debiutowała opowiadaniem „Mistrz" („Fantastyka 1983/3). Swoje teksty zamieszczała również w „Przeglądzie Technicznym" i „Almanachu Literackim Młodych". W 1986 r. ukazał się jej zbiór opowiadań **„Tylko Ziemia"** (Iskry, Warszawa; zawartość: Aż się staniemy jako bogowie, Maszyna, Nadejście Fortynbrasa, Mistrz, Myto, Telerodzinka, Dzień jak co dzień, Krzak ciernisty, Lekcja wychowania obywatelskiego, Heretyk, SOS, Szaman, Dziedzina).

Opowiadania Emmy Popik dość luźno łączą się z konwencją SF. W swych metafizycznych, katastroficznych obrazach, autorka poszukuje nowych wartości, odwołuje się jednocześnie do mitologii, szamanizmu, klasycznych wątków kulturowych, operując wizjami na pograniczu nauki i transcendencji.

Potocki Jan

(1761-1815)

Historyk, literat, podróżnik

Urodził się 8 marca 1761 w Tarnopolu, jako syn Józefa Potockiego, krajczego koronnego oraz Anny Teresy z Ossolińskich. Otrzymał staranne wykształcenie zagraniczne. Lata młodzieńcze spędził na studiach w Genewie i Lozannie, poznał idee francuskiego oświecenia. Do kraju wrócił już po rozbiorze Polski, zastając dom rodzinny pod panowaniem austriackim. W 1779 r. odbył kampanię bawarską, był posłem na sejm 4-letni, założył Drukarnię Wolną (1788-1792), ale tak naprawdę, bardziej niż polityką, zajmował się podróżami i kwestiami naukowymi. W latach 1778-1779 zwiedził Włochy i Sycylię, zatrzymał się na Malcie, skąd odbywał wyprawy morskie jako kawaler maltański. W 1783 r. ożenił się z Julią księżniczką Lubomirską, znaną z nadzwyczajnej piękności, ale już w rok później ponownie wyjechał za granicę. Zwiedził Konstantynopol, Aleksandrię, Kair, widział piramidy w Gizeh, był w Wenecji, wreszcie osiadł w Paryżu, gdzie przez kilka lat oddawał się studiom literackim i artystycznym. Potem walczył o niepodległość Holandii, do kraju wrócił dopiero w 1788 r., ale i tu nie przerwał swych zajęć naukowych. Ogłosił drukiem „Voyage en Turquie et en Egypte fait en 1784" – „Podróż do Turcji i Egiptu", a w 1789 r. wydał głośne do dziś „Uwagi nad historią powszechną oraz badania historii Sarmacji" (postawił w nich tezę o autochtonicznym pochodzeniu plemion słowiańskich). Po trzech latach pobytu w Warszawie wyjechał ponownie do Paryża, następnie do Hiszpanii i Maroka. Swoje podróże opisał w historii „Voyage dans l'empire de Maroc" (1792), w następnym roku przebywał w Niemczech, wreszcie wrócił do Polski, po to, aby... towarzyszyć Blanchardowi w locie balonem nad Warszawą (start odbył się 14 maja 1790 roku z ogrodu marszałka Mniszka, Potocki zabrał ze sobą ulubionego Turka i białego pudla – wylądował szczęśliwie na Woli).

Zagraniczne podróże sprawiły, że Potocki zapisał się jako jeden z ciekawszych umysłów w dziejach kultury polskiej. Początkowo zamierzał zgromadzić i przełożyć na francuski wszystkie dawne kroniki, pamiętniki i pisma dotyczące dziejów ludów słowiańskich. W 1793 r. wydał w Warszawie pierwszy tom tego zbioru „Kroniki, pamiętniki i badania do historii wszystkich krajów słowiańskich służące, a obejmujące koniec IX wieku ery chrześcijańskiej". W 1794 r. ogłosił w Hamburgu „Podróż do niektórych okolic niższej Saksonii w celu badania starożytności Słowian i Wenedów" a w 1796 r. „Ułamki historyczne i geograficzne o Sycylii, Sarmacji i Słowianach" (Brunszwik). W roku następnym wyjechał na Kaukaz, śledząc i sprawdzając prawdziwość opowieści Herodota i innych autorów starożytnych. Dziennik z tych podróży (w formie rękopisu) zawędrował do Biblioteki Towarzystwa Filozoficznego w Filadelfii i dopiero w 1828 r. został wydrukowany częściowo w rosyjskim czasopiśmie „Siewiernyj Archiw".

Owocem dwudziestoletnich badań Potockiego stała się jego „Historie primitive des peuples de la Russie" wydana w 100 egzemplarzach w Petersburgu w 1802 r. Dedykowana carowi Aleksandrowi sprawiła, że Potocki został mianowany radcą tajnym w departamencie spraw zagranicznych, ale nawet ta nominacja nie zatrzymała go w Petersburgu. Już w następnym roku wyjechał do Włoch i we Florencji wydał kolejną pracę o „Dynastiach królów egipskich opisanych w drugiej księdze Manetona".

Przez kilka lat przebywał Potocki w swoich dobrach na Podolu, zimy spędzał jednak w bibliotece Krzemienieckiej. Już jako członek, Towarzystwa Przyjaciół Nauk ogłosił w 1810 r., w Petersburgu, „Zasady archeologii do czasów poprzedzających Olimpiady" oraz „Atlas archeologiczny Rosji Europejskiej". Po kampanii napoleońskiej w 1812 r. powrócił do Polski na stałe, do swego majątku w Uładówce na Ukrainie i tu 2 grudnia 1815 r. ogarnięty melancholią strzelił do siebie przy śniadaniu z pistoletu nabitego srebrną kulką, stanowiącą jedną z ozdób cukiernicy...

*

Do klasyki fantazji europejskiej należy bez wątpienia **„Rękopis znaleziony w Saragossie"**, który szkatułkową konstrukcją treści nawiązuje do baśni z „Tysiąca i jednej nocy" („Manuscrit trouvé à Saragosse, Fragments d'un roman", t. 1-2 Petersburg 1804-1805, przekł. polski: E. Chojecki, „Rękopis znaleziony w Saragossie", Romans wydany pośmiertnie z dziel, t. 1-6, Lipsk 1847; przekład dokonany z wersji rękopiśmiennej daje jedyny, zachowany przekaz całości; wyd. powojenne: oprac. M. Toporowski, t. 1-3, Warszawa 1950; przekł. m.in. angielski, niemiecki, włoski). Tematem historii jest relacja z 66 dni życia bohatera Alfonsa van Worden, który uczestniczy w tajemnych poczynaniach mauretańskiego rodu Gomelezów pragnącego odzyskać Hiszpanię dla islamu. W początkowych partiach utworu dominuje fantastyka wywodząca się z powieści gotyckiej, która motywuje wybór luźno związanych ze sobą historii dziejących się w różnych czasach i miejscach (w dalszych partiach książki Potocki wykłada zasady sensualizmu poznawczego, materializmu ontologicznego i hedonistycznej etyki).

Już Juliusz Gomulicki nazwał „Rękopis..." arcydziełem. *Posiadamy wspaniałą poezję liryczną* – pisał – *ale żywiołem, który w naszej literaturze najsłabiej się rozwinął jest czysta fantazja, bajka pojęta szeroko, nie mająca żadnej wspólności z moralizatorskimi alegoriami Krasickiego. Na tworzenie takich bajek byliśmy zbyt trzeźwi, zbyt rycerscy, zbyt rubaszni. Poezja polska nawet w złotym okresie nie wydała ani jednej próby poematu fantastycznego. (...) Wedle powszechnego mniemania rządy fantazji zaczęły się w literaturze naszej wówczas dopiero, gdy narodził się w niej romantyzm. Mniemaniu temu zadaje fałsz powieść Jana Potockiego.*

„Rękopis" został jednak napisany w języku francuskim i dość długo nie opuszczał murów biblioteki. Gdy wreszcie został opublikowany, w niezbyt dobrym przekładzie Edmunda Chojeckiego, nie zdobył w naszym kraju popularności. A przecież jest to jedna z najciekawszych nowoczesnych prób tzw. powieści wschodniej. Zbudowana według wzorów perskich i arabskich zadziwia ogromną pomysłowością i fantazją. Potocki – typowy przedstawiciel oświecenia – tłumaczy najdziwniejsze zjawiska w sposób racjonalny, podkreśla swoją historię silnym kolorytem lokalnym, jest wybornym psychologiem, znawcą ludzi, pierwszorzędnym erudytą, jednocześnie autorem o niezwykle bujnej wyobraźni.

Szczególna była historia tego utworu. Jego całości francuskiej nie odszukano, nie wiadomo także z jakiego manuskryptu przekładał go Chojecki. Po pierwszym wydaniu petersburskim jeden z francuskich wielbicieli Potockiego postanowił przywłaszczyć sobie pomysł całego dzieła. W 1841 r. ujawniono w Paryżu zuchwały plagiat literacki – Maurycy Cousin, hrabia de Courchamps, zaczął drukować w paryskim dzienniku „La Presse" rzekome pamiętniki Cagliostra, będące w jego posiadaniu. Dwa pierwsze fragmenty tych pamiętników nie były niczym innym, jak kopią petersburskiego oryginału „Rękopisu". Plagiat wykryto i „La Presse" wytoczyła hrabiemu de Courchamps proces z żądaniem 25 000 franków odszkodowania. Niefortunny plagiator proces przegrał i – jak powiada Lorentowicz we wstępie do „Rękopisu" – „umarł ze zmartwienia".

Bibliografia wybrana:

– M. Toporowski, *Wstęp* do: J. Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, Warszawa 1950,
– L. Kukulski, *Wstęp* do: J. Potocki, *Rękopis znaleziony w Saragossie*, Warszawa 1956,
– R. Caillois, *Wstęp* do: *Manuscrit trouvé à Saragosse*, Paryż 1958,
– J. Andrzejewski, *O „Rękopisie znalezionym w Saragossie"* (w:) „Odrodzenie" 1947/46,
– M. Żurowski, *Francuz odkrywcą „Rękopisu znalezionego w Saragossie"* (w:) „Przegląd Humanistyczny" 1958/3.

pożółkłe kartki

Księżniczka przybrała dawną surową postać i, groźnie na mnie spojrzawszy, rozkazała, abym udał się za nią.

Natenczas otworzyła drzwi i znaleźliśmy się w obszernych podziemiach, w których głębi połyskiwało jak gdyby srebrne jezioro, które w istocie było z żywego srebra. Księżniczka klasnęła w dłonie i spostrzegłem łódkę, kierowaną przez żółtego karła. Weszliśmy do łodzi i wtedy dopiero poznałem, że karzeł miał twarz ze złota, oczy diamentowe i usta z koralu. Jednym słowem był to automat, który za pomocą małych wioseł krajał fale żywego srebra z niesłychaną zręcznością i pędził łódkę naprzód. Ten nowego gatunku przewodnik wylądował z nami u stóp skały, która otworzyła się, i znowu weszliśmy do podziemia, gdzie tysiące innych automatów przedstawiło nam najdziwniejsze widowisko. Pawie roztaczały ogony, wysadzane drogimi kamieniami, papugi szmaragdowymi piórami ulatywały nad naszymi głowami, murzyni z hebanu na złotych półmiskach przynosili nam wiśnie z rubinów i winogrona z szafirów – nieskończona ilość innych zadziwiających przedmiotów napełniała te cudowne sklepienia, których końca oko nie mogło sięgnąć.

Natenczas, sam nie wiem dlaczego, znowu wzięła mię chętka powtórzenia nieszczęsnego porównania o raju, aby przekonać się, jakie wrażenie słowo to sprawi tym razem na księżniczce. Ulegając więc niepowściągnionej ciekawości rzekłem:

– W istocie można powiedzieć, że pani posiadasz raj na ziemi...

Księżniczka jednak najwdzięczniej mi się uśmiechała, mówiąc:

– Ażebyś lepiej mógł osądzić o przyjemnościach tego pobytu, przedstawię ci sześć moich służących.

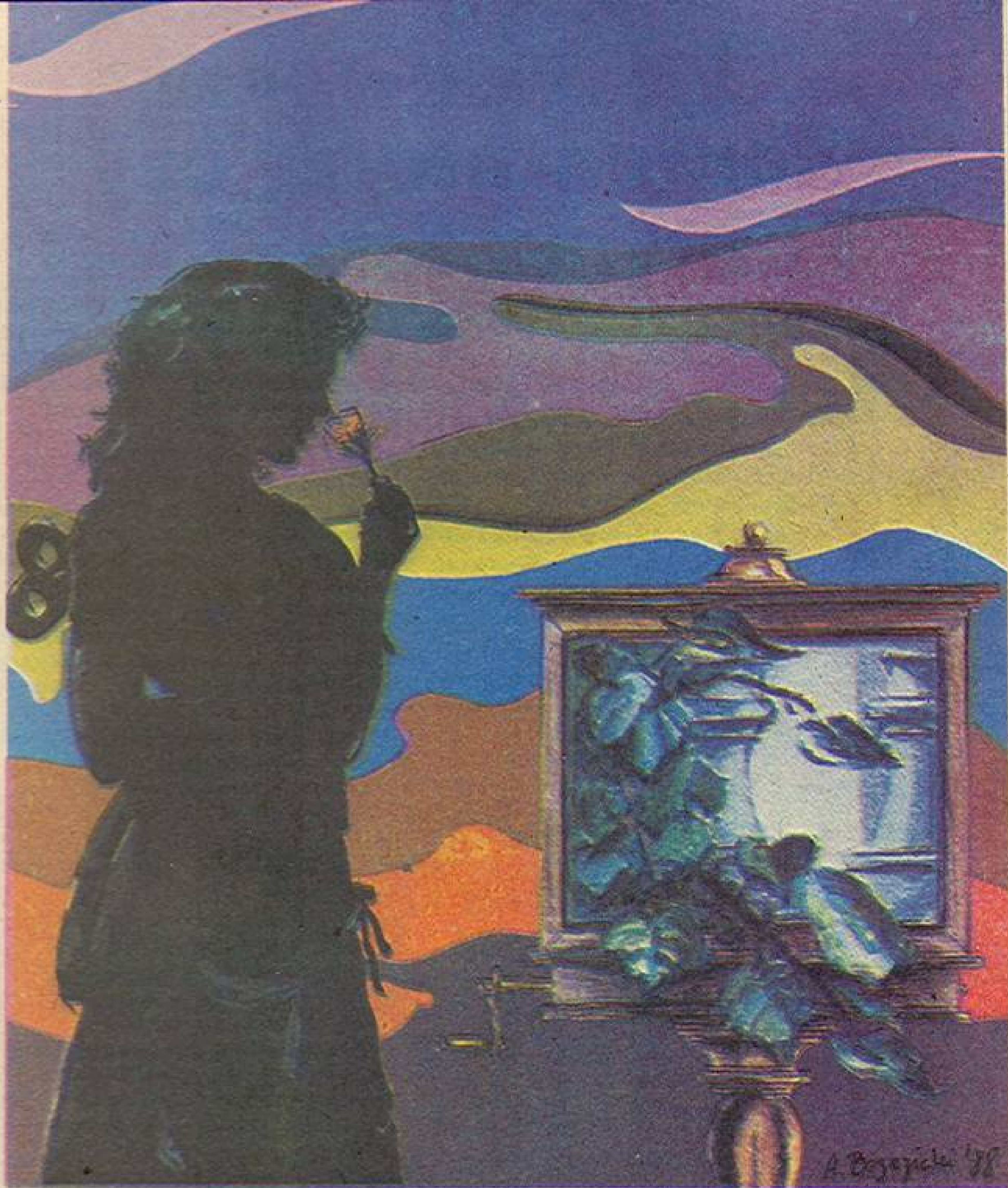
Przy tych słowach dobyła złoty klucz zza pasa i otworzyła ogromny kufer, pokryty czarnym aksamitem ze srebrnymi ozdobami. Gdy wieko odskoczyło, ujrzałem wychodzącego kościotrupa, który zbliżał się ku mnie w groźnej postawie. Dobyłem szpady, ale kościotrup, wyrywając sobie lewą rękę, użył jej zamiast broni i z wściekłością na mnie napadł. Broniłem się dość dzielnie, gdy wtem drugi kościotrup wylazł z kufra i wyłamując żebro pierwszemu, z całej siły uderzył mnie nim w głowę. Pochwyciłem go za szyję, on obwinął mnie kościstymi rękoma i chciał powalić na ziemię. Nareszcie zdołałem się go pozbyć, ale tu trzeci kościotrup wywlókł się z kufra i złączył z dwoma pierwszymi. Za nim pokazały się jeszcze trzy inne. Wtedy, nie mając nadziei wyjścia zwycięzcą z tak nierównej walki, padłem na kolana przed księżniczką i prosiłem ją o miłosierdzie.

Księżniczka rozkazała kościotrupom wrócić do kufra, po czym rzekła:

– Romati, pamiętaj, abyś nigdy w życiu nie zapomniał tego, co tu widziałeś.

W tej samej chwili, ścisnęła mnie za ramię, uczułem się sparzony aż do kości i zemdlałem.

Nie wiem jak długo zostawałem w tym stanie, na koniec obudziłem się i usłyszałem wokoło mnie pobożne śpiewy. Poznałem, że leżałem pośród obszernych zwalisk; chciałem stąd wydostać się i zaszedłem na wewnętrzny dziedziniec, gdzie ujrzałem kaplicę i mnichów, śpiewających jutrznię. Po skończonych modlitwach, przeor zaprosił mnie do swej celi. Poszedłem za nim i starając się zebrać moje zmysły, opowiedziałem mu wszystko, com widział tej nocy. Gdy skończyłem powieść, przeor rzekł:



Andrzej Brzezicki

Rękopis znaleziony w Saragossie

Jan Hr. Potocki

– Synu mój, nie patrzałeś, czy księżniczka nie zostawiła ci jakichś znaków na ręku?

Odwinąłem rękaw i w istocie spostrzegłem ramię oparzone i znaki pięciu palców księżniczki.

Natenczas przeor otworzył skrzynkę, stojącą przy jego łóżku i wyjął z niej pergamin.

– Oto jest – rzekł – bulla naszego założenia; ona może ci objaśni dzisiejsze twoje zdarzenie.

Rozwinąłem pergamin i przeczytałem co następuje:

Roku pańskiego 1503, dziewiątego lata panowania Fryderyka króla Neapolu i Sycylii, Elfrida Monte-Salerno, do ostatnich krańców posuwając bezbożność, głośno chełpiła się z posiadania prawdziwego raju i wyraźnie zrzekała się tego, jaki nas czeka w przyszłym życiu. Tymczasem pewnej nocy z czwartku na wielki piątek, trzęsienie ziemi pochłonęło jej pałac, którego zwaliska stały się piekielnym mieszkaniem, gdzie szatan, wróg narodu ludzkiego osadził chmarę złych duchów, które długo napastowały i napastują tysiącznymi obłędami odważających się przybliżyć do Monte-Salerno, a nawet prawowiernych chrześcijan, mieszkających w tych okolicach. Z tego to powodu, my Pius III, głowa duchowieństwa etc. etc. upoważniamy do założenia kaplicy w samymże środku rzeczonych zwalisk.

Nie pamiętam już końca bulli, pomnę tylko, że przeor zaręczył mi, że nagabania stały się daleko rzadszymi, że jednakowóż czasami się wydarzały, mianowicie zaś w nocy z czwartku na wielki piątek. Zarazem doradził mi, abym kazał zamówić kilkanaście mszy za duszę księżniczki i na jednej z nich sam był obecnym. Posłuchałem jego rady i następnie udałem się w dalszą podróż, ale pamięć tej nieszczęsnej nocy zostawiła smutne wrażenie, którego nic nie zdoła wymazać...

Jan Hr. Potocki, „Rękopis znaleziony w Saragossie. Romans", tłumaczenie z francuskiego Edmunda Chojeckiego przejrzane i wstępem opatrzone przez Jana Lorentowicza, tom I, Warszawa 1917, nakład i druk. Tow. Akc. S. Orgelbranda i Synów; wybór ze stron 287 – 291.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Kontestatorzy czy kontynuatorzy?

Już po raz trzeci mieliśmy przyjemność współorganizować z Instytutem Literatury Polskiej Wydziału Polonistyki UW sesję krytyczno-literacką poświęconą problemom literatury fantastycznej i fantastyczno-naukowej. Odbyła się ona w dniach 21-22 marca 1988 r. w Pałacu Kazimierzowskim na Uniwersytecie Warszawskim pod hasłem: „Fantastyka naukowa – kontestatorzy czy kontynuatorzy?"

Porównanie tegorocznej sesji ze spotkaniami zorganizowanymi w latach ubiegłych nasuwa spostrzeżenia raczej optymistyczne. Przede wszystkim, liczba zgłoszonych referatów przekroczyła znacznie nasze oczekiwania i dwa dni, którymi dysponowaliśmy, ledwie starczyły dla przedstawienia materiałów uczestnikom sesji. Wyraźnie widać, że popularność SF dociera z wolna do krytyków literackich. Obok badaczy zajmujących się fantastyką od lat, zaczynają pojawiać się nowi, prezentujący nieco odmienne spojrzenie na tę literaturę. Rozszerzeniu ulega również poruszana przez krytyków tematyka: jak dotąd królowały niepodzielnie: twórczość Stanisława Lema i ujęcia syntetyczne. Nie brakowało tego i na naszej sesji, pojawiły się jednak także ciekawe analizy twórczości Grabińskiego i wielu autorów współczesnych – między innymi Janusza A. Zajdla.



Od lewej: Adam Hollanek, Andrzej Z. Makowiecki, Andrzej Niewiadowski

Dokładne omówienie materiałów warszawskiego seminarium nie wydaje się w tym miejscu celowe – w miarę możliwości postaramy się przedstawić naszym czytelnikom najciekawsze z nich. Tu ograniczymy się jedynie do dziennikarskiego odnotowania przebiegu spotkania.

Pierwszy dzień sesji był poświęcony fantastyce polskiej. Otwierając spotkanie, dyrektor Instytutu Literatury Polskiej, doc. dr hab. Andrzej Z. Makowiecki omówił zmiany zachodzące w literaturze fantastycznej i fantastyczno-naukowej w ostatnich latach. Szerzej temat ten został podjęty w referatach: prof. Jana Trzynadlowskiego z Wrocławia „Fantastyka naukowa – zwycięstwo czy klęska?", który rozważał problem granic gatunku (autor nie mógł niestety przybyć na sesję – przysłany przez niego tekst wystąpienia został odczytany przez naszego redakcyjnego kolegę Sławomira Kędzierskiego), oraz mgra Jana Platy-Przechlewskiego z Gdańska „Science fiction – antyki i patenty". Szerszą panoramę polskiej i światowej SF dali: Adam Hollanek, omawiający ją jako nową falę romantyzmu w kulturze popularnej, oraz Andrzej Niewiadowski w wystąpieniu „Fantastyka – konsolacja czy katastrofizm?". Pozostałe referaty zostały poświęcone zagadnieniom bardziej szczegółowym. Do interesujących wniosków doprowadziło porównanie plonu trzech konkursów na opowiadanie SF – „Młodego Technika"(1962 i 1973) oraz „Fantastyki" (1982) – dokonane przez doc. dra hab. Antoniego Smuszkiewicza z Poznania („Trzy antologie polskiej fantastyki"). Najnowsze dzieła Stanisława Lema omówił dr Piotr Krywak z Krakowa („W coraz głębszą ciemność"). O twórczości Lema mówił również dr Jakub Zdzisław Lichański z Warszawy („Homagium dla Paganella – obraz naukowca w prozie Stanisława Lema") oraz doc. dr hab. Ryszard Handke również z Warszawy („Z »Obłoku Magellana« na »Paradyzję«").

polemiki

WŚRÓD FANÓW

Rafał Ziemkiewicz w numerze 12/87 w rubryce „wśród fanów" zacytował fragment listu pana Wiktora Bukaty do jednego z holenderskich fanzinów. Pan Bukato nadesłał do naszej redakcji odpowiedź, którą zamieszczamy wraz z repliką red. Ziemkiewicza.

Szanowny Panie Redaktorze,

Od pewnego okresu Polskie Stowarzyszenie Miłośników Fantastyki na łamach różnych publikacji, a m.in. informatora „Polconu 87", obwinia mnie o czynny udział w uniemożliwianiu gościom zagranicznym przyjazdu na imprezę. Dopóki owe paranoiczne insynuacje trafiały do gazet codziennych i wzmiankowego informatora, niewiele mnie to obchodziło, a poza tym trudno wszędzie udowadniać, żem nie wielbłąd. Jednak na ostatnią zaczepkę, piórem Rafała Ziemkiewicza, w grudniowym numerze „Fantastyki" postanowiłem odpowiedzieć, choćby dlatego, że (choć może się to wydać niewiarygodne) szanuję to pismo za rolę, jaką spełnia. Przypuszczam, że Pan Redaktor nie odmówi mi prawa do repliki i zechce zamieścić poniższe kilka zdań:

W odpowiedzi na insynuacje pod moim adresem, zawarte w reportażu z „Polconu 87" napisanym przez Rafała A. Ziemkiewicza, oświadczam, co następuje:

1. Mój rzekomy „artykuł ostrzegający przed Polconem 87", zamieszczony w niskonakładowym praktycznie fanzinie „Shards of Babel", był odpowiedzią na pytanie redaktora tego pisemka, Holendra Roelofa Goudriaana, co wynikło z imprezy zwanej „Interconem 86", która miała się odbyć w sierpniu 1986 r. Zgodnie z prawdą odrzekłem, że impreza się nie odbyła, a moja odpowiedź została opublikowana.

2. Wymieniona odpowiedź zawierała również pewien komentarz – próbę oceny przyczyn, dla których „Intercon 86" się nie odbył. Wyraziłem opinię, że powodem jest dotychczasowa działalność PSMF, organizatora „Interconu", a w szczególności liczne prowokacje i inne poczynania, w wyniku których stowarzyszenie to utraciło poparcie większości fandomu – a bez takiego poparcia trudno organizować duże imprezy.

3. Było to jedyne miejsce, w którym użyłem słowa „prowokacje". Natomiast na pewno nie użyłem go wobec „Polconu", który jest wspólnym konwentem całego polskiego fandomu, a nie tylko PSMF. Zresztą w ogóle w moim liście do Goudriaana o Polconie 87 (ani o żadnym innym) nie pisałem.

4. Rafał Ziemkiewicz wylewa krokodyle łzy nad tym, jak to wbiłem nóż w plecy fandomu poprzez rozgłaszanie dawnych zatargów i to na forum międzynarodowym. A co, wstyd przed innymi? A w ogóle wtedy, kiedy pisałem na ten temat do Goudriaana, zatarg, który miałem na myśli i nazwałem prowokacją, wcale nie był „zadawniony". Natomiast o tym, czy można go nazwać „prowincjonalnym", najlepiej mogą powiedzieć koledzy z Poznania. Chyba nie muszę pisać więcej.

5. Choć to nie moja sprawa, pozwolę sobie jeszcze na koniec wyrazić zdanie co do przyczyn, dla których zaproszeni goście nie przybyli na „Polcon 87". Doprawdy, trzeba wielkiego egocentryzmu, by przypuścić, że zaproszenie wysłane na wiosnę, na imprezę, która odbywa się pod koniec lata, zostanie przyjęte i goście się pojawią. Chyba że ktoś rzeczywiście przypuszcza, iż taki np. Arnold Schwarzenegger (również wśród zaproszonych na „Polcon 87") nie ma nic innego do roboty, tylko siedzi na walizkach i czeka na zaproszenie z Polski. I już, już miał kupować bilet lotniczy (za własne oczywiście pieniądze), a tu klops: przeczytał artykuł w „Shards of Babel" i się powstrzymał. Niech i tak będzie. Mogę zatem uważać się za człowieka, który powstrzymał Schwarzeneggera!

Tyle mojej odpowiedzi, którą Pan Redaktor, jak sądzę, zamieści, dbały jak zawsze o dobre imię fandomu, ktokolwiek by go reprezentował. Albowiem mimo insynuacji Rafała Ziemkiewicza uważam się nadal za fana (zresztą nie ma takiego przeciwstawienia „fan – zawodowiec", może być tylko „amator – zawodowiec". O tym Ziemkiewicz wiedzieć nie musi, bo chyba angielskiego nie zna, o czym zresztą świadczy sposób, w jaki on również odczytał mój list opublikowany w „Shards of Babel" – chyba że chodzi o celowe przeinaczenia?) i w miarę możliwości czynnie udzielam się w fandomie. Sam Pan Redaktor też chyba zresztą uważa się za fana, podobnie zresztą jak i inni członkowie Redakcji.

Łączę wyrazy poważania
Wiktor Bukato

Istotnie, w swej wypowiedzi dla „Shards of Babel" p. Bukato wyrażał się źle nie tyle o samym „Polconie", ile o jego organizatorach – co w sumie daje ten sam efekt. Nie dysponuję miejscem na obszerny cytat, w każdym razie wypowiedź ta składała się jakby z dwóch części. W pierwszej autor miesza z błotem PSMF, określając je jako pozbawione wszelkiego poparcia kadłubowe ciało, które niczego nie potrafi zorganizować i zajęte jest tylko intrygami i prowokacjami. W drugiej natomiast wyjaśnia, który z polskich klubów jest jego zdaniem najlepszy – czytaj: z kim w Polsce warto rozmawiać.

Z dużym zainteresowaniem spotkało się wystąpienie dra Grzegorza Filipa z Lublina („Fantastyka i zło – o twórczości Stefana Grabińskiego"). Program pierwszego dnia zamykał referat Leszka Bugajskiego „Między eksperymentem a komercją – polska fantastyka lat ostatnich" oraz wystąpienie Macieja Parowskiego „Następcy czy kontestatorzy?", wnoszące sporo nowych spostrzeżeń do oceny dorobku III i IV generacji polskiej SF.

Drugi dzień spotkania był poświęcony fantastyce obcojęzycznej. Swoje referaty przedstawili nasi goście zagraniczni: Aleksander Szalimow z ZSRR („W poszukiwaniu nowych tematów – oblicza radzieckiej SF"), Pavel Weigel z Czechosłowacji („Odmiany teraźniejszości – fantastyka czechosłowacka") oraz Béla Rigó z Węgier („Tradycja i awangarda w węgierskiej fantastyce"), którego wystąpienie, jedno z ciekawszych w całej sesji, w nieoczekiwany sposób korespondowało z refleksjami na temat fantastyki polskiej.

Mówiono także o przemianach i nowych tendencjach w fantastyce anglosaskiej (mgr Ryszard P. Jasiński z Gdańska – „Próby nobilitacji literatury fantastycznej w koncepcjach programowych wyalienowanych grup literackich w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii"), francuskiej (dr Barbara Okólska z Warszawy – „Niebezpieczne wizje francuskiej science fiction"), niemieckiej (Wawrzyniec Sawicki z Krakowa – „Ekologia i polityka w fantastyce RFN") i iberoamerykańskiej (dr Adam Elbanowski z Warszawy – „Wehikuł czasu w Nowym Świecie").

Podczas sesji wręczono nagrody „Fantastyki" i Europejskiego Stowarzyszenia Science Fiction (informacje o laureatach zamieściliśmy w numerach 11/87 i 3/88).

Merytorycznie należy uznać sesję za udaną. Mamy nadzieję, iż za rok będziemy mogli spotkać się na kolejnym, czwartym już seminarium „Fantastyki" i Uniwersytetu Warszawskiego. ■

Jest to tylko jeden z wielu przykładów tego typu „promowania polskiego fandomu" za granicą, prowadzonego nie tylko przez p. Bukatę w licznych zachodnich pismach, nawet tak szanowanych jak amerykański „Locus". Nie wiem, na co liczą ludzie wypłakujący się w mankiet zagraniczniakom, jak to w polskim fandomie jest rzekomo źle. Zachodnich fanów mało zapewne interesuje opluwanie się jakichś facetów z prowincji (bo, niestety, dla nich jesteśmy prowincją), których nazwisk nie potrafią nawet poprawnie wymówić bez złamania szczęki. Na podstawie tych publikacji wyrabiają sobie jednak opinię o Polakach jako takich. Nie jest ona zapewne pochlebna, skoro spośród około trzydziestu osób, do których wysłano zaproszenia na „Połcon", tylko kilka zechciało w ogóle odpisać.

Zawarte we wspomnianym tekście refleksje p. Bukaty o PSMF są zwykłymi, bezpodstawnymi pomówieniami. Jest to zresztą regułą w tego typu publikacjach, wiadomo, że nikt tu nie przyjedzie, aby je zweryfikować. Dla informacji Czytelników wyjaśnię tylko, że „Intercon" nie odbył się wskutek braku stosownego zezwolenia z Urzędu Miasta. Ewentualne poparcie fandomu lub jego brak nie miały tu nic do rzeczy – chyba że zdaniem p. Bukaty „większość fandomu" stanowią pracownicy wspomnianej instytucji.

Istotnie – wstyd przed innymi. Szkoda by było marnować papier na omawianie działalności części rodzimych macherów od SF, gdyby nie fakt, że tracimy na niej wszyscy.

Rafał A. Ziemkiewicz

Z ogromną niechęcią drukuję takie polemiczne listy, które do prawdziwej problematyki polskiego fandomu niczego nie wnoszą. Myślę, że prestiżowe, ambicjonalne sprawy obie Wysokie Strony winny załatwić polubownie z korzyścią dla Sprawy. My na tym zamykamy dyskusję i do niej wracać nie będziemy.

Adam Hollanek

1980 (dokończenie)

Futurologia (F):

AFANASJEW J.: *Machina...* – zob. U.
1545. BOENISCH Alfred: *Futurologia – jej funkcje i cele.* Tłum. [z niem.] i wstęp Teresa i Jan Bauerowie. Wrocław Ossolineum. 8° ss. 208, nlb.1. 4 000 egz.
KACZMAREK Jan: *Nasza naturalna sztuczność.* W: KACZMAREK J., WOLSKI M.: *Rok 3978.* – zob. ASF.
1546. KOŁODZIEJCZAK Bogusław: *Co będzie jutro? – rozważania o przyszłym polu walki.* Wyd. II popr. i uzup. Warszawa. Wyd. MON. 8° ss. 315, nlb. 1, err. 6 000 egz. – Biblioteka Wiedzy Wojskowej.
1547. PIKULSKI Zygmunt: *Niebo nad głową.* Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 335, nlb. 1. 20 000 egz. – F/MS.
1548. [ŠACHNAZAROV Grigorij Ch.]: *Socjalistyczne perspektywy ludzkości.* Tłum. [z ros.] Janina Skrzypkowa i Krzysztof Smerd. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 435, nlb. 5. 5 000 egz. – Na k. tyt. aut.: Grigorij H. Szachnazarow.
SEDLAK W.: *Homo...* – zob. MS.
WÓJCIKIEWICZ S.: *Dla każdego...* – zob. MS.

1981

SF dla dorosłych (ASF):

1549. *ALFA 6.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 4° ss. 60, nlb. 4. 100 000 egz. – ASF (CJSF) MS.
ANAR: *Kontakt.* – zob. U.
1550. BIAŁCZYŃSKI Czesław: *Zakaz wjazdu.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 158, nlb.2. 30 000 egz.
1551. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Miasto nie z tej planety. Opowieści fantastyczne.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 244, nlb. 4. 30 000 egz. – SF.
1552. DICK Philip K[endred]: *Człowiek z Wysokiego Zamku.* Tłum. [z ang.] Lech Jęczmyk. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 241, nlb. 3. 60 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1553. DICK Philip K[endred]: *Słoneczna loteria.* Tłum. [z ang.] Jan Zieliński. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 184, nlb. 3. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1554. FIAŁKOWSKI Konrad: *Homo divisus.* Wyd. II. Warszawa. Wydawnictwa Radia i Telewizji. 16° ss. 190, nlb. 1. 70 000 egz. – Brak roku wyd.
1555. GÓRSKA Gabriela: *Kolejne ogniwo. Punkt odniesienia. Zamknięty krąg.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 91, nlb. 3. 40 000 egz. – Stało Się Jutro – opowiadań fantastycznych zbiór dwudziesty pierwszy. – Na okł. tyt.: Zamknięty krąg.
1556. *GWIAZDY galaktyki.* Antologia opowiadań science fiction pisarzy węgierskich. Aut.: Maurycy Jókai [i in]. Red.: Czesław Chruszczewski i Péter Kuczka. Wstęp Czesław Chruszczewski. Posłowie i noty biograficzne Péter Kuczka. Tłum. [z węg.] István Dabi, Hanna Kuźniarska i Marek Sadowski. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 368. 20 000 egz. – SF.
HEINRICH R., SIMONE E.: *Pierwsze...* – zob. U.
1557. HOYLE Fred: *Czarna chmura.* Tłum. [z ang.] i posłowie Sławomir Magala. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 236, nlb. 3. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1558. LEM Stanisław: *Golem XIV.* Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 139, nlb.5 80 000 egz. – *Przedmowa* i *Wykład inauguracyjny* ukazały się w „Wielkości urojonej".
1559. LEM Stanisław: *Powrót z gwiazd.* Wyd. VI. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 276, 60 000 egz.
1560. PAROWSKI Maciej: *Twarzą ku ziemi.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 193, nlb. 3. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1561. SAWASZKIEWICZ Jacek: *Kronika Akaszy.* T.I: *Inicjacja.* Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 280, nlb. 4. 30 000 egz. – SF.
1562. SZARŁAT Aleksandra, SZYMAŃSKA Ewa: *Bogowie naszej planety.* Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 159, nlb. 1. 10 000 egz. – Fantazja – Przygoda – Rozrywka.
1563. VAN VOGT A[lfred] E[lton]: *Wyprawa do gwiazd.* Tłum. [z ang.] Marek Marszał. Warszawa. Iskry. 16° ss. 175, nlb. 1. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1564. WILHELM Kate: *Gdzie dawniej śpiewał ptak.* Tłum. [z ang.] Jolanta Kozak. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 226, nlb. 2. 30 000 egz. – Seria Fantastyczno-Naukowa (z „kosmonautą").
1565. ZAJDEL Janusz A[ndrzej]: *Feniks.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 186, nlb. 4. 30 000 egz. – Część opow. pochodzi z tomu „Jad mantezji" (poz. 519/65), pozostałe to wyd. I.

SF dla dzieci i młodzieży (CJSF):

ALFA... – zob. ASF.
1566. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. XII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 202, nlb. 2. 50 000 egz. – Lista Honorowa Hansa Christiana Andersena. – CJSF/F.
1567. BROSZKIEWICZ Jerzy: *Wielka, większa i największa.* Wyd. XIII. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 285, nlb. 3. 50 000 egz. – CJSF/F.
1568. HOFMAN Ota: *Odyseusz i gwiazdy.* Tłum. [z czes.] Cecylia Dmochowska. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° podł. ss. 122, nlb. 6. 20 000 egz.
1569. HOFMAN Ota: *Pan Tau i tysiąc dziwów.* Tłum. [z czes.] Cecylia Dmochowska. Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° podł. ss. 257, nlb. 7. 30 000 egz. – CJF z elementami SF.
1570. PETECKI Bohdan: *Bal na pięciu księżycach.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 300, nlb. 4. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
1571. PETECKI Bohdan: *X-1, uwolnij gwiazdy!...* Wyd. II. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 308; nlb. 4. 30 000 egz. – Klub Siedmiu Przygód.
1572. PITZORNO Bianca: *Chlorofilka z błękitnego nieba.* Tłum. [z wł.] Krystyna i Eugeniusz Kabatcowie. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 152, nlb. 2. 30 000 egz.
SWIFT J.: *Podróże...* (wersja dla młodzieży) – zob. U.
1573. VERNE [Jules]: [Dwadzieścia tysięcy] *20 000 mil podmorskiej żeglugi.* Tłum. [z franc.] Bolesław Kielski. Wstęp i koment. Zdzisław Ryłko. Wyd. IX powoj. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 371, nlb. 5. 50 000 egz. – Na k. tyt. imię aut.: Juliusz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

Maciej Kuczyński

Czciciele chromosomów (1)

Treść tego artykułu jest wynikiem kilkuletnich poszukiwań prowadzonych dorywczo w bibliotekach i muzeach Europy oraz Ameryki Łacińskiej i bardziej systematycznie, wśród ruin i zabytków Meksyku. Zdobyta tam znajomość elementów wierzeń, religii i mitów indiańskich, w połączeniu z moim drugim zainteresowaniem, współczesną biologią, pozwoliły na dokonanie zaskakującego odkrycia. Stwierdziłem, że niebo dawnych ludów Mezoameryki było niebem biologicznym, a zamieszkujący je bogowie to personifikacje procesów przebiegających zarówno wewnątrz komórek, jak i obejmujących sobą całą biosferę.

Znalazłem dowody na to, że dawni mieszkańcy lub lepiej: wtajemniczeni kapłani Mezoameryki znali takie elementy wiedzy biologicznej, które my odkryliśmy dopiero dzięki zbudowaniu mikroskopu elektronowego. Wiedzieli o informacji genetycznej zakodowanej na pasmach podwójnej helisy DNA, o jej „upakowaniu" w ze-


1

społach chromosomów, o sposobie jej powielania poprzez replikację, o podziałach komórek, o komórkowej budowie wszystkiego co żyje, o syntezie białka w komórce...

Materiał dowodowy rozległy, wielostronny i kompletny posłużył mi do zbudowania hipotezy o biologicznym poinformowaniu dawnych ludów, nie tylko amerykańskich. Przedstawiam ją w książce przygotowywanej do druku przez Państwowe Wydawnictwo ISKRY. Tutaj ograniczam się do ukazania najważniejszej linii dowodowej.

Muszę zaznaczyć w tym miejscu, że hipoteza moja i przedstawione dowody nie naruszają, nie atakują, nie obchodzą ustaleń oficjalnych nauk archeologii i historii. Przeciwnie, w moich dociekaniach postępuję ściśle za stwierdzeniami specjalistów, którzy, jak się okazało, już przed dziesiątkami lat wyczytali ze starożytnych przekazów dokładnie to samo. Uznali jednak, bo inaczej być nie mogło, pojęcia biologiczne za czysto mistyczne i religijne koncepty. Ja uczyniłem tylko jeden krok naprzód. Czterysta pięćdziesiąt lat po podboju hiszpańskim i upadku dawnych religii Mezoameryki, próbuję przywrócić tym opisanym konceptom ich właściwe, biologiczne nazwania. Drogocenny kamień archeologów, kolisty, z jądrem w środku, z którego rodzą się dzieci, nazwałem komórką jajową. Prążkowane pasma przekształcające się w ciała, nazwałem informacją genetyczną zapisaną w chromosomach.

I tu zaczyna się fantastyka lub raczej jej zderzenie z rzeczywistością: Indianie prehiszpańskiej Ameryki „nie mogli" wiedzieć tego wszystkiego. Nauka nie dostarczyła ani jednego dowodu na istnienie kiedykolwiek w dziejach Ziemi innej cywilizacji o poziomie zbliżonym do naszej, współczesnej. Nie ma też dowodu jakiegokolwiek kontaktu z cywilizacją pozaziemską. Narzuca się więc pytanie, skąd biologiczne poinformowanie dawnego świata? Tego nie próbuję dyskutować ani tym bardziej rozstrzygać.


3


2

Wspomnę tu jedynie, że ogromna liczba dawnych wizerunków, rzekomo wskazujących, według licznych autorów, na kontakty z inną cywilizacją, doskonale i przejrzyście tłumaczy się przy zastosowaniu mojego biologicznego klucza. Wydaje się więc, iż w tym miejscu zyskują pole zwolennicy Atlantydy. Lecz to zupełnie inna sprawa.

W moich poszukiwaniach opieram się na materiałach pochodzących z terenu Mezoameryki. Obejmowała ona krainy od dzisiejszego zachodniego Meksyku, poprzez Gwatemalę do Salwadoru i Hondurasu. W pewnych wypadkach sięgam jednak do zabytków sztuki pochodzących na przykład z Egiptu czy Sumeru, by wykazać, że ta sama wiedza była rozpowszechniona w całym dawnym świecie.


4

Jak „dawnym", tego niepodobna sprecyzować. Głównym źródłem prezentowanych dowodów są ręcznie malowane na pasmach jeleniej skóry lub papieru, składane w harmonijkę, księgi obrazkowe Indian meksykańskich, zwane kodeksami. Część z nich, stworzona przez naród Misteków pochodzi niewątpliwie sprzed 1250 roku naszej ery. Do nich należy też kodeks Nuttal, na który często się powołuję.



5

Ale ta sama symbolika zawarta jest w rzeźbionych przekazach meksykańskiej kultury Olmeków istniejącej od 1800-2000 roku p.n.e. Znajduje się też w grobowcu egipskiego faraona Tutanchamona, żyjącego ok 1349 roku p.n.e. i na wizerunkach sumeryjskich z ok. 3000 roku p.n.e. Zaś pewne znaki i wizerunki o tej samej „wartości", jak mówią archeolodzy, występują w rytach naskalnych i malowidłach jaskiniowych z paleolitu!

Nie wnikam głębiej w tę sprawę. Moim celem jest wykazanie, że struktury submikroskopowe były znane Dawnym Meksykanom przed wynalezieniem w Europie mikroskopu optycznego ok. 1590 roku.

Chromosomy i DNA

Wizerunkiem, który stał się pierwszym tropem w mych poszukiwaniach jest aztecki drewniany bęben bojowy z przedstawieniem Rycerza Orła, znaleziony w ruinach górskiej świątyni Malinalco (rys. 1). Orzeł uosabiał w Mezoameryce Słońce, pojmowane jako zbiornik energii niezbędnej dla życia. *Wszystkie rzeczy mówią, że wytwarza je słońce* – powiadali Dawni Meksykanie. Takiego właśnie orła skojarzono tu z figurą splecioną z dwu pasm, zgiętą na kształt jarzma. Założyłem, iż splot przedstawia odkrytą w 1953 roku strukturę kwasu dezoksyrybonukleinowego, DNA, zwaną „podwójną helisą", zaś jarzmo wyobraża chromosom, ciało obecne w ilości 46 sztuk w ludzkim jądrze komórkowym. Chromosomy są jakby „motkami" nici DNA (nie owiniętych jednak wokół osi!). Na niciach tych znajduje się informacja genetyczna, czynnik niezbędny do przekształcenia energii słonecznej w określony organizm. Operuję tu wielkim, ale dopuszczalnym skrótem, tak jak uczynił to aztecki rzeźbiarz. Wizerunek na bębnie byłby więc alegorią naszej genezy. Energia konieczna dla uruchomienia procesu życiowego, informacja o charakterze tego procesu i jego produkt – człowiek.

Dwuniciowy splot nie jest przypadkowym ornamentem. Sznur skręcony helikoidalnie z dwu nici, ma ważne miejsce w każdej świątyni Mezoameryki. Podobna podwójna helisa, rzutowana na płaszczyznę widnieje na grzbiecie kamiennego orła w Peru (rys. 2), a jego stylizowana odmiana, zagięta również w kształt jarzma, pojawia się na pieczęci Sumerów, jako centralny obiekt adoracji kapłanów, świadczącej dobitnie o szczególnym znaczeniu dwuniciowej struktury (rys. 3).

Również nieprzypadkowy jest kształt jarzma. Podobne pasma i zagięte pałeczki występują w całej Mezoameryce, w rytach, rzeźbach, na ceramice, tkaninach i w kodeksach.

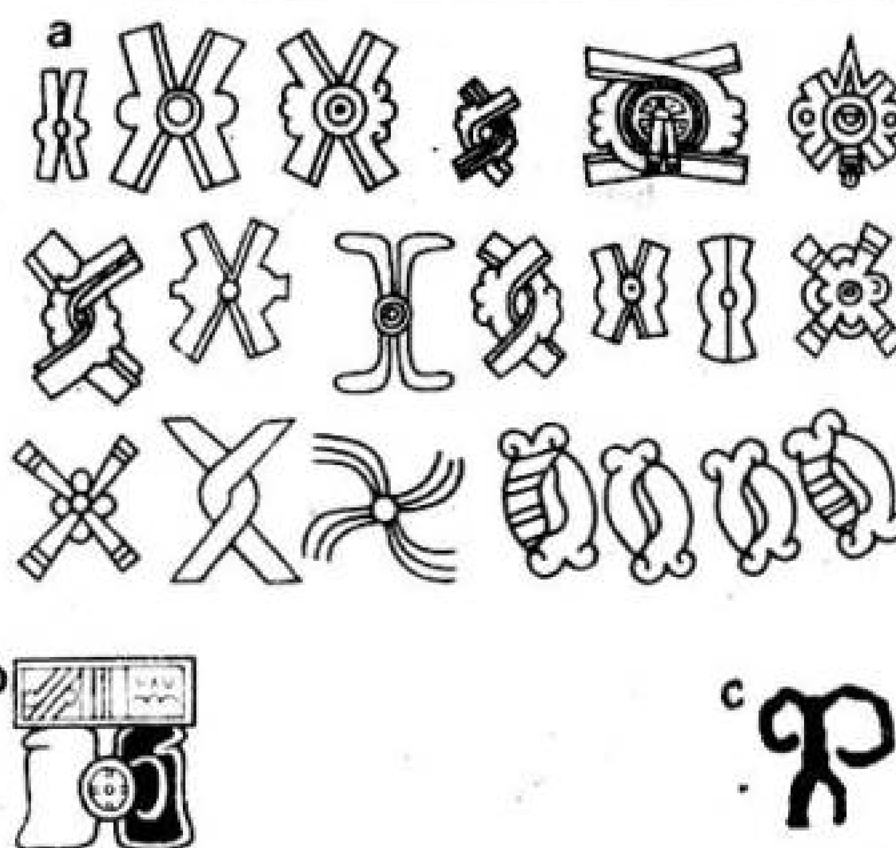
Rzecz w tym, że kształt „zgiętej pałeczki" przybierają właśnie chromosomy w tzw. anafazie, jednym ze stadiów podziału komórek (rys. 4). Inne postacie chromosomu, związane z innymi fazami, także przyciągały uwagę dawnych



6

mędrców i były przedmiotem sztuki czy adoracji.

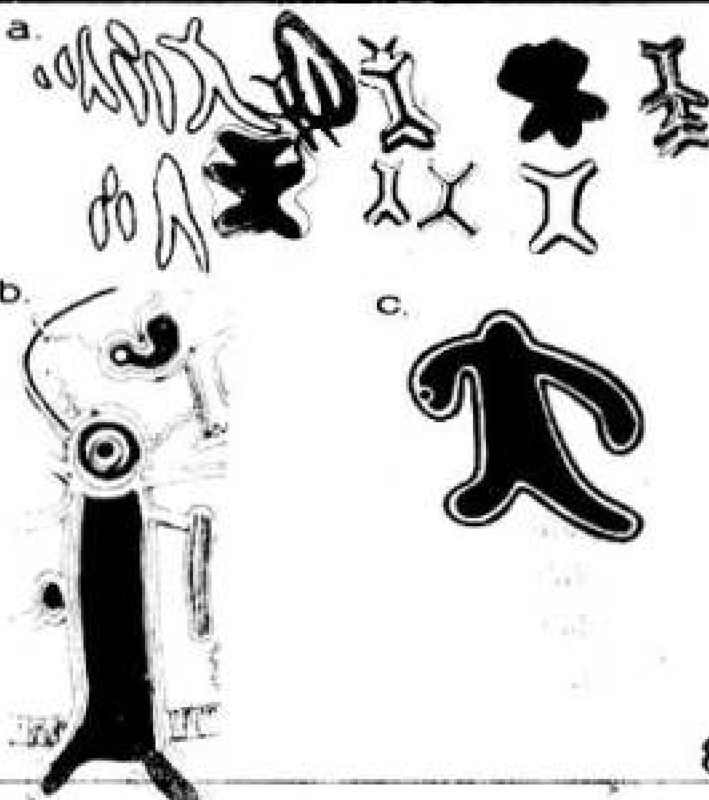
W grobowcach meksykańskiego ludu Zapoteków, w sanktuarium Monte Albán, znajdują się gliniane rzeźby bóstw, trzymających w dłoniach x-owatą strukturę (rys. 5). Tak właśnie wygląda pod mikroskopem przygotowany do podziału



7

chromosom, składający się z dwu bliźniaczych kopii (rys. 6).

Ciągłość życia na Ziemi spełnia się tylko przez podział. Nowe komórki, budujące nowe organizmy, powstają tylko tym jednym sposobem. Początek podziałowi dają chromosomy.



8

Każdy z nich wzdłuż swego długiego, wężowatego pasma, syntetyzuje drugi, nowy chromosom będący wierną kopią macierzystego. Tak podwaja się nie tylko struktura, lecz przede wszystkim informacja genetyczna zawarta w DNA chromosomowym.

Przez pewien czas oba siostrzane chromosomy są połączone w miejscu zwanym centrome-



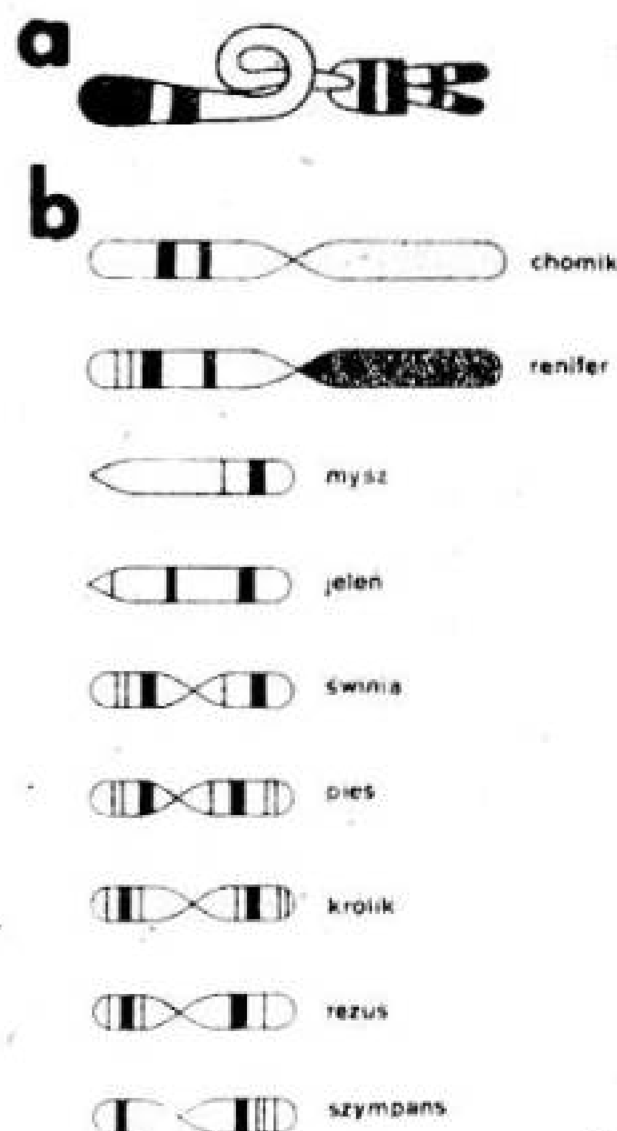


9

rem. Przed podziałem kurczą się, skręcają, grubieją i przybierają postać dwu pałeczek. Centromer dzieli się. Przymocowane do niego włókna wrzeciona podziałowego odciągają pałeczki ku dwóm biegunom komórki. Ciągnięte, na skutek oporu półpłynnej cytoplazmy, zginają się, przybierając kształt jarzemek (rys. 4). Z kolei przewęża się błona i powstają dwie komórki potomne o identycznym wyposażeniu genetycznym. Tak powiela się życie. Taka jest tajemnica, którą Zapotecy uznali za wartą zabrania w drogę do podświata.

I nie tylko oni! Identyczna jak na Monte Albán figura, znajdowała się w grobowcu Tutanchamona na głowie bogini strzegącej mumii faraona (rys. 5)!

Wizerunek połączonych, odchylających się pałeczek, jest pospolity w antycznym Meksyku (rys. 7a). Jest tam hieroglifem pojęcia ollin, w języku nahuatl: „ruch" i „trzęsienie ziemi".

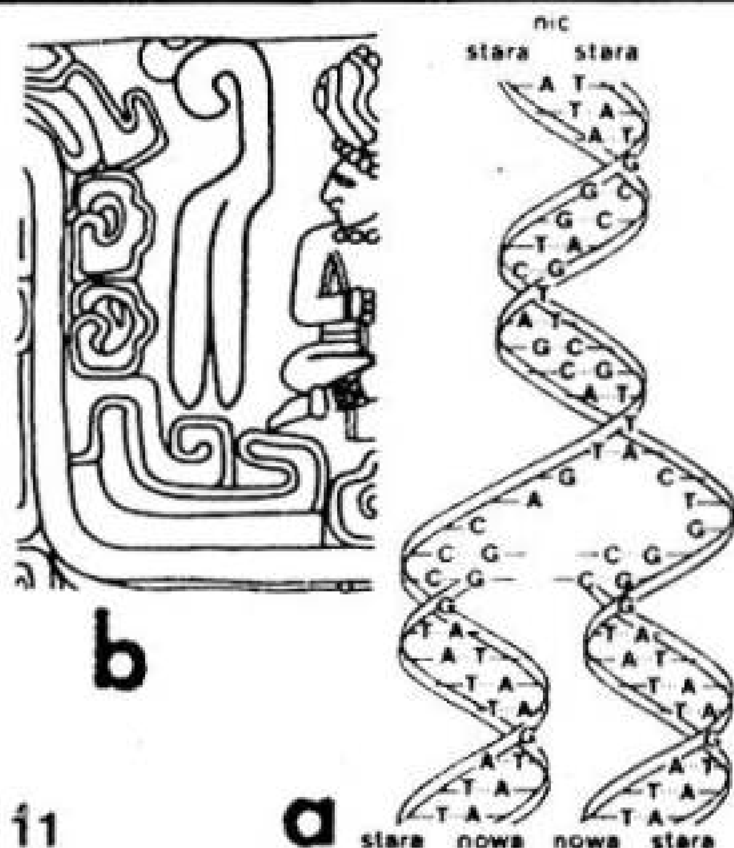


10

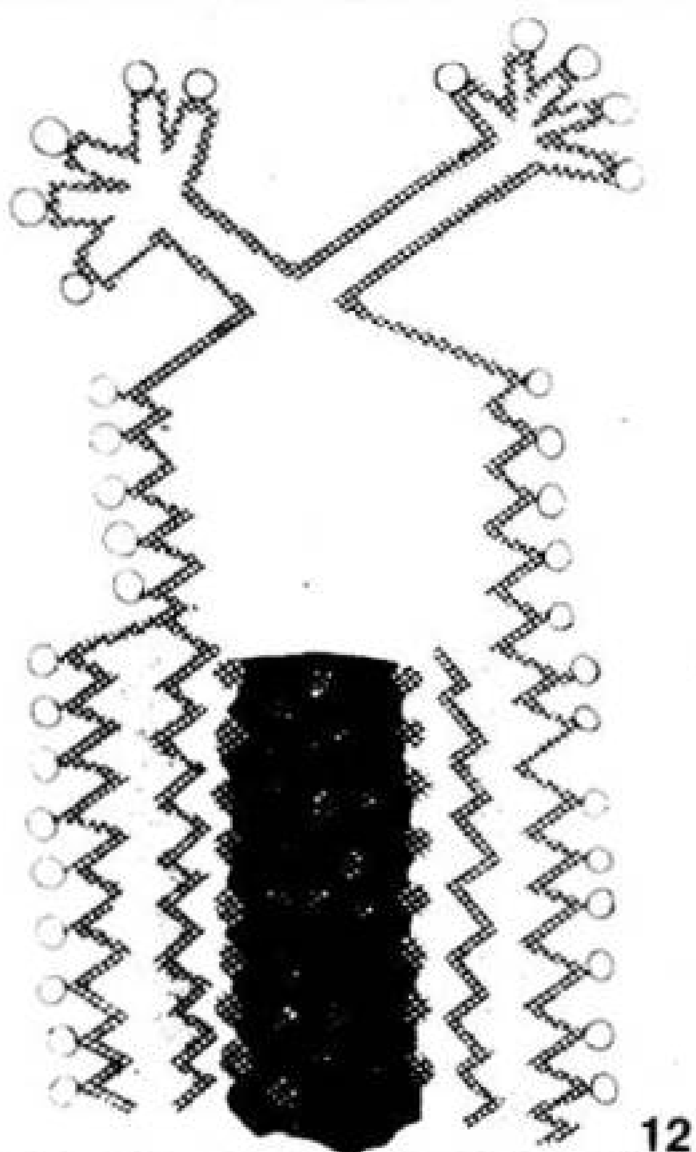
Jako taki był używany na oznaczenie jednego z dwudziestu dni ówczesnego „miesiąca". Obok dwu pałeczek zawiera często jeden lub dwa znaki chalchihuitl, drogocennego kamienia, synonimu „życia". Są to współśrodkowe okręgi, przypominające schematy komórek, i będące nimi, jak się dalej okaże.

Co jeszcze świadczy na rzecz „chromosomo-

wej" genezy znaku ollin? Rdzeń ol oznaczał „coś okrągłego", ale już czasownik ollin był używany na określenie nie tylko „ruchu obrotowego" ale i „ruchu, wędrówki wielkiej ilości ludzi". W języku Zapoteków, nazwa hieroglifu brzmiała xoo, „potężny" i „trzęsienie ziemi". Zaś plemiona majowskie tzotzil-tzeltal zwały go chic, co znaczyło „pozbywać się"! I wreszcie, Majowie z Jukatanu dla bardzo podobnego znaku (rys. 7b) mieli słowo caban, „to co znajduje się w dole, pod spodem".

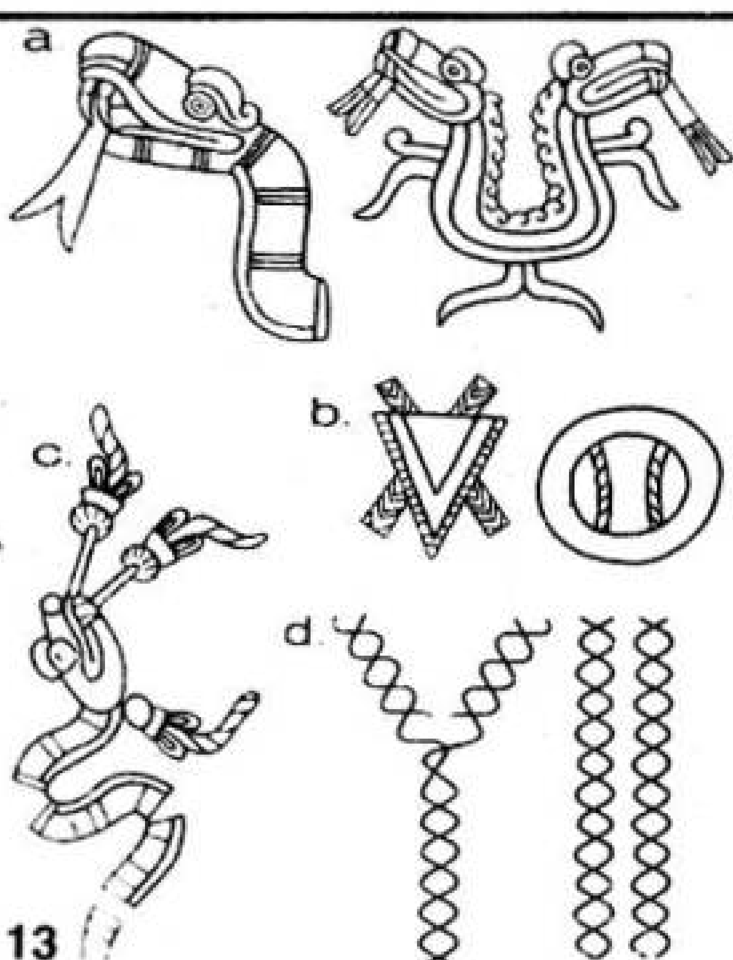


Nasuwa się stąd wniosek, że ten hieroglif, mający tak mało swym kształtem wspólnego z trzęsieniem ziemi, a za to „znajdujący się pod spodem" – ukryty w ciałach, „potężny" – przez swe genetyczne działanie, „pozbywający się" – swej siostrzanej pałeczki, po to by „wędrować gromadą" 46 pałeczek do potomnej komórki i nieprzeliczonymi chmarami poprzez pokolenia – raczej należy uważać za odwzorowanie chromosomu.

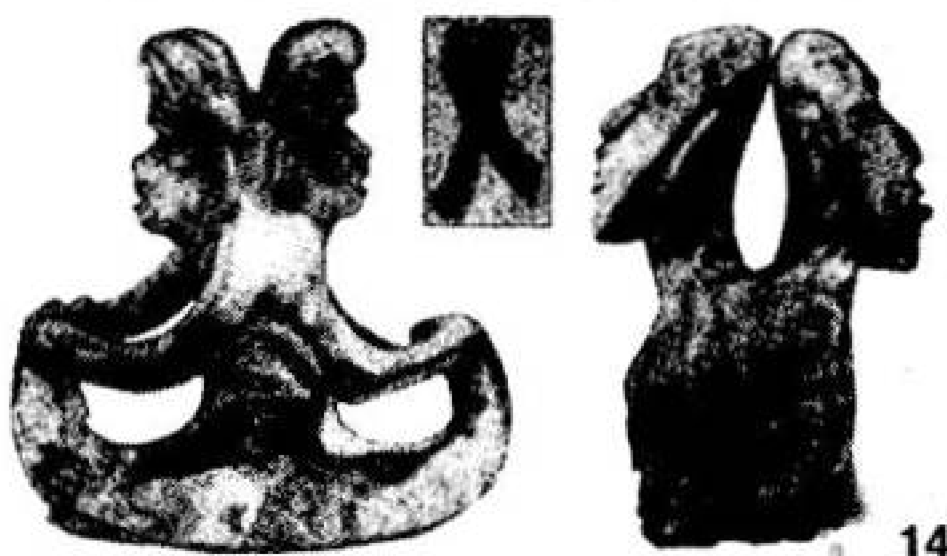


Co ciekawe, symbole podobne do ollin znane są z epoki kamiennej i z różnych kontynentów, jak na przykład ten znak naskalny z Armenii, mający według badaczy wartość „człowiek" (rys. 7c). Byłby to więc człowiek, ale w swej chromosomowej postaci!

Na takie znaczenie znaku wskazują też rysunki naskalne z kalifornijskich gór Caliente Range i Santa Barbara, z północnego obrzeża Mezoameryki. Tutaj znak ollin (rys. 8a) po prostu zamienia się w sylwetkę ludzką przez proste dodanie głowy i dalsze przekształcenia (rys. 8b,c).



Niejako na marginesie nasunęło mi się przypuszczenie, iż może tutaj należy poszukiwać źródeł mrocznego obrzędu dekapitacji. Uprawiana była przez Olmeków, twórców najstarszej kultury mezoamerykańskiej i inne ludy świata. Może chodziło o to, by przez pozbawienie głowy upodobnić ofiarę do świętej figury, będącej sprawczą przyczyną człowieka?



Na tym jednak wtajemniczenie Dawnych Meksykanów się nie kończy. Płaskorzeźba na bębnie ukazywała jarzmo skojarzone z dwunićiowym splotem. Natomiast kolejny rysunek z gór Santa Barbara przedstawia pałeczkę z wpisanym w nią wzorem podwójnej helisy, i co znamienne, z 23 kreskami nierównej długości (rys. 9a). Byłoby to więc przedstawienie chromosomu, jako struktury zbudowanej z pasma podwójnej helisy i występującej w liczbie 23 pałeczek. Tak właśnie, jak w jaju i plemniku ludzkim przed zapłodnieniem (rys. 9b), które przywraca diploidalną liczbę 46 chromosomów, w połowie pochodzących od matki, w połowie od ojca.

Omawianą tematykę znacznie rozszerza symbol ze str. 75 kodeksu Nuttal, występujący zresztą w różnych wariantach w ikonografii mezoamerykańskiej (rys. 10a). Przedstawia on pasmo prążkowane, które zamienia się w dwa pasma potomne o identycznym prążkowaniu, ilustrując zasadę powielania się choromosomów wraz z ich prążkami.

Figura ta wykazuje wielkie podobieństwo do rysunków chromosomu „x" ssaków, z ich prążkami wąskimi i szerokimi (rys. 10b). Te prążki ozdabiają też szaty niezliczonych bogów i tak zwane pantoyahualli, „chorągiewki zmarłych", którymi ozdabiano zwłoki. Prążkowanie jest w ogóle stałą i charakterystyczną cechą chromosomów, występującą po potraktowaniu ich barwnikiem.

Warto nieco uwagi poświęcić jeszcze samej podwójnej helisie DNA. Ona to bowiem, „upakowana" w ciała wyższego rzędu, jakimi są chromosomy jest właściwym nośnikiem cech genetycznych.

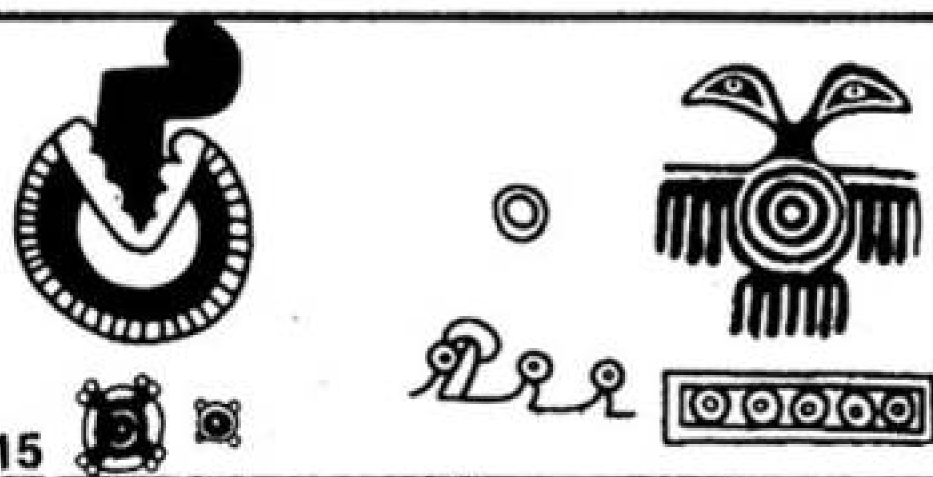
Nie wdając się w szczegóły chemicznej budowy DNA, wystarczy powiedzieć, iż kwas ten jest zbudowany z dwu nici skręconych w helisę i połączonych parami komplementarnych zasad, co umożliwia wytwarzanie bezbłędnych kopii. Nici rozplatają się, a do każdej z nich zostaje dobudowana brakująca nić komplementarna, przez co drobina macierzysta zostaje odtworzona w dwu egzemplarzach o identycznej treści przekazu genetycznego (rys. 11a). W ten sposób zawartość genowa chromosomów zostaje przekazana do wszystkich komórek ciała, a także, przez komórki płciowe, potomnym organizmom. Ten sposób samopowielania się informacji genetycznej powstał około 4 miliardów lat temu, u zarania życia i jest z tym zjawiskiem nierozerwalnie złączony.

Powielające się pasmo DNA tworzy tak zwane widełki replikacyjne (rys. 13d). Figurę o niezwykle podobnym schemacie odnalazłem wśród kalifornijskich rysunków z gór San Emigdio, o tematyce niewątpliwie biologicznej i związanej z rozrodem (rys. 12).

Na terenie Meksyku zasadę tę odtwarzają wizerunki sznura skręconego z dwu nici, w jego odmianie zwanej aztamecatl, takiegoż sznura podwajającego się. Miał on w świątyniach swe stałe miejsce. Jego znamienne przedstawienie widnieje w kodeksie Borgia (rys. 13c). Pod ciałem węża narysowany jest pojedynczo, z paszczy świętego gada wystaje już „zreplikowany", zastępujący rozdwojony język. To podobieństwo jest, jak wykażę dalej, jedną z ważnych przyczyn kultu węża w Mezoameryce (rys. 13a).

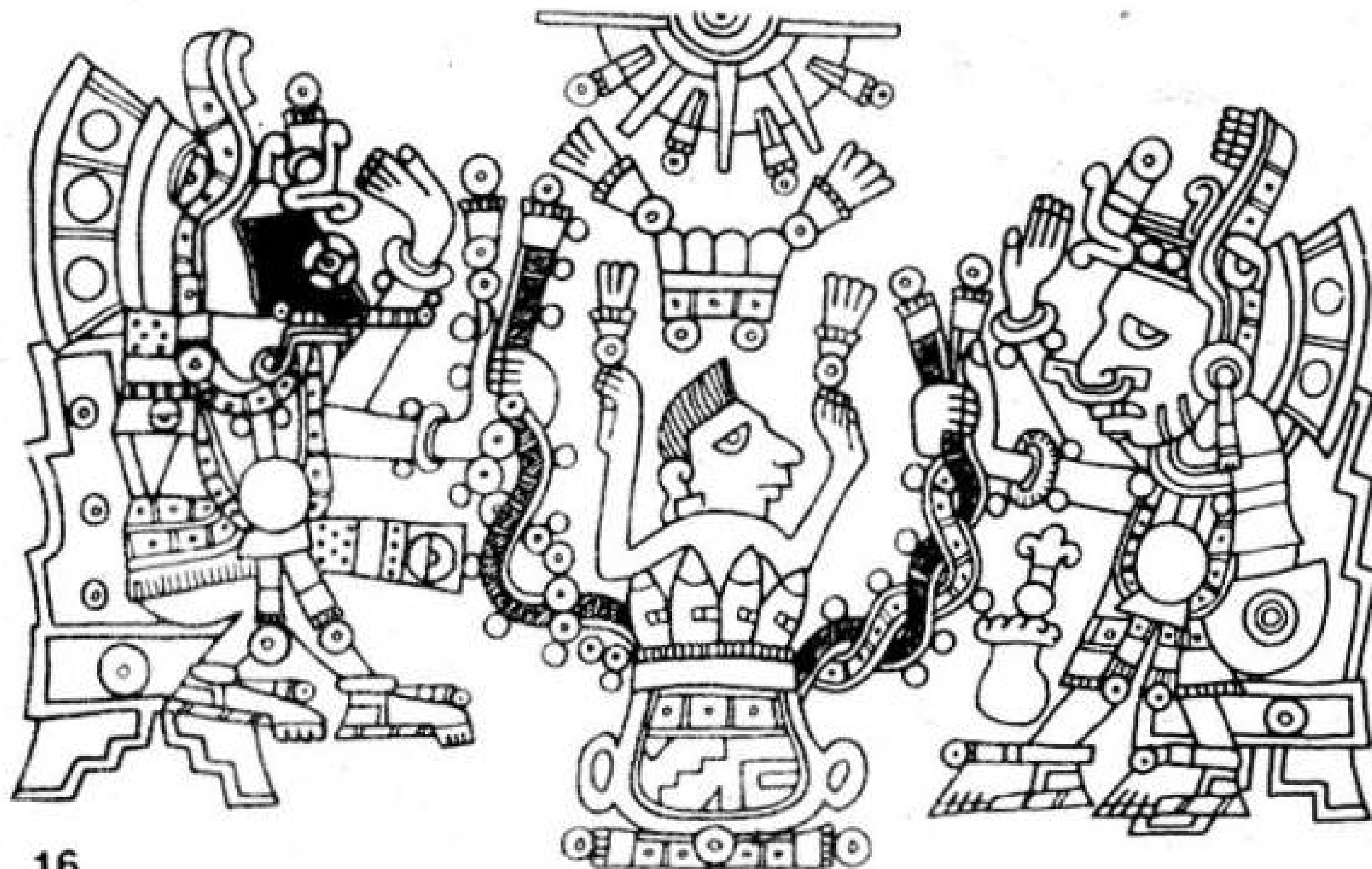
W kodeksie Nuttal tarcze bogów są ozdobione podwójnymi sznurami skręconymi z dwu nici (rys. 13b).

Przekonującego wskazania na to, że podwajające się pałeczki Dawnego Meksyku istotnie zawierają w sobie zakodowaną informację o człowieku, dostarczają gliniane figurki z Tlatilco w Centralnym Meksyku, z roku ok. 1200 p.n.e. (rys. 14). Pałeczkom równoległym i pałeczkom o układzie ollin przydano tam twarze ludzkie o identycznych rysach, co zdaje się objaśniać o sposobie kopiowania cech genetycznych następującym wraz z kopiowaniem się chromosomów.



I tutaj, znów na marginesie, nasuwa mi się pomysł, aby w tym procesie poszukiwać genezy wszystkich tzw. fallicznych posągów świata. Słupy, często podwojone, menhiry, światowity o dwu i czterech twarzach, totemy palowe – to mogłyby być wizerunki pałeczek chromosomowych, co nie przeszkadza, że i fallicznych zarazem.

wizerunków boskich par mających swój udział w kreacji człowieka, znajduje się przedstawienie Tlaloka, boga wody i Chalchiuhtlicue, bogini Żywej Wody (rys. 16). Pomiędzy nimi widnieje stwarzany człowiek. Wyłania się on z drogocennego naczynia, oznaczonego u podstawy symbolem komórki, i wypełnionego kolbami kukurydzy, która, według podania, posłużyła bogom do ukształtowania ciała.


16

Jajo

Ważniejszym od omówionych pasm, sznurów, pałeczek był w Mezoameryce symbol chalchihuitl, hieroglif „życia", w dosłownym tłumaczeniu z nahuatl, drogocenny kamień (rys. 15). Graficznym przedstawieniem tego pojęcia jest okrąg z drugim w środku. Występują też tarcze chalchihuitl o podobnym schemacie, otoczone „drabinką" i czterema „drogocennymi kamieniami" dookoła.

Podobieństwo takiego wizerunku do uproszczonego schematu komórki z jądrem, jest oczywiste.

Na to samo wskazują teksty indiańskie spisane wkrótce po podboju Meksyku. Oto pouczenie kierowane do pokutnika przez azteckiego kapłana: *Gdy byłeś stworzony i wysłany, i twój ojciec i matka Quetzalcóatl (Wąż Upierzony) ukształtował cię jako drogocenny kamień...* I dalej: *Zaczynasz kwitnąć i kiełkować jak drogocenny kamień bardzo czysty, który wychodzi z brzucha swej matki, gdzie się tworzy...*

Przy innej okazji, ojciec w azteckiej stolicy, Tenochtitlanie, tak powiadamiał o zajściu w ciążę swej córki: *Wiedzcie więc wszyscy, że nasz Pan okazał miłosierdzie, ponieważ złożył w pani N., dziewczynie ostatnio poślubionej, wewnątrz niej, drogocenny kamień i bogate pióra, przez co jest już brzemienna dziewczyna...*

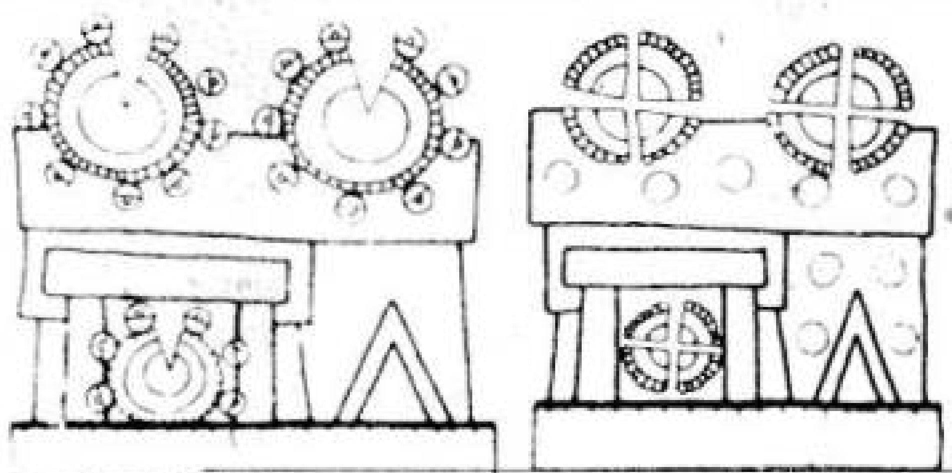
I wreszcie jeszcze jeden tekst aztecki: *Pan Dwoisty i Pani Dwoista stworzyli cię z drogocennego kamienia.*

Na podstawie tych świadectw rysunkowych i mówionych, trudno mieć wątpliwości co do tego, że ludzie Dawnego Meksyku też rodzili się z jaja.

W kodeksie Brogia na 57 stronie, pośród

Wyłącznie ciasto kukurydziane weszło w skład ciała naszych ojców... – powiada księga Popol Vuh, biblia gwatemalskich Indian Quiche.

Co najistotniejsze jednak, do tego procesu służą trzymane przez boginię, z prawej strony, pasma drogocennego kamienia splecione w podwójną „spiralę", jedno zielone, drugie żółte. Po lewej stronie, już w dłoni Tlaloka, widnieje tylko jedno z tych pasm, zielone, przeplecione ze sznurem drogocennych kamieni, symbolem „dziecka". Można więc stąd wnosić, iż te odpowiedniki komórek są tu pochodną pasma informatycznego.


17


18

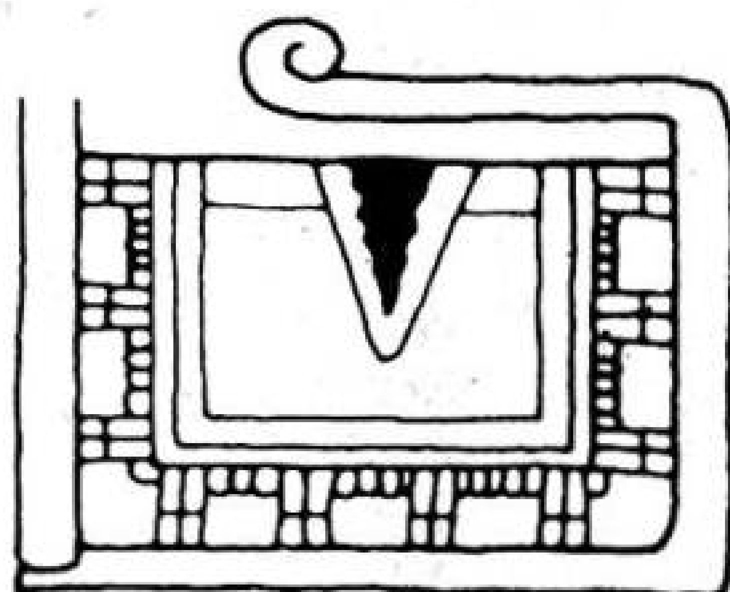
Dla postawienia znaku równości między chalchihuitl a komórką, niezbędne jest wykazanie, iż posiada on te same właściwości. Pierwsza z nich, zdolność do zbudowania ciała, nie budzi już wątpliwości. Kolejną jest, najbardziej istotna dla procesu życiowego, zdolność do podziału.

Kodeks Vindobonensis ukazuje tę właściwość w dwu fazach (rys. 17). Drogocenny kamień umieszczony w symbolicznej świątyni pęka na dwoje, zaś na sąsiednim rysunku podzielił się już na czworo.

W kodeksie Vindobonensis jest rysunek dwu bliźniaczych drogocennych kamieni, animowanych przez dwa „duszki" o wspólnym tułowiu, jakby bezpośrednio po podziale, dążące do oderwania się od siebie (rys. 18). Zaś obok nich widnieje rysunek tecpátl, noża z obsydianu, którym w Dawnym Meksyku rozcinano piersi ofiar, aby wyjąć serce. Sądzę, iż w tym wypadku nóż symbolizuje ideę podziału drogocennych kamieni.

Dawny Meksyk znał jeszcze inny hieroglif o pokrewnym znaczeniu, chalchihuitl apazco, czyli „naczynie drogocennego kamienia", lub prościej, „drogocenne naczynie", o podobnej symbolice związanej z „życiem" i „rozrodem", jak drogocenny kamień.

Badając złożone piktogramy kodeksowe, doszedłem do wniosku, że hieroglif drogocennego naczynia był używany w zapisach na przykład genealogicznych dla oznaczenia nie komórki w ogóle, lecz tej komórki płciowej, która rozpoczęła cykl podziałów zmierzający do zbudowania nowego ciała, potomka królewskiego rodu. Byłby więc naczyniem, w którym bogowie stwarzają człowieka, jajem.


19

Taki właśnie sens zdaje się przedstawiać pękające na pół drogocenne naczynie z kodeksu Vindobonensis, któremu towarzyszy święte pasmo (rys. 19).

cdn.

Maciej Kuczyński



OBCY jak ludzie

Temat kontaktu z obcymi cywilizacjami należy do żelaznego repertuaru science fiction. Jego literackim pierwowzorem była „Wojna światów" Herberta George'a Wellsa. A więc zaczęło się od przybyszów złych, a na dodatek należących do rasy tak odmiennej, że porozumienie z nią nie było możliwe. W tę też stronę skierowała się kinematografia.

Przez wiele lat obowiązywał schemat, w którym „obcy" znaczyło „wrogi". Ale podejście twórców do tematu ewoluowało, zmieniał się i komplikował wizerunek obcego oraz spotkania z nim. Przybysze nie tylko strzelali do nas, ale również starali się wedrzeć w głąb naszych ciał i umysłów. Okazywali się naszymi własnymi tworami. Niekiedy próbowali nas wychować. Bywali okazją do aluzji politycznej. Jednak do chwili kiedy Stanley Kubrick w 1968 r. nakręcił „Odyseję 2001", gros filmów wykorzystywało stereotyp obcego-złego. Dopiero pokazana w „Odysei" (czy raczej zasugerowana) inna rasa, przewyższająca po wielokroć ziemską, nie wykazywała zazdrości w stosunku do swej młodszej siostry i starała się ułatwić jej drogę do cywilizacji. Znamienny jest fakt, że ofiarowana ludzkości pomoc ograniczała się tylko do sfery myśli i ducha. Do wszystkich zdobyczy materialnych, technicznych i technologicznych człowiek musiał dochodzić sam.

Literatura i kino science fiction są znacznie wrażliwsze na stany lękowe współczesnych społeczeństw, niż utwory głównego nurtu. A także bardziej dydaktyczne. To jedna z przyczyn dlaczego filmy SF tak często straszą konfliktem, wojną, zagładą, inwazją. Ważny jest również aspekt większej atrakcyjności widowiska – katastrofy są po prostu bardziej filmowe, ponieważ łatwiej pokazać obrazem akcję niż refleksję. Trzeba było dopiero pojawienia się Spielberga, żeby zmienić kurs i dać widzom coś innego niż nawałnice z kosmosu. „Bliskie spotkania", podobnie jak „Odyseja 2001", były filmem mitycznym, a także metafizycznym, choć słowo to – gdy powstawały – nie było wcale popularne.

I tak, choć nadal można było spotkać w kosmosie wrogów, okazało się, że istnieją również rasy nam przyjazne. Zmiana była artystyczną reakcją na poprzednie konfliktowe wizje, ale także odbiciem spokojniejszej atmosfery społecznej i politycznej. Dlatego też nic dziwnego, że niezwykle podatny na mody reżyser John Carpenter, który wcześniej nakręcił „The Thing", w 1984 r. zrealizował film zatytułowany **„Gwiezdny przybysz"**.

Obraz kontaktu z obcą cywilizacją niejednokrotnie bywał pretekstem do spojrzenia na nas, ludzi z innej perspektywy. Pokazanie mieszkańców Ziemi oczami innej cywilizacji, sytuuje nas na miejscu obcych i pozwala na zadawanie pozornie prostych pytań: Jacy jesteśmy? Czy droga, którą wybraliśmy odpowiada nam? Czy chcielibyśmy spotkać rasę podobną do naszej? Film Carpentera jest idealnym przykładem takiego potraktowania tematu. Punktem wyjścia akcji jest prawdziwe zdarzenie. W 1977 r. NASA wysłała w kosmos zaproszenie do żyjących tam inteligentnych ras. Reżyser założył, że sonda trafiła do adresata i jedna z cywilizacji wysłała swego przedstawiciela na Ziemię. A jak na to reagują mieszkańcy błękitnej planety? Powszechna radość, uroczyste powitania, spotkania, porozumienie? Oczywiście, że nie – odpowiada Carpenter. Jesteśmy na to zbyt niedojrzali, nieodpowiedzialni, zbyt mali i źli. Jedynym powitaniem, przynajmniej oficjalnym będzie polowanie na statek gościa bojowych myśliwców. Na ziemi ruszą za nim w pogoń wojsko i policja.

Ponieważ przybysz, dzięki umiejętności korzystania z informacji zawartej w kodzie DNA, potrafi przyjmować różne postacie – wciela się w osobnika rodzaju ludzkiego. Ale co innego wyglądać jak człowiek, a co innego zachowywać się jak on. Tego trzeba się nauczyć podpatrując innych. I o to chodziło od początku. Pokazać nas. A obraz, jak można się domyślić nie jest zbyt sympatyczny. Nietolerancja, chamstwo, brutalność, głupota. Na pocieszenie reżyser serwuje nam słodko-gorzką pigułkę wmawiając, że mimo wszystkich wad jesteśmy rasą wyjątkową, bo umiemy kochać, śmiać się i tańczyć (skąd ta straszna megalomania?).

Nadzieją na przyszłość ma być syn przybysza, który narodzi się z kobiety i będzie nas nauczał. Tutaj Carpenter stosuje po prostu kalkę z historii, odwołując się do skojarzeń religijnych. „Gwiezdny przybysz" jest filmem symbolicznym, od pierwszej sceny kiedy gość z nieba zjawia się pod postacią światła, po końcową, kiedy daje nowe życie. Ten przejrzysty przekaz reżyser wikła w historię miłosną i policyjną, okrasza ją gagami komediowymi. Jeff Bridges jako obcy – nieporadny w ludzkim ciele, jest przekonujący i zabawny, niekiedy wzruszający. Jego partnerka Karen Allen aż nazbyt piękna i dobra, żebyśmy nie pomyśleli, iż ostatecznie mógł trafić znacznie gorzej.

Obcy, odwiedzający Ziemię w filmie Rona Howarda **„Kokon"** także osiągnęli już etap świetlnych fantomów. Anterianie, to byli mieszkańcy legendarnej Atlantydy, więc jakby nie zupełnie obcy – raczej nasi przyrodni bracia. Może dlatego lepiej od gwiezdnego przybysza orientują się w ziemskich realiach. W kombinezonach imitujących ludzkie ciała czują się jak we własnej skórze. Nie sprawiają im też kłopotu takie drobnostki, jak zdobycie pieniędzy czy wynajęcie domu. I nie przybywają wcale z wizytą, ale by zabrać swoich współplemieńców uśpionych tysiące lat temu na dnie morza. Do spotkania z ludźmi dochodzi przez przypadek, tylko dlatego, że kilku pensjonariuszy domu starców, sąsiadującego z wynajętą przez nich rezydencją korzystało po cichu z basenu, w którym były składowane wyciągnięte z morza kokony. Ludzie czuli się po tych kąpielach coraz lepiej i młodziej, nie wiedząc, że woda została uzdatniona „energią życiową"

„Kokon" jest filmem bardzo pogodnym, przedstawiającym zarówno ludzi, jak i przybyszów z sympatią i uśmiechem. I znowu jest to utwór symboliczny. Jego przekaz można streścić w paru zdaniach: obcy obiecują ludziom inne, lepsze życie po życiu na Ziemi. To, czy poznamy ich doskonalszy świat, zależy od naszego wyboru, czy raczej wiary. Jakby chcąc jeszcze podkreślić wymowę filmu, autorzy wyraźnie pokazują, że opuszczenie Ziemi i przeniesienie do krainy szczęścia dotyczy raczej ludzi starych. Wprowadzono nawet postać młodego chłopca, który chce odejść razem z dziadkiem. Udaje mu się dostać na statek, ale zostaje zwrócony matce – musi najpierw przeżyć swoje życie na Ziemi. W mitologii Charon przewoził dusze zmarłych łodzią. Howard wysyła swoich bohaterów w ostatnią podróż jachtem na morze; tam przesiądą się na wielki statek kosmiczny, który zabierze ich w zaświaty.

Warto zauważyć, że gdy film ten powstawał, w Stanach toczyła się burzliwa, niezwykle trudna pod względem moralnym (do dziś nie zakończona) dyskusja nad prawem starych, chorych, do eutanazji.

Inny obraz spotkania, ukazujący naturę ludzką w sposób o wiele bardziej realistyczny, przedstawił Wolfgang Petersen w „Enemy Mine". W Polsce film znany jest pod tytułem **„Ukochany wróg"**, który, jak się wydaje, niezwykle trafnie oddaje treść filmu. Akcja rozgrywa się w czasie, kiedy na Ziemi panuje pokój, za to jej mieszkańcy rozładowują swój instynkt agresji podbijając kosmos. Okazało się jednak, że nie są do niego jedynymi pretendentami, a w dodatku strefy wpływów zaczęły się pokrywać. Obie rasy – przypadek, który o dziwo dość rzadko zdarza się w filmowych utworach SF – są na podobnym etapie rozwoju. Stąd sprze-

czność interesów, ale zarazem możliwość oskarżenia zewnętrznego wroga o wszystko co złe. Działanie propagandy jest jednak łatwe tylko wtedy, gdy głoszone tezy są niesprawdzalne. To znaczy, do momentu, kiedy dwaj bohaterowie, każdy reprezentujący inną rasę, będą musieli współegzystować, żeby przetrwać. Historia, którą pokazuje film jest przeniesieniem pewnych zdarzeń z naszej przeszłości (a może co gorsza, również z teraźniejszości), w nieokreśloną przyszłość. Pozwala to na pozbycie się historycznych uwarunkowań i umożliwia pokazanie samego zjawiska i stwarzających je mechanizmów. Gdy Europa podbijała inne kontynenty nie uznawała i nie szanowała odrębności kulturowej ich mieszkańców, przyjmując, że „inne" znaczy „gorsze".

Ciało Draca nie różni się od ludzkiego na tyle, żeby nie przeważały podobieństwa. Chwyt z wywiedzeniem jego pnia genealogicznego od gadów, do których większość ludzi czuje wstręt, ma czynić agresję człowieka wytłumaczalną. Jednak Drac daleko bardziej niż gada przypomina Murzyna. Również pewne cechy filmu, zresztą te najbardziej wzruszające, oddziałujące emocjonalnie na widza, są jak żywcem przejęte z historii czarnego niewolnictwa (religijne songi, scena w obozie niewolników). Mamy znowu do czynienia z filmem, który nie traktuje o przyszłości, lecz pod sztafażem SF ukazuje naszą nietolerancję, bezmyślność, podłość, konkludując, że tylko od czasu do czasu w sprzyjających warunkach, okazujemy się nieco lepsi.

Wydaje się, że „Ukochany wróg" ma także wiele wspólnego z „E.T.", o którym Baird Searls pisał w bardzo krytycznej recenzji do „Isaac Asimovis Science Fiction", że nigdy nie czuł się tak manipulowany, jak oglądając właśnie ten film Spielberga, który zrealizował dziecinną opowiastkę skrzyżowaną z wiktoriańskim melodramatem. Gdyby reżyser umieścił zamiast pozaziemskiej istoty kocię lub psiaka – pisał Searls – film trafiłby najwyżej do grona obrazów z telewizyjnego kina familijnego. Podobny zabieg zastosował Petersen podstawiając Draca zamiast Indianina czy Murzyna. Jest to rodzaj uniku. Pewne tematy łatwiej jest przemycić w kostiumie SF. Niepotrzebna jest wtedy rzetelna wiedza historyczna, można również uniknąć bardziej drażliwych momentów. Z drugiej strony zmiana konwencji pozwala zrealizować film atrakcyjny, przyciągający nowością, bardziej odpowiedni dla młodszego widza, a nie tracący swej wartości dydaktycznej.

Przedstawione tu filmy, mimo że ukazują różne warianty spotkania z innymi cywilizacjami, mówią o ludziach. Obcy reprezentując cechy uznawane przez nas za pozytywne, stawali się wzorcem, do którego my – ludzie byliśmy porównywani. Warto podkreślić, że żadnego z twórców nie zainteresowały różnice w poziomie rozwoju technicznego. Ani, na dobrą sprawę – w poziomie intelektu. Podstawowym pytaniem było, czy jesteśmy dobrzy.

Jest to rodzaj kina dydaktycznego, ale zarazem uspokajającego. Już sam fakt, że widzimy nasze błędy jest nadzieją na przyszłość. Rozwój techniki nie uczynił człowieka ani lepszym, ani szczęśliwszym. Dlatego coraz częściej racjonalizm bywa odrzucany. „Gwiezdny przybysz", „Kokon", „Ukochany wróg" niosą w sobie zarodki tematyki, która coraz częściej pojawia się w filmach drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Od nie tak dawnej fascynacji supertechnikami nastąpił zwrot ku zainteresowaniu magią, tajemnicą zła i dobra i siłami, którym człowiek nie umie się przeciwstawić. Niedługo czeka nas przemarsz przez ekrany ogro.....ej rzeszy diabłów, szatanów, potworów, ale i aniołów. A między nimi na pewno znajdzie się też miejsce dla człowieka.

Dorota Malinowska

GWIEZDNY PRZYBYSZ (Starman). Reżyseria: John Carpenter. Scenariusz: Bruce A. Evans i Raynold Gideon. Zdjęcia: Daniel Lomino. Obsada: Jeff Bridges, Karen Allen, Charles M. Smith, Richard Jaeckel. USA, 1984.

KOKON (Cocoon). Reżyseria: Ron Howard. Scenariusz: Tom Benedek. Zdjęcia: Don Peterman. Obsada: Don Ameche, Wilford Brimley, Hume Cronyn, Brian Dennehy, Jack Gilford, Steve Guttenberg, Maureen Stapleton, Jessica Tandy, Gwen Werdon, Herta Ware, Tahnee Welch. USA 1985.

UKOCHANY WRÓG (Enemy Mine). Reżyseria: Wolfgang Petersen. Scenariusz: Edward Khmara. Zdjęcia: Tony Imi. Obsada: Denis Quaid, Louis Gossett jr., Bumper Robinson, Brian James, Richard Marcus. USA, 1985.

